LEWACY KONTRA LISTA LEKTUR

Sienkiewicz, Żeromski, Reymont, Prus, Krasiński – na przemiał?

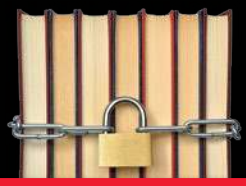

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 32/385 3–9 SIERPNIA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Fałszywa epidemia COVID-19 – jak daliśmy się nabrać

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM: ŻYCIE SEKSUALNE DZIKICH

Dlaczego rolnicy odwrócili się od PSL – zdradza minister rolnictwa

Zbigniew Ziobro w rozmowie z „Do Rzeczy" m.in. o zakusach Brukseli na Polskę:

WETO BYŁOBY DZIAŁANIEM OPTYMALNYM

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 32 >

Nakład: 58 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

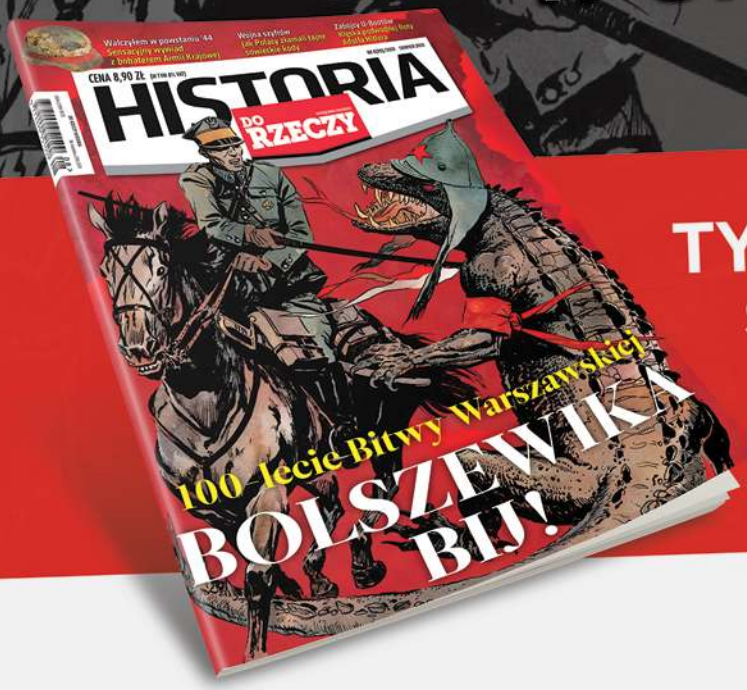

TYLKO U NAS!

Sensacyjny wywiad z weteranem Powstania Warszawskiego

Tomasz Stańczyk – **1920: wojna cywilizacji**
Maciej Rosalak – **Jak Polacy złamali szyfry bolszewików**
Iain Ballantyne – **Podwodna klęska Hitlera**
Arkadiusz Karbowiak – **Najemnicy w Kongo**
Jakub Ostromęcki – **Rzeź białych na południu USA**
Rafał Ziemkiewicz – **Fałszerstwo Grunwaldu**
Sławomir Cenckiewicz – **Ulica imienia agenta**
Piotr Zychowicz – **Niemiecka masakra na Krecie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f7da1498f7

W RZECZY SAMEJ

Mam ich serdecznie dość

PAWEŁ LISICKI

Presja na Polskę narasta. Wygląda na to, że Unia Europejska na poważnie postanowiła występować w roli żandarma politycznej poprawności i łamiąc wszelkie reguły, podjęła się roli, której nikt dla niej nie przewidział – nauczyciela moralności i wychowawcy państw członkowskich. Pierwszą ofiarą nowych pedagogów mają być polskie miasta, które przyjęły samorządową Kartę praw rodziny i ogłosiły, że są wolne od ideologii LGBT. Są to m.in.: Tuchów, Nowy Sącz, Wilamowice i Wieluń.
Te miasta według medialnych doniesień nie otrzymają unijnych grantów w związku z przyjęciem uchwał prorodzinnych. W roli pouczającego polskich samorządowców nauczyciela wystąpiła niejaka Helena Dalli z Malty: „Wartości UE i prawa fundamentalne muszą być przestrzegane przez państwa członkowskie. Z tego powodu sześć wniosków o partnerstwo miast dotyczących polskich władz, które przyjęły uchwały o »strefach wolnych od LGBTI« lub »prawach rodzin« zostało odrzuconych". Naprawdę, czy pełnienie stanowiska komisarza ds. równości zobowiązuje każdego do wypowiadania idiotyzmów?

Pani Dalli nie kryje nawet, że konkurs w ramach programu unijnego „Partnerstwo miast" – samorządy mogły się w nim ubiegać o środki w wysokości do 25 tys. euro na organizowanie wspólnych projektów z zagranicznymi partnerami – był ustawiony. Tak właśnie: ustawiony! Okazało się bowiem, że o przyznaniu bądź nie środków decydowały kryteria ideologiczne. Z 285 złożonych wniosków w 23 krajach dofinansowanie otrzymało 127 projektów. Dla sześciu polskich miast ze względu na ich opór wobec ideologii LGBT środków ma nie być.

To oczywiście jawny akt bezprawia. Żaden polski samorząd nie zadeklarował, jak mu imputują pani Dalli i inni lewicowi politycy, jakiegokolwiek ograniczenia praw obywatelskich homoseksualistów bądź lesbijek. Po prostu ogłosiły one obronę naturalnych rodzin, złożonych, jak mówi zresztą polska konstytucja, z mężczyzny i kobiety. Na radykałów jednak obrona normalności działa jak płachta na byka. Niezależnie od osobistej głupoty zaprezentowanej przez panią komisarz jej decyzja – nie można się oszukiwać – ma szersze znaczenie. Wskazuje kierunek, w którym podąża cała Unia. Coraz bardziej przekształca się ona w twór ideologiczny, wymuszający na swoich członkach odpowiednio posłuszne postępowanie. Na razie dzieje się to za pomocą marchewki i zręcznie stosowanego szantażu.

Jak na to powinna reagować Polska? Na pewno, jeśli taka decyzja zapadnie, polski rząd powinien zaprotestować i użyć właściwych środków, by do złamania prawa nie doszło. W skrajnym przypadku powinien zostać wyasygnowany z budżetu państwa system środków finansowych wynagradzających polskim miastom straty poniesione wskutek presji Unii.

To działania doraźne. Realizm wskazuje, że w dłuższej perspektywie nacisk na Polskę będzie narastał. W różnych organach unijnych coraz większą rolę odgrywają zawodowi aktywiści i ciotki rewolucji. Z tymi ludźmi nie daje się osiągnąć normalnego, pragmatycznego porozumienia. Mimo że usta mają pełne frazesów o różnorodności, faktycznie dążą do pełnej urawniłowki. Nie są w stanie zrozumieć, że w Unii może być miejsce dla państw zarówno takich jak Holandia, jak i Polska. Że to, co dla jednych jest szczytem postępu, dla innych jest zaprzeczeniem ideałów. Nie rozumieją, na czym polega tolerancja dla inności. Wynika z tego, że przed Polską w dłuższym czasie stoją tylko dwie realne możliwości. Pierwszą jest powolne podporządkowanie się. Ot, podążenie drogą pozostałych, złamanych przez ideologów państw. Drugą możliwością jest zaś przygotowanie się do opuszczenia Unii i opracowanie scenariusza wyjścia.

Szczerze mówiąc, mam serdecznie dosyć niedouczonych komisarzy czy polityków o ptasich móżdżkach, którzy mądrzą się na temat polskich praw i próbują mnie pouczać, na czym polega wolność i prawo. Jeśli nie da się inaczej, jeśli raz za razem muszę wysłuchiwać nauk pani Dalli, pani Věry Jurovej czy pana premiera Luxemburga, Xaviera Bettela, którego największym osiągnięciem życiowym jest to, że jest oficjalnym premierem gejem z partnerem, to mówię pas. Po prostu nie jestem w stanie strawić pewnego poziomu kretynizmu. Dlatego zastanawiam się, czy w tej sytuacji ta druga możliwość nie stanie się po prostu czymś nieuchronnym? ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl f7da1498f7

TEMAT TYGODNIA

12 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRO
CZAS NA WARTOŚCI
Polska chroni kobiety lepiej niż konwencja stambulska

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
LETNI QUIZ PREZESA PIS
Gorący sierpień Zjednoczonej Prawicy

22 ŁUKASZ WARZECHA
ZACHODZENIE OD PRAWEJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIARA, KTÓRA ZAWIODŁA

26 WITOLD REPETOWICZ
TURECKI SKANDAL

28 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
NIETYKALNI „REGIONALIŚCI"

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PREMIER BEZ ROBOTY

KULTURA

32 PIOTR SEMKA
PAPIESKA BIEL I KARDYNALSKI SZKARŁAT
Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego

34 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
ŚPIEWAJĄC SERCEM

36 PIOTR GOCIEK
MCNETFLIX – CO ŚWIAT OGLĄDA W DOMU

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 MARIUSZ BŁOCHOWIAK
FAŁSZYWA EPIDEMIA
Naukowcy o koronawirusie

HISTORIA

50 KRZYSZTOF MASŁOŃ
INDEKS LEKTUR SZKODLIWYCH
Sienkiewicz, Żeromski, Reymont, Prus i inni

ŚWIAT

56 MACIEJ PIECZYŃSKI
JAK POLACY NA ROSJĘ NAPADLI
Bitwa Warszawska okiem Moskwy i Kijowa

60 PIOTR WŁOCZYK
KLĘSKA MANIPULANTÓW

62 MARIA KĄDZIELSKA
LADY KIM

EKONOMIA

64 JACEK KRZEMIŃSKI
POLSKA STREFA EURO
Obcy kapitał narzuca warunki

68 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
WALCZYMY O WIEŚ

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM

72 WOJCIECH CEJROWSKI
ŻYCIE SEKSUALNE DZIKICH
Jak to robią Indianie?

O ZDROWIU

76 ROZMOWA Z PROF. WITOLDEM OWCZARKIEM
LECZMY W CIĄŻY
Choroby ludzi młodych: łuszczyca

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (54), PRZYBYLSKI (59), GABRYEL, WARZECHA (67), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), SIEDLECKA (82)

eprasa.pl f7da1498f7

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy adres do korespondencji elektronicznej: listy@dorzeczy.pl.

„Moc Tradycji", Paweł Lisicki, „DRz" 30/2020

Dzień dobry, chciałbym wyrazić uznanie i podziękować za wydrukowanie tekstu „RedNacza" o ww. tytule.
Jako stały czytelnik „Do Rzeczy" (a wcześniej „Uważam Rze") bardzo doceniam każdą publikację dotyczącą wiary i religii pojawiającą się na Państwa łamach. Miejcie, Państwo, na uwadze, że Wasi czytelnicy to osoby o raczej konserwatywnym sznycie, być może niemające (tak jak ja) czasu i dostatecznego zapału do zgłębiania wiedzy na temat swojej wiary. Tym większe jest moje uznanie dla Was za publikowanie tekstów odnoszących się do wiary, i szerzej, problemów Kościoła. Każda taka publikacja, a czytam bądź przeglądam wiele tygodników, upewnia mnie w przekonaniu, że wierny pozostanę wyłącznie „Do Rzeczy".

Pozdrawiam całą Redakcję
Maciej Sokołowski

„Prawy" do „lewego"

[...] Miałam okazję uczestniczyć niedawno w jednym ze szkoleń dla mojej grupy zawodowej. Pani prowadząca na „dzień dobry", chcąc rozładować atmosferę, która napięta skądinąd nie była, spytała nas, uczestników: Jak wam się wstawało w poniedziałkowy ranek (12.07) w nowej rzeczywistości? Pytanie obliczone było na ironiczną reakcję zgromadzonych i niemal się to udało – wiele osób stęknęło wymownie, ale ja – swoim entuzjastycznym „SUPER!" – zepsułam chyba cały efekt.

Prowadząca postanowiła się nie poddawać – przeszła płynnie do krytyki programu „500+", a że szkolenie było o pomocy społecznej, popłynęła wartko w swoich lewicowych opiniach. Stwierdziłam głośno, że nie powinniśmy generalizować [...].

Jednak niemal wyszłam z sali, gdy padło pytanie do publiczności: A widzieliście, Państwo, te memy w Internecie, gdzie grupka pijaków siedzi na ławeczce i cieszy się z wyboru PAD, bo nie będzie musiała iść do pracy...?". Śmiech poniósł się po sali, a mnie wystarczyło już tylko sił na stanowcze stwierdzenie, że można kogoś bardzo urazić takimi stereotypami i że choć jestem wyborcą właśnie PAD, to „pijakiem z ławeczki" absolutnie się nie czuję...

[...] Do mnie jednak, zresztą po raz kolejny, dotarło, że siewcą pogardy i nienawiści nie jest prawa strona, ale lewa.

W myśl zasady, że z prądem płyną tylko martwe ryby, wszystkim myślącym „na prawo" życzę odwagi. Na najbliższe pięć lat i dłużej!

Asia Seklecka-Pich

Protest J.K. Rowling

Szanowna Redakcjo,
[...] przy okazji jej [J.K. Rowling – przyp. red.] przykrych przygód wyraźnie widać, że transpłciowość w męskim wydaniu (facet poczuł się kobietą) to w większości przypadków nic innego jak tylko nowa, wyrafinowana przemoc mężczyzn wobec kobiet. Mogły nią nie być pojedyncze rzadkie przypadki, ale zjawisko na tak masową skalę, jaka rysuje się na Zachodzie, staje się realnym zagrożeniem, ponieważ wiąże się z zawłaszczeniem kobiecego terytorium (bo takie jednak wciąż istnieje). Mężczyzna niepozbawiony męskich atrybutów korzystający z damskiej toalety może budzić obawy ich zwykłych użytkowniczek. [...] Inną kwestią też godzącą w kobiety jest korzystanie przez pary bez damskich cech w coraz szerszym zakresie z surogatek. Nie mówiąc już o coraz głośniej poruszanej sprawie sportu! Kobiety, obudźcie się, znów, tym razem pod płaszczykiem idei wyzwolenia ze szkodliwych ograniczeń, dałyśmy się wpuścić w maliny. I oni wciąż górą! A jeśli się zbuntujemy, to nas rozjadą, zawstydzą, z gorliwą zresztą pomocą naszych sióstr, entuzjastek nowej wiary. Skąd my to znamy?

Z poważaniem
Małgorzata Maresz

Piotrowi Walerychowi

głębokie wyrazy współczucia i żalu z powodu śmierci

ŚP.

Żony

składają przyjaciele z „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Iwańczuk/REPORTER**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

FIRMA RODZINNA

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl f7da1498f7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Coraz głębiej w ciemność

Figura Jezusa z napisem „Sursum Corda" dźwigającego krzyż przed bazyliką św. Krzyża w Warszawie nie jest jednym z wielu stołecznych pomników. Jego losy to dzieje stolicy w pigułce. Statua stanęła przed kościołem w 1858 r., ale już w 1887 szaleniec odrąbał Chrystusowi rękę.

W czasach zaborów uważana była za aluzyjną zapowiedź zmartwychwstania wolnej Polski. W czasie powstania Niemcy wysłali dla jej zniszczenia transporter min Goliat. Zdjęcie leżącej na bruku figury z oficerami SS w tle stało się symbolem zamordowania stolicy. Po zrzuceniu rzeźby z cokołu Niemcy wywieźli ją w celu przetopienia do Hajduków koło Nysy i w 1945 r. przypadkiem odkryli ją w rowie żołnierze LWP maszerujący na Drezno.

Wspomniał o niej Jan Paweł II w homilii z 2 czerwca 1979 r. na pl. Zwycięstwa: „Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę, [...] w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu".

Nie sposób zrozumieć stolicy bez tej figury. A jednak można było perfidnie odwrócić jej znaczenie. Nałożyć figurze Boga-człowieka maseczkę z różowym znakiem anarchizmu

Nie sposób zrozumieć stolicy bez tej figury. A jednak można było perfidnie odwrócić jej znaczenie. Nałożyć figurze Boga-człowieka maseczkę z różowym znakiem anarchizmu i pod ramię statui wetknąć tęczową flagę.

A potem wzruszyć ramionami na ból ludzi wierzących, używając perfidnego argumentu – bluźnierstwo wobec pomnika to nic przy krzywdach homoseksualistów. I z kpiącym uśmieszkiem dowodzić, że Jezus na pewno wspierałby ruch LGBT. Równie przygnębiająca była słabość protestów. List kard. Kazimierza Nycza, ostre słowa premiera Morawieckiego. Ale co dalej? Parę zbiórek podpisów na Facebooku, które nie przebiły się do medialnego mainstreamu.

A naprzeciw chór zachwycony swoją pomysłowością i w usprawiedliwieniu incydentu i zachęcający do wtykania dalszych tęczowych flag w pomniki. Sama elita, sami celebryci z chwalebnym wyjątkiem paru znanych nazwisk, które znalazły trochę przyzwoitości, by wskazać „źle się dzieci bawicie".

Te same argumenty, że Maryja nie miałaby nic przeciw tęczowej aureoli, słyszeliśmy, gdy wiosną 2019 r. aktywiści LGBT ozdabiali homotęczą wizerunek Pani Częstochowskiej. Gorzej już być nie może? Otóż może. Opowiadają o tym filmy z Ameryki Południowej, gdzie lewicowcy palą kościoły. Czy tylko kilkadziesiąt osób w Warszawie i poza stolicą czuje, że dzieje się coś bardzo złego? Czy musi zapiać trzeci kur? ©℗

FOT. MATEJ DIVIZNA/GETTY IMAGES

USA PRZERZUCAJĄ WOJSKA Z NIEMIEC

Pentagon ogłosił oficjalnie decyzję o wycofaniu z Niemiec 11,9 tys. amerykańskich żołnierzy. Operacja, której koszt szacowany jest na kilka miliardów dolarów, ma się rozpocząć „tak szybko, jak to możliwe". Wiadomo, że część oddziałów wróci do USA, a 5,6 tys. żołnierzy trafi m.in. do Włoch, Belgii oraz do Polski. USA planują do naszego kraju rotację „przewodniego elementu" odtwarzanych obecnie dowództw V Korpusu armii USA. Po zakończeniu operacji w Niemczech pozostanie jeszcze ok. 25 tys. żołnierzy. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Sekatura

W jednej z mniej znanych sztuk Fredry (to z niej wziąłem tytuł, kto ciekaw, co to staropolskie słowo znaczy, niech spyta wujka Google'a) główny bohater rozpaczliwie usiłuje jakoś pozbyć się rewolweru, który przypadkiem znalazł się w jego posiadaniu, a który, jak wierzy, ściąga na niego podejrzenie i kłopoty. Oczywiście jakkolwiek by feralny rewolwer chował i jakkolwiek by udawał, że go nie ma i nigdy nie było, zawsze ktoś go nagle wyciąga, zwykle w najgorszym dla bohatera momencie.

Przypomina mi się ta stara komedia, ilekroć wraca „na tapetę" amerykańska ustawa 447 i, szerzej, żydowskie roszczenia. Już, już, wydawało się, udało się zatachlować, odwrócić uwagę, już wyborcy zapomnieli, można o sprawie zapomnieć… I w tym momencie nagle odzywa się czyjeś: „O, a skąd tu ten rewolwer, to twój?". Tak jak w minionym tygodniu – w samym środku propagandy o 750 mld gruchnęła wieść o bardzo dla Polski niekorzystnym raporcie departamentu stanu, a potem jeszcze o antypolskiej aktywności brytyjskiej Izby Lordów i zablokowaniu przez brytyjskiego ambasadora prac Sejmu nad ustawą reprywatyzacyjną.

U Fredry tytułowy rewolwer okazuje się w finale nieszkodliwą zabawką – i tu podobieństwa się kończą. Żydowskie roszczenia zabawą bowiem nie są i nie da się ich zgasić tromtadrackimi zapewnieniami, że kto w ogóle dopuszcza płacenie przez Polskę odszkodowań za Holokaust, ten „nie ma polskiej duszy". Zamiast robić uniki, władza musi się wreszcie na poważnie zabrać do reprywatyzacji. Dopóki nie zaspokoi się rzetelnie roszczeń uczciwych, uzasadnionych ze strony prawowitych spadkobierców skradzionego przez PRL mienia, dopóty nie ma Polska jak bronić się przed wymuszającymi haracze za „mienie bezspadkowe". Ścieżka, na którą wszedł przed laty PiS – zbywania problemu minami, odkładania na później i udawania, że go nie ma – prostą drogą wiedzie do sytuacji najgorszej z możliwych i haniebnej: że ostatecznie zaspokojeni zostaną, pod naciskiem USA i innych państw, kosztem naszego majątku narodowego, ci drudzy, a prawowici spadkobiercy pozostaną z kwitkiem. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Władza (euro)Ludu

Kto ich wybrał? Jakie mają prawo decydować? To najczęstsze i najbardziej zwodnicze argumenty przeciw władzom UE, bo za nimi zaraz pojawia się postulat „demokratyzacji Unii Europejskiej". Tymczasem Polską nie powinni rządzić ani belgijscy urzędnicy, ani niemieccy wyborcy. Piszę o tym po niedawnym finansowym sukcesie Polski na Radzie Europejskiej. Oczywiście sukces był tylko finansowy, a więc doraźny, a ustępstwa zmierzające do większej władzy Unii mogą mieć skutki trwałe. Subwencje się wyda – podległość zostanie. Ale nawet ten względny sukces został na drugi dzień zakwestionowany przez Parlament Europejski. I nic dziwnego.

Parlament nie uważa się bowiem za organ Unii, działający w granicach kompetencji przyznanych w traktatach, ale za przedstawicielstwo Ludu Europejskiego, pilotujące konieczną ewolucję ku coraz większej suwerennej eurowładzy i coraz mocniej zaciskającej się unifikacji. W Radzie Europejskiej możemy negocjować, w Parlamencie arbitralnie definiuje się stanowisko większości.

Jeśli chcemy więc bronić charakteru Unii Europejskiej jako związku państw (a to jedyna możliwa forma naszego udziału), to musimy konsekwentnie bronić mechanizmu międzyrządowego i uprawnień Rady Europejskiej, czyli prościej – roli rządów, ich uzgodnień i współpracy.

Kiedy jechałem kontrolować ich do Brukseli, wielokrotnie słyszałem (również od dziennikarzy): „Skoro się z nimi nie zgadzasz, to po co tam jedziesz?". Najlepsza, choć nie najprostsza odpowiedź brzmiałaby: „Przeczytajcie »Kritona«! A jeśli Was od czytania bolą oczy, to obejrzyjcie przynajmniej świetną inscenizację Dariusza Karłowicza. A jak i to za trudne, zrozumcie chociaż jedno: polityka jest kwestią obowiązku, nie prywatnych preferencji, a rzeczywiste przekonania z obowiązków się rodzą. Nawet jeśli nie mamy ochoty wypełniać tych, które Bóg nakłada. Nawet jeśli nie zgadzamy się z decyzjami Ojczyzny, wobec której musimy obowiązki wypełniać". ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O ideologicznej czystości języka

W Sowietach, aby uniknąć nieprzyjemnej podróży na Kołymę, trzeba było niesłychanego wyczulenia na kapryśne zmiany stosunku Kremla do zjawisk i ludzi. Z dnia na dzień prawdy objawione komunistycznej wiary stawały się herezją karaną zsyłką. Dzisiaj intelektualna czołówka w USA musi pilnie śledzić wydawane z rewolucyjnym zapałem biuletyny żandarmerii poprawności językowo-ideologicznej. Wykroczenia karane są obsobaczeniem, wykluczeniem i zsyłką tam, gdzie w USA postępowcy trzymają zakneblowanych wsteczników.

John Daniszewski, kiedyś korespondent w Warszawie, a dziś żandarm w agencji Associated Press, z powodu wiadomych wydarzeń ustalił, że trzeba pisać „Black", a nie „black" w odniesieniu do Afroamerykanów. Ale białego można traktować z małej litery – „white", choć badania nad tym trwają. Dlaczego? Jak czytamy, społeczność ludzi czarnych, w Afryce i poza nią, łączy poczucie wspólnej historii i tożsamości. Tej zbiorowości należy się więc duża litera. Co innego z białymi. Nie posiadają wspólnej historii, kultury ani nie doświadczyli prześladowań z powodu koloru skóry. W ten sposób Daniszewski „zniknął" chrześcijaństwo, a przy okazji spuściznę po starożytnej Grecji i Cesarstwie Rzymskim.

Okazuje się jednak, że z białymi jest problem. Pisanie „White" brzydko kojarzy się z suprematystami („White power"). Z kolei, jak zauważa jedna z postępowych amerykańskich dam, deprecjonujące „white" czyni z „Białych" zbiorowość zwykłą, pospolitą i niewinną, a przecież to „Biali" wymyślili rasizm i chcą w ten sposób uniknąć odpowiedzialności.

Wszystko zakrawa na powrót niesławnej scholastyki. Trzy lata temu żandarmeria Associated Press doszła do wniosku, że nie wolno dalej pisać „Afro-Amerykanin" (African-American), ale trzeba „Afrykański Amerykanin" (African American). Dlaczego? Ponieważ łącznik to powstały w XIX w. agresywny, ortograficzny przejaw rasizmu – odróżniania czarnych mieszkańców od reszty.

Na miły Bóg, przecież to jest krystalicznie czysty idiotyzm. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Gminki wolne od unijnych pieniędzy

Wieszanie przez aktywistów fejkowych znaków „zakazujących LGBT" przed wjazdem do miejscowości, celowe wykreślanie słowa „ideologia" z treści uchwał oraz tysiąc mniejszych impulsów w końcu przyniosły upragniony sukces. „Wartości i prawa podstawowe UE muszą być szanowane przez państwa członkowskie i władze państwowe. Z tego powodu sześć wniosków o partnerstwo miast dotyczących polskich władz, które przyjęły uchwały o »strefach wolnych od LGBTI« lub »prawach rodziny« zostało odrzuconych" – ogłosiła unijna komisarz Helena Dalli. „Czy ja już wygrałam zakład z ministrem Jabłońskim? Strefy wolne od LGBT wolne też od unijnych pieniędzy" – zapytała Katarzyna Kolenda-Zaleska.

Gdzieniegdzie entuzjazm trzeba było jednak ukrywać. „»Karanie lokalnych społeczności za to, że radni podjęli głupią uchwałę, jest czymś niedobrym« – mówi rzecznik PO Jan Grabiec. Karać powinno się tych, którzy podjęli uchwałę – taki przekaz płynie dziś ze strony Platformy" – poinformował reporter Radomir Wit. „Zaraz, a czy to PO nie chce karania wszystkich Polaków za decyzję rządu, domagając się sankcji finansowych" – zauważyła jednak Kataryna.

Nie wszędzie na Twitterze bawiono się jednak w hamletyzowanie. „6 polskich miast, które ogłosiły się »strefami wolnymi od LGBT«, właśnie zostało »strefami wolnymi od pieniędzy z UE«. W kolejce czekają kolejne. Władze tych miast po brakujące pieniądze mogą się zwrócić do Ordo Iuris. Albo bezpośrednio na Kreml. Szybsza ścieżka" – stwierdził radośnie Krzysztof Gawkowski z SLD.

„I gminki z Podkarpacia wolne od tęczowej zarazy dostały w pysk – pieniądze z Unii mogą sobie co najwyżej wydrukować na drukarce. Brawo! Dość p.....a się z tymi popaprańcami pisowskimi!" – orzekło w podobnym duchu „Kondominium", profil śledzony przez całą śmietankę polityków opozycji. Jak pięknie to pasuje do diagnozy Marka Migalskiego, który od komentowania polityki po wyborach miał stronić, ale jakoś nie potrafi. „Lewicowców i liberałów mamy w Polsce cywilizowanych, banalno-zachodnich, europejskich. Ale prawicę dziką, wschodnią, azjatycko-postsowiecką". ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

gdwaj panowie

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ważna wiadomość z frontu walki o rekonstrukturyzację rządu. Wszyscy mówią, że we wrześniu, ale my słyszeliśmy, że pod koniec sierpnia. Po pierwsze sierpień to miesiąc święta plonów, czyli dożynek, po drugie Naczelnik Państwa wróci wtedy z zasłużonego urlopu.

Nie wierzcie w informacje o superresorcie z czterech resortów. Jednak już w wiadomości o połączeniu MEN z Ministerstwem Szkolnictwa Wyższego – owszem. Słyszeliśmy też, że do Ministerstwa Kultury można by włączyć kulturę fizyczną, czyli sport. Jesteśmy za, lubimy czytać Schopenhauera na bieżni w siłce.

Już parę lat temu słyszeliśmy także, że właściwie nie ma sensu utrzymywanie osobnego Ministerstwa Żeglugi. Te i inne opowieści o niepotrzebnych resortach snuli ludzie premiera Mateusza jako marzenia ściętej głowy i nieodmiennie kończyli westchnieniem „Eeeech… no ale nie da się z tym nic zrobić". Powrót tych koncepcji oznacza większą, niż się wielu wydaje, rewolucję. I wyniesienie premiera Mateusza do rangi nadpremiera.

Zabawna rzecz. Gdy tylko gruchnęła wieść, że trzeba zlikwidować Ministerstwo Środowiska, natychmiast minister Woś rozpoczął demonstrowanie, jak bardzo jego resort jest niezbędny. Na początek zapowiedział pięciokrotne zwiększenie w lasach liczby fotopułapek oraz że będzie surowiej karał. Jak widzicie, jest minister Woś stuprocentowym ziobrystą – pułapki, karanie i konferencje prasowe. Niezależnie od resortu.

Apropos ziobrystów. Nie pomagają. Taka jest opinia z okolic premiera Mateusza. To znaczy: nie pomagają chryją o konwencję stambulską. Konwencja była do wypieprzenia, ale późną jesienią, taki był plan. Natomiast grzanie tematu teraz jest odczytywane dwojako. Raz – jako wielka gra Zizou Ziobry na siebie. Dwa – jako skasowanie przez niego efektu propagandowego szczytu unijnego, który wzmocnił premiera Mateusza. Zamiast o miliardach ojro i wstawaniu kolan nagle wszyscy muszą rozprawiać o konwencji.

W kwestii konwencji najpiękniejsza jest wolta Zolla Andrzeja, znanego jako profesor. Przed laty stambulskiej zarazy bał się jak ognia, dziś już ją chwali. Traktujemy woltę Zolla symbolicznie. Taką nas pokarano opozycją. Nawet kiedy raz na kilka lat powie przez przypadek coś, co ma sens, to prędzej czy później i tak zrobią wszystko, żeby się od tego odciąć. Totalność zobowiązuje.

Apropos Eine Totalopposition. Ważna wiadomość dla Szymka Hołowni, który uważa, że Rafcio Trzaskowski ukradł mu ruch. To znaczy pomysł na ruch. To znaczy ideę ruchu. Otóż z tego, co mówią nasze wiewiórki, idea ruchu jest dużo starsza. Starsza nawet od Kopernika, który wstrzymał słońce, a w ruch wprawił Ziemię.

Przy okazji: Czym się różni solidarność od Nowej Solidarności? Tym samym czym normalność od nowej normalności.

Ujawniamy. Wiadomo już, ile czasu potrzeba, żeby zrobić karierę w PeŁo. Niespełna dwa tygodnie. To się przydarzyło Rafciowi Trzaskowskiemu. No bo jeszcze dzień przed drugą turą wyborów był kandydatem niezależnym i społecznym, a zaraz po tym, jak ogłosił Nową Solidarność, jego koledzy z partii zaczęli przypominać, że nie jest taki niezależny, bo to wiceprzewodniczący PeŁo. Od nędzy do pieniędzy w dwa tygodnie! To znaczy od zwykłego obywatela do ważnego nababa partyjnego! Nawet w Ameryce tak nie ma!

Apropos nadchodzącej nowej normalności. Po informacji, że Sławku Nowaku vel Lolo Pindolo został trafiony przez CBA dzięki maszynce czytającej informacje na szyfrowanych komunikatorach, w kraju wybuchła panika. Większość łapówkarzy używa bowiem rozmaitych signali i telegrafów. Cóż, nie mamy dobrych informacji. To prawda. Wszystkie przewały, jakie robiliście, kochani, na ustawianiu przetargów, są przejrzyste dla służb. Przypominamy jednak, że możecie uzyskać nadzwyczajne złagodzenie kary, zanim CBA zerwie was o świcie z łóżek. Możecie po prostu zakapować kumpli. Zanim oni zakapują was. A kilku się poważnie nad tym zastanawia.

Dawno nie gościł już na naszych łamach nasz ulubieniec niejaki Bartłomiej Misiewicz. Ostatnio przez media przeleciało info, że wychudł i zajął się produkcją wódki o wdzięcznej nazwie Misiewiczówka. Nawet chcieliśmy kupić, ale żaden z okolicznych sklepów nie miał. Mimo tego Bartkowi powodzi się całkiem nieźle, bo pomyka po mieście naprawdę wypasioną bryką. Zasięgnęliśmy języka i okazało się, że fundatorem bryki podobno jest sam znany reżyser Patryk Vega, który miał zapłacić Bartkowi okrągłą bańkę za wykorzystanie jego historii w filmie. Postulujemy w tej sytuacji, żeby poszerzyć definicję konfiskaty poszerzonej o podobne przypadki.

Paweł Miter, kryminalista, który wyłudził kasę od prezesa Amber Gold i miał za to trafić za kraty, triumfuje, bo sąd walnął mu grzywnę na prace społeczne, ale zdecydował, że nie trafi za kraty za niepłacenie grzywny. Sąd wziął za dobrą monetę opowieści Mitera, jaki jest on biedny, bo na bezrobociu. Jest tylko jeden problem. Sąd nie zapoznał się z Twitterem. A Pawełek miał zwyczaj wrzucania tam fotek siebie za kółkiem jak nie beemki, to porszaka albo audicy. A co gorsza, Pawełkowi uprawomocnił się wyrok za pomówienie pewnego sędziego z Siedlec.

Na koniec wracamy do PeŁo. Nasz cytat minionego tygodnia to tekst Borysława Budki z wywiadu dla „Rzepy". „Da się wygrać z PiS. Tylko trzeba dołożyć jeszcze jedną cegłę". Zgadzamy się. Też uważamy, że w PeŁo są same cegły. Niektórzy twierdzą, że też parę kielni. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. PAWEŁ GROMADA

GOTOWY NA EKSPERYMENT

Podczas ostatniego występu Zenona Martyniuka na scenę wkroczyła Edzia Górniak, która brała udział w tym samym koncercie. Weszła, potupała nóżką, pomachała do publiczności i sobie poszła. Podobno całe to wydarzenie nie było wyreżyserowane, lecz było spontaniczną akcją piosenkarki. Tak przynajmniej twierdzi sam Zenek. „To nie było zaplanowane ani wyreżyserowane. Śpiewałem sobie jedną ze swoich piosenek, kiedy nagle zauważyłem, że obok mnie jest Edyta" – powiedział „Super Expressowi".

„Poczułem się wyróżniony i naprawdę fajnie to wyszło. Nie przypuszczałem, że stać ją na taki spontaniczny gest. Wcześniej powiedzieliśmy sobie tylko »Dzień dobry« na backstage'u i nic więcej" – wyznał. Okazuje się, że w tej sytuacji Zenek nie wyklucza wcale przyszłej współpracy z Edytą. „Nie myślałem o tym, ale jestem otwarty na muzyczne eksperymenty" – dodał. Pytanie, czy świat jest na nie gotowy. My na pewno nie. Jeszcze długo nie.

UMYSŁ BEZ GRANIC

Duetu Edzi z Zenkiem możemy się na szczęście prędko nie doczekać. Powód? Edzia ma chyba inne, ważniejsze plany na najbliższą przyszłość. Są to plany, o zgrozo, polityczne. W ostatnim wywiadzie Górniak wyznała bowiem, że ma ochotę zaangażować się w działalność polityczną właśnie.

„Polska zasługuje na takie odświeżenie. W przemyśleniach, w edukacji i w przygotowaniu młodych ludzi do życia dzisiaj. Te systemy są bardzo przestarzałe i należałoby wdrożyć takie subtelne, ale bardzo istotne zmiany" – powiedziała Wirtualnej Polsce. „Jak już przygotuję i opracuję w całości taki materiał, to będę się starała spotkać z ministrami i przedstawić swoje pomysły" – dodała. Piosenkarka liczy na to, że jej propozycje zostaną potraktowane poważnie przez polityków wszystkich partii. „Przez 30 lat udzieliłam wywiadów tak ogromnie dużo, przeróżnym osobom, które mają różne upodobania polityczne czy społeczne. To nie są granice, które wyznacza moja głowa" – wyznała. Obawiamy się, że głowa Edzi nie zna żadnych granic. Czyli do polityki nadaje się idealnie!

CO KOMU W DUSZY GRA

Tymczasem Manuela Gretkowska w związku z wygraną prezydenta Andrzeja Dudy szykuje się do wyjazdu. Wystawiła już swój dom na sprzedaż, ale ma chyba za dużo propozycji wywiadów, więc nie ma czasu się spakować. W ostatnim, udzielonym Onetowi, znów jak zwykle opowiadała o swoim cierpieniu, związanym z rządami nielubianej partii. „Jerzy Stuhr dostał wylewu, Janda była obsrana, ja się czuję wyjechana" – zaczęła subtelnie. Po czym zaczęła rozprawiać o tym, jakie stany emocjonalne towarzyszą jej od czasu ostatnich wyborów. „Teraz czuję się bezradna, muszę złapać oddech i gdzieś pozbierać myśli" – narzekała. „Myślę, że te czołgi, których nie ma na ulicach, są w mojej duszy" – dodała. To już wiadomo, dlaczego pani Manuela zachowuje się cały czas, jakby na jakiejś wojnie była. To przez te czołgi w duszy!

SKARB PLATFORMY

Pisarka Maria Nurowska przed wyborami prezydenckimi mocno wsparła kandydaturę Rafała Trzaskowskiego. Widziała w niej nową nadzieję na pokonanie PiS. Teraz, kiedy Trzaskowski zapowiedział powołanie nowego ruchu obywatelskiego, pani Nurowska jest już mniej zachwycona.

FOT. BARTOSZ KRUPA/DDTVN/EAST NEWS

„Nie jestem optymistką, jeśli chodzi o te huraobywatelskie byty Rafała Trzaskowskiego i Hołowni. Ten drugi dość szybko się rozleci, a ten Rafałowy nie przyniesie takiego zwycięstwa, na które oczekujemy" – stwierdziła. Nurowska ma własną wizję tego, co musi zrobić opozycja, by osiągnąć kiedyś sukces. „Rafał Trzaskowski powinien stanąć na czele PO i pan Borys Budka powinien się z tym pogodzić. Jest dobrym prawnikiem z pewnością, ale nikogo nie porwie jako osobowość i szef największej partii opozycyjnej" – uważa Nurowska. „Obok Rafała powinni stanąć młodzi, prężni posłowie, których ma w swoim skarbcu PO [...]" – radzi pisarka. I pani Nurowska też, koniecznie! To jest dopiero prawdziwy klejnot w skarbcu PO! ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, rząd nawołuje społeczeństwo tego kraju do noszenia maseczek i po części wyjątkowo musimy się z tym zgodzić. Otósh noszenie maseczek w Polsce, owszem, powinno być obowiązkowe. Ale nie tylko w czasie epidemii.

Wszyscy przecież wiemy, jak wygląda typowa polska twarz. Przepełniona agresją, nienawiścią i zazdrością, kiedy sąsiad kupi nowego passata, ocieli mu się krowa, a rozjaśniona uśmiechem wtedy, kiedy jego synowi ucieknie ostatni autobus do Rzeszowa na paradę równości.

Teraz niby jest lepiej, iż nie widać tych wiecznie niezadowolonych twarzy, ale za to widać przerażające oczy, z których wyczytać można ksenofobię, nietolerancję i rasizm. My się od tego boimy wychodzić na ulice i jeździć tramwajem.

Dlatego z naszej strony postulujemy, iżby jeszcze obowiązkowe było noszenie ciemnych okularów, oczywiście innych niż prady lub rejbany, abyśmy jednak mogli się odróżnić od przeciętnego mieszkańca tego kraju, który będzie nosił tanie szkła z targowiska.

Odkryliśmy właśnie, iż ten rząd planuje stworzyć armię fanatyków-asasynów, którzy będą pilnowali, aby w tym kraju dominowała jedna ideologia katofashystoffska.

Zobaczcie sami – stadiony otwarte, kościoły otwarte, a szkoły jak były zamknięte, tak są.

A więc tak się formuje młodych ludzi w kraju w środku Europy – najpierw w niedzielę do kościoła, potem na mecz Ekstraklasy i utwierdzać się w przekonaniu, iż jesteśmy najlepsi w Europie, a nawet na świecie.

A edukacja, wrażliwość, prawa człowieka – gdzie na nie miejsce? Jeśli jedynymi placówkami edukacyjnymi w tym kraju dla młodego człowieka mają być stadiony i kościoły, to my chyba jednak już nieodwołalnie wyjeżdżamy.

Zaprezentowany został prototyp pierwszego polskiego samochodu na prąd. Niby eko, nie? Otósh nie. Uważajcie na propagandę.

Chyba bowiem pamiętacie, z czego wytwarza się polski prąd? Z węgla. A zatem każdy wyprodukowany polski samochód elektryczny zwiększa zapotrzebowanie na węgiel i jego produkcję.

Sami widzicie – czy to przypadek, iż rząd najpierw niby chciał kopalnie zamknąć do 2036 r., potem stwierdził, iż jednak nie zamyka, a na koniec ogłoszono, iż powstaje polski samochód elektryczny? Takie są fakty.

Dlatego zapamiętajcie, iżby nie dać się zwieść. Polska nawet pod przykrywką nowoczesności to wciąż węgiel kamienny i wąsaty górnik. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Jak prezydent z prezydentem

No, co tam słychać, panie prezydencie?
W sumie to niewiele, panie prezydencie. A u pana?
Spokojnie. Do Juraty chyba skoczymy na kilka dni.
Krawat fajny.
Prawda? Od Agaty dostałem.
Ile jeszcze czasu musimy siedzieć?
No... Posiedźmy jeszcze chociaż z 10 minut, żeby nie było, że jak po ogień pan wpadł.
To w takim razie kawę bym jeszcze jedną poprosił, bo przysypiam trochę.
Jasne, nie ma problemu. Kawę dla pana prezydenta poprosimy jeszcze.
Gorąco.
No.
To co mówimy, jak już wyjdziemy?
Że dobra, spokojna rozmowa... Merytoryczna. Jakąś ustawę pan podobno miał dla mnie?
A, faktycznie, zapomniałbym z tej senności. Ale nie wiem, co tam dokładnie jest. Dali mi i powiedzieli, żebym panu zostawił, to zostawiam.
Dzięki. Ja też nie wiem często, co mi tam podsuwają do podpisu. Zaufanie do ludzi trzeba mieć.
Fakt.
...
No dobra, chyba już możemy iść. Dziesięć minut minęło. Panie Rafale! Halo! Pan się obudzi, już koniec! No masz ci los... ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gdyby żył teraz, szedłby w marszu równości [...]"

AGATA DIDUSZKO-ZYGLEWSKA, *warszawska radna i lewicowa działaczka, o Jezusie – komentując na Twitterze sprawę profanacji figury przy bazylice św. Krzyża w Warszawie*

eprasa.pl f7da1498f7

JACEK PRZYBYLSKI: „Czas pozbyć się genderowego konia trojańskiego". Tak pański zastępca Marcin Romanowski mówił o wypowiedzeniu konwencji stambulskiej. Dlaczego ten „koń trojański" zaczął być groźny akurat teraz, skoro Polska podpisała tę konwencję w 2012 r., a ratyfikowała ją trzy lata później?

ZBIGNIEW ZIOBRO: Już w 2015 r. Zjednoczona Prawica w swym programie wyborczym zobowiązała się wypowiedzieć tę konwencję. W naszej ocenie została ona przyjęta w sposób sprzeczny z polską konstytucją i uderza w tradycyjne wartości, których środowiska prawicowe są naturalnym obrońcą.

Przepisy zabraniające przemocy wobec kobiet są sprzeczne z konstytucją? Sekretarz generalna Rady Europy Marija Pejčinović Burić na wiadomość o planach wycofania się przez Polskę z konwencji stambulskiej powiedziała wprost, że „stanowiłoby ono wielki krok wstecz, jeśli chodzi o ochronę kobiet przed przemocą w Europie". Przeciw pańskim planom protestuje też wiele Polek.

To skrajna manipulacja. W pełni aprobujemy i spełniamy założenia konwencji dotyczące ochrony kobiet przed przemocą. Pod tym względem polskie prawo zapewnia kobietom znacznie większą ochronę, niż wymaga tego konwencja. Jako minister sprawiedliwości wprowadziłem wiele zmian, dzięki którym nasze prawo może stać się wzorem ochrony kobiet przed przemocą i przemocą domową nie tylko w Europie, lecz także na świecie. Przyjęte zmiany np. pozwalają policjantom na podjęcie decyzji o natychmiastowej eksmisji sprawcy przemocy domowej i zastosowanie zakazu zbliżania się do miejsca zamieszkania ofiary i jego najbliższego otoczenia. Stworzyliśmy też błyskawiczną ścieżkę sądową w tych sprawach. To wielki krok naprzód, ponieważ wcześniej tego typu sprawy ciągnęły się miesiącami. Żadne lewicowe środowiska, czy to w Skandynawii, czy w Niemczech, czy w Holandii, nie doprowadziły do wprowadzenia ostrzejszych przepisów w swoich krajach, mimo że tyle mówią o prawach kobiet.

FOT. MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

Teraz zamierzacie złagodzić te przepisy?

Absolutnie nie. Co więcej, już jesienią w porozumieniu z koalicjantami zamierzamy zaostrzyć kary dla sprawców okrutnych przestępstw seksualnych. Sprzeciwiamy się jednak drugiej części konwencji stambulskiej, która jest ukryta pod szlachetnym hasłem ochrony kobiet, a ma wyłącznie ideologiczny charakter. I na tym polega manipulacja.

Chodzi o hołdujące ideologii gender zapisy forsujące pogląd, że przyczyną przemocy wobec kobiet są: rodzina, małżeństwo rozumiane jako związek kobiety z mężczyzną, wypływająca z chrześcijańskich wartości tradycja i kultura. To wartości i wolności, które chroni polska konstytucja, a z którymi walczy konwencja stambulska. Wprost atakuje religię i upatruje w niej – podobnie jak w opartej na chrześcijańskich wartościach tradycji – przyczyn przemocy wobec kobiet. To zakłamywanie i wywracanie rzeczywistości. Przyczynami przemocy wobec kobiet jest właśnie upadek wartości, rozpad i dysfunkcje tradycyjnych rodzin, alkoholizm i narkotyki, które sprzyjają różnego rodzaju patologiom, a nie odwrotnie. Poziom przemocy wobec kobiet jest znacząco wyższy np. w zlaicyzowanych krajach skandynawskich niż w Polsce.

Rodzina chroni przed przemocą?

Oczywiście. Jest wiele empirycznych badań, które pokazują, że tam, gdzie rodzina działa dobrze, gdzie rodziny szanują się i kochają, jest mniej nie tylko przypadków przemocy domowej, lecz także problemów z alkoholem, narkotykami i innymi patologiami. Popełnianych jest tam też mniej ciężkich przestępstw kryminalnych, na to wskazują obiektywne dane. Wystarczy spojrzeć na strukturę przestępczości w Polsce, aby zobaczyć, że w tych województwach, w których wpływy tradycji i religijność są największe, jest najniższa przestępczość z użyciem przemocy, w tym przemocy wobec kobiet. Te kraje Europy Zachodniej, które z prymusowskim zacięciem realizują ideologiczne założenia konwencji, znacząco górują nad Polską w liczbie przestępstw z użyciem przemocy wobec kobiet. To są twarde fakty. Podobnie wyglądają europejskie statystyki policyjne. W tych krajach, w których doprowadzono do rozbicia tradycyjnych rodzin, jest najwięcej przypadków przemocy wobec kobiet.

Wszystkie empiryczne dane całkowicie podważają więc forsowane w konwencji stambulskiej przekonanie środowisk lewicowych i feministycznych, że to rodzina jest źródłem problemów. Z tym nie można się zgodzić. Co więcej, niebezpieczeństwo konwencji stambulskiej polega na lansowaniu antywartości, które uderzają w rodzinę, mają destrukcyjny wpływ na tradycyjne więzi społeczne i w efekcie sprzyjają rodzeniu się agresywnych zachowań.

Dokument, w myśl ideologii gender i postulatów środowisk LGBT, obliguje poszczególne państwa do podejmowania działań na rzecz promowania tzw. płci społeczno-kulturowej, będącej

Ze Zbigniewem Ziobro, ministrem sprawiedliwości i liderem Solidarnej Polski
rozmawia Jacek Przybylski

Czas na wartości

eprasa.pl f7da1498f7

zaprzeczeniem płci biologicznej. Środowiska LGBT próbują nam wmówić, że płeć biologiczna to archaizm, ponieważ płeć ma być rzekomo kwestią subiektywnego wyboru. W związku z tym powinniśmy na nowo zdefiniować pojęcie rodziny, zezwolić na adopcję dzieci przez pary homoseksualne i inne społeczne eksperymenty. Jest to ze wszech miar szkodliwe.

Akurat nauka tolerancji nie musi być szkodliwa.

Pod warunkiem, że chodzi o rzeczywistą tolerancję, rozumianą jako szacunek dla innych osób, także tych o odmiennej orientacji seksualnej, a nie przymus akceptowania norm i zachowań, które uderzają w nas samych i bliskie nam wartości. Ograniczają naszą wolność sumienia, wyrażania opinii czy wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Wtedy to nie jest tolerancja.

Facebook od kilku lat pozwala wybrać jedną z 56 płci, a rząd chyba nie chce go delegalizować?

Facebook jest międzynarodową korporacją i w przeciwieństwie do konwencji stambulskiej nie wpływa na obowiązujące w Polsce prawo. Jesteśmy wolnym krajem i nie zabraniamy nikomu wyrażania najbardziej oryginalnych poglądów. Można więc nawet twierdzić, że jest nie 56 płci, ale 156, i w żadnym razie nie zamierzamy tego zakazywać. Na tym polega konstytucyjna wolność wyrażania opinii, której bronimy.

Nie chcemy jednak, aby na skutek ratyfikowanej konwencji tego rodzaju poglądy były wiążące i obowiązujące we wszystkich organach administracji publicznej. Sprzeciwiamy się, aby były narzucane w procesie edukacji, od przedszkoli do uczelni wyższych. Nie widzimy też powodu, aby państwo finansowało projekty promujące tego typu poglądy w sferze kultury, a tego wszystkiego wymaga od nas konwencja stambulska. Realizacja wielu jej zapisów byłaby sprzeczna z polską konstytucją.

Środowiska LGBT próbują nam wmówić, że płeć biologiczna to archaizm, ponieważ ma być rzekomo kwestią subiektywnego wyboru

Pod szyldem tolerancji w wielu krajach są wprowadzane zmiany, które są jej zaprzeczeniem. Są wyrazem braku tolerancji wobec ludzi przywiązanych do swojej wiary i tradycyjnych wartości. Takie osoby są stawiane pod presją wpływowych mediów i środowisk, bywają szykanowane, grożą im nawet sankcje karne. W krajach skandynawskich zdarzają się przypadki odbierania dzieci rodzicom tylko z tego powodu, że nie chcieli zgodzić się na uczenie ich o ideologii gender. W Hiszpanii były wszczynane postępowania sądowe wobec księży, którzy – odwołując się do Pisma Świętego – nauczają zgodnie z katolicką wiarą o grzesznym charakterze aktu homoseksualnego.

To wyraz agresji m.in. środowisk LGBT, które używają narzędzi państwa do tego, aby wymuszać na innych przyjęcie własnego systemu wartości. Tutaj nie ma mowy o żadnej tolerancji. Założenia, na których opiera się m.in. konwencja stambulska, mają charakter zero-jedynkowy: jeśli myślisz tak jak my, to możesz normalnie funkcjonować, a jeśli wyznajesz inne wartości, to czekają cię konsekwencje i tolerancja już ciebie nie obejmuje. Stąd wściekły atak po zapowiedzi wypowiedzenia konwencji.

Dlaczego więc wniosek o wypowiedzenie tej konwencji pojawia się dopiero teraz?

Rząd podjął się wielu zobowiązań, których realizacja wymagała czasu. Zaczął od projektów społecznych polegających na wspieraniu polskich rodzin: to m.in. „500+", ulgi podatkowe dla młodych i 13. emerytury. Teraz przyszedł czas na realizację programu w sferze wartości.

Dziennikarz „Politico Europe" Jan Cienski napisał na Twitterze: „Chcesz podczas wakacji uderzyć kobietę lub spoliczkować dziewczynę? Przyjedź do Polski". Nie boi się pan, że taki właśnie będzie odbiór działań rządu?

Haniebne kłamstwo. Nie potrafię zrozumieć, jak można zdobyć się na coś tak ohydnego, co brzmi jak zachęta do bicia kobiet. Obowiązujące w Polsce prawo, które jeszcze zaostrzamy, jest zaprzeczeniem tych słów. Jednak ludzi pokroju ich autora nie obchodzą fakty, lecz propaganda oparta na ideologii. Mamy do czynienia z ogromną agresją środowisk lewackich i lewicowych, które zdominowały media oraz fałszują rzeczywistość. To nie znaczy, że mamy ulegać szantażowi kłamliwych oskarżeń i godzić się na wprowadzanie ideologicznych rozwiązań sprzecznych z naszą konstytucją. Musimy wykazać odwagę, by bronić prawdy, nawet jeśli padamy ofiarą nagonki ze strony ideologów, którzy gardzą faktami i uciekają przed rzeczową dyskusją. Zamiast tego chcą nam narzucać swoje „jedynie słuszne" poglądy.

Zapytam więc o fakty: polskie sądy w sprawach o gwałt wciąż wydają najłagodniejsze wyroki w Europie, o Ameryce nie wspominając.

Przez ostatnie 20 lat swojej działalności wielokrotnie zgłaszałem propozycje zaostrzenia kar m.in. za gwałt ze szczególnym okrucieństwem. Przeciw byli ci, którzy dziś stroją się w piórka obrońców praw kobiet – środowiska lewicowe czy liberalne związane z Platformą Obywatelską. Stawali po stronie bandytów i gwałcicieli. Argumentowali, że jestem wobec nich zbyt surowy. Nie rozumiem, jak można ronić łzy nad sprawcą, który podczas gwałtu wydłubuje swej ofierze oczy, łamie ręce lub okalecza ją na całe życie. Dlatego, jak powiedziałem, jesienią złożę projekt, który zaostrzy kary dla sprawców okrutnych przestępstw seksualnych.

W USA bez trudu można zobaczyć na komputerowej mapie imiona i nazwiska oraz zdjęcia przestępców seksualnych mieszkających lub pracujących w okolicy. Może takich zwyrodnialców warto pokazywać też w Polsce?

To już się dzieje. Z mojej inicjatywy został już dwa lata temu uruchomiony publiczny rejestr przestępców seksualnych, nazywany rejestrem pedofilów. Dzięki niemu rodzice, nauczyciele, wychowawcy, a także szefowie placówek oświatowych mogą sprawdzić, czy osoby, które np. mieszkają w pobliżu albo które ubiegają się o pracę, dopuściły się przestępstw seksualnych. Nie tylko na dzieciach, ponieważ rejestr wbrew swojej potocznej nazwie obejmuje także sprawców gwałtów dokonanych ze szczególnym okrucieństwem na osobach dorosłych. Okoliczności wprowadzenia rejestru są jeszcze jednym dowodem na obłudę środowisk, które dziś udają obrońców praw kobiet. Projekt spotkał się z ogromnym atakiem ze strony nie tylko lewicy i Platformy Obywatelskiej, lecz także nawet rzecznika praw obywatelskich czy Fundacji Helsińskiej.

eprasa.pl f7da1498f7

Wracając do konwencji stambulskiej. Aby ją wypowiedzieć, parlament musi przegłosować ustawę, a prezydent złożyć pod nią swój podpis. Solidarna Polska próbowała już wcześniej wypowiedzieć konwencję w listopadzie 2016 r. oraz w grudniu ubiegłego roku, ale nie zyskała poparcia wśród koalicjantów. Tym razem jest pan pewien zwycięstwa? Pytał pan premiera Morawieckiego o zdanie przed wywołaniem burzy związanej z wnioskiem o wycofanie z konwencji stambulskiej?

Jesteśmy rządem koalicyjnym i jako taki przyjęliśmy w 2015 r. wspólny program, w którym jest mowa o wypowiedzeniu konwencji. Rzeczywiście, gdyby to tylko od nas zależało, konwencja zostałaby wypowiedziana wcześniej. Szanujemy naszych koalicjantów, ale wymagamy również szacunku wobec siebie jako współkoalicjantów. Dlatego będziemy domagać się realizacji wspólnego programu. Wymaga tego szacunek wobec wyborców.

Przed ostatnim szczytem w Brukseli Solidarna Polska jednoznacznie zapowiadała, że nie chce, by nasza delegacja zgodziła się na powiązanie środków budżetowych z kwestią praworządności. Tymczasem premier Mateusz Morawiecki podpisał jednak porozumienie, które – według szefa Rady Europejskiej – pierwszy raz w historii zawiera zapis o poszanowaniu praworządności jako kryterium rozstrzygającym przy wydatkach z unijnego budżetu. Pana zdaniem Mateusz Morawiecki powinien był zastosować weto?

Premier Morawiecki wielokrotnie publicznie deklarował, że wynegocjował w Brukseli gwarancję jednomyślności jako warunek zastosowania ewentualnych sankcji. To oznacza, że bez zgody któregokolwiek państwa – w tym także Polski – nie można użyć takiej procedury. Premier zapewnił nas, parlament i polską opinię publiczną, że udało mu się uzyskać minimum gwarantujące bezpieczeństwo Polski, bo taka zasada zawarta jest również w unijnych traktatach. Solidarna Polska nigdy się nie zgadzała ani nigdy się nie zgodzi na rozwiązanie, które chciała zaproponować Komisja Europejska, czyli na powiązanie budżetu z tzw. praworządnością, które pozwoliłoby jej blokować lub zabierać Polsce miliardy euro, jeśli nie będziemy realizować w kraju ich zachcianek w sferze prawa lub wartości.

Dlaczego ta praworządność tak bardzo przeszkadza rządowi w Warszawie? Jako minister sprawiedliwości chyba chciałby pan móc się chwalić tym, że w Polsce przestrzegane jest prawo.

W polityce Unii Europejskiej jest wiele kłamstwa. Pierwszym, o którym już mówiliśmy, jest ukrywanie pod szlachetnym celem, jakim jest walka z przemocą wobec kobiet, ideologicznych projektów, których intencją jest rozbijanie tradycyjnych wartości w myśl postulatów aktywistów LGBT i lewackich środowisk.

Unijni politycy posługują się podobnymi kłamstwami, używając hasła praworządności, pod którym tak naprawdę kryje się atomowa broń wymierzona w niepokorne państwa, które nie chcą się podporządkować dyktatowi. Nie chodzi o żadną praworządność, lecz o interesy największych unijnych państw. Celem jest już nie tylko ideologiczna, lecz także polityczna i ekonomiczna hegemonia. Pod płaszczykiem praworządności ukrywa się brutalna polityka. Maczugą praworządności okłada się takie państwa jak Polska, które po latach komunistycznego bezprawia tę praworządność przywracają, przyjmując bardziej demokratyczne rozwiązania niż obowiązujące w zachodnioeuropejskich krajach.

Dla przykładu: w Niemczech sędziów Federalnego Trybunału Sprawiedliwości, odpowiednika polskiego Sądu Najwyższego, powołują wyłącznie deputowani Bundestagu, a więc politycy. W Polsce takie kompetencje ma złożona w większości z sędziów Krajowa Rada Sądownictwa, powoływana spośród kandydatów zgłaszanych przez sędziowskie środowiska. I co się ostatnio stało? Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej ogłosił, że polski mechanizm wyboru sędziów rodzi niebezpieczeństwo związane z ich niezawisłością, natomiast w niedawnym orzeczeniu, że niemiecki nie rodzi żadnych problemów. Jak na dłoni widać więc, że mamy do czynienia ze stosowaniem podwójnych standardów.

Z czego wynika ta niechęć do Polski?

Z tego, że polski rząd jest konserwatywny. Jest nie tylko niechętny ideologicznym projektom uderzającym w tradycyjne wartości, lecz także zdeterminowany, by bronić naszej suwerenności. Sprzeciwia się przenoszeniu kompetencji suwerennych państw z Warszawy czy innej stolicy do Brukseli, a taki cel ma próba wpisania mechanizmu łączącego tzw. praworządność z budżetem.

To przyznanie Komisji Europejskiej prawa do podejmowania poza kontrolą arbitralnych decyzji o odbieraniu miliardów euro już przyznanych poszczególnym krajom, a w konsekwencji do ekonomicznego szantażu wobec tych państw. To danie Komisji Europejskiej ogromnej władzy, dzięki której mogłaby wpływać na działania rządów, parlamentów i innych suwerennych władz na obszarach, które zdaniem unijnych urzędników wchodzą w szeroko rozumianą sferę praworządności czy praw podstawowych.

Dotyczy to nie tylko wymiaru sprawiedliwości, lecz także rodziny, kultury, mediów czy edukacji. Nie przez przypadek podczas dyskusji w Parlamencie Europejskim jako przykład rzekomego braku praworządności w Polsce wskazywano to, że polskie prawo nie przewiduje zawierania małżeństw homoseksualnych, a rząd w Warszawie nie zgadza się na adopcję dzieci przez pary homoseksualne.

Gdyby Komisja Europejska podzieliła tę ocenę, następnym krokiem mogłoby być sformułowanie groźby: jeśli Polska nie wprowadzi homomałżeństw, to Unia zawiesi wypłatę miliardów euro przeznaczonych np. na politykę rolną. Absolutnie nie możemy się na to zgodzić. Komisja Europejska nie ma i nigdy nie miała takiej władzy. Europejscy politycy mogli na nas pohukiwać, pokrzykiwać i grozić nam palcem, ale zasada jednomyślności pozwalała Polsce obronić się przed próbą narzucenia nam niechcianych rozwiązań.

Jesteśmy rządem koalicyjnym i jako taki przyjęliśmy w 2015 r. wspólny program, w którym jest mowa o wypowiedzeniu konwencji stambulskiej

Zmiana zasad, a więc wiązanie tzw. praworządności z budżetem, oznaczałaby całkowitą zmianę ustrojową Polski i Unii Europejskiej. Byłaby ważnym krokiem do zbudowania europejskiego państwa, w którym Polska zostałaby sprowadzona do roli jednego z regionów, który musi się podporządkowywać decyzjom Brukseli kosztem własnej suwerenności.

Po ostatnim szczycie UE to się zmieniło?

Ufam pod tym względem w zapewnienia pana premiera, że nie. Trzeba jednak

eprasa.pl f7da1498f7

mieć świadomość wagi ustrojowej rewolucji, do której wbrew unijnym traktatom próbowała doprowadzić Komisja Europejska. Dzięki arbitralnej władzy nad miliardami euro mogłaby wymuszać zmiany w dowolnych obszarach życia w Polsce wbrew Polakom i polskiemu rządowi. Demokratyczne wybory do parlamentu stałyby się fikcją, skoro władzę i tak sprawowaliby urzędnicy z Komisji Europejskiej, nad którymi polscy wyborcy nie mieliby żadnej kontroli. To, że Komisja Europejska była na tyle bezczelna, iż coś takiego proponowała – i to wbrew opiniom prawników, m.in. Rady Europejskiej – pokazuje, o co tu naprawdę chodzi.

A o co chodzi?

O naprawdę duże interesy, a docelowo o zmianę formuły funkcjonowania Unii Europejskiej i uzależnienie suwerennych państw narodowych, w tym Polski, od widzimisię decydentów z Komisji Europejskiej. Na to Solidarna Polska nigdy się nie zgodzi.

Komisja Europejska konsekwentnie jest jednak wyposażana w coraz większą władzę. Czy jeśli UE, po wyjściu Wielkiej Brytanii, będzie się zmieniać w kierunku Stanów Zjednoczonych Europy, to pan stanie się zwolennikiem polexitu?

Na szczęście decyzja dotycząca ustrojowych zmian Unii Europejskiej jak na razie nie może zapaść bez zgody wszystkich jej członków. Nie jest więc możliwa bez zgody Polski. Żeby wzmocnić w negocjacjach pozycję polskiego rządu, na posiedzeniu Rady Ministrów przed szczytem UE zaproponowałem podjęcie uchwały, która zobowiązywałaby polskiego premiera do odrzucenia zgubnych dla nas propozycji. I taka uchwała została przyjęta w dniu rozpoczęcia szczytu. Bardzo wzmocniła polską delegację. Pan premier Morawiecki zyskał argument, że nie może się zgodzić na coś, na co nie zgadza się Rada Ministrów, ponieważ to ona jest w Polsce organem, który decyduje o fundamentalnych kwestiach polityki zagranicznej.

Mówi pan o minimum bezpieczeństwa, które Polsce udało się zagwarantować na ostatnim unijnym szczycie. Na miejscu premiera Morawieckiego pan takie porozumienie jednak by zawetował?

Weto byłoby mocnym powiedzeniem „nie" aktualnym i ewentualnie przyszłym zakusom ograniczania polskiej suwerenności. Dlatego nie zmieniłem zdania, że byłoby to działanie optymalne. Jednak ufam premierowi, że wynegocjował korzystne dla nas rozwiązanie. Nie daję się zwieść szefowi Rady Europejskiej i innym politykom, którzy odmiennie przedstawiają istotę porozumienia. Nie mam podstaw, by kwestionować gwarancje, które wobec całej Polski dał w tej sprawie premier, mający przecież świadomość wagi słów i biorący za te zapewnienia pełną polityczną odpowiedzialność.

Prezes Jarosław Kaczyński zapowiedział rekonstrukcję rządu. Na razie wiadomo na pewno, że premierem pozostanie Mateusz Morawiecki. Marszałek Ryszard Terlecki publicznie ogłosił również, że ma być o połowę mniej ministerstw dla koalicjantów. O tym, że Jarosław Gowin mocno podpadł woltą związaną z majową datą wyborów, wie cała Polska. A za co podobna kara ma spotkać Solidarną Polskę?

Polski rząd powinien zareagować stanowczo i bronić polskich samorządów przed bezprawnym działaniem KE

Sądzę, że chodzi tu o koncepcję wartą namysłu, a nie o karanie i rozegranie koalicjantów. Dyskusje nad nią musi jednak poprzedzić ustalenie programowych priorytetów rządu. Jeśli nowa struktura rządu będzie służyć sprawniejszemu wprowadzaniu koniecznych reform, to jesteśmy gotowi po uzgodnieniu szczegółów warunkowo ją poprzeć. Jeżeli miałaby to być tylko zmiana dla zmiany, to trudno, abyśmy ją zaakceptowali. Zwłaszcza gdyby w wyniku reformy powstały olbrzymie resorty – molochy, którymi trudno efektywnie zarządzać. Najważniejsza jest dla nas szybka i skuteczna realizacja zobowiązań wobec wyborców.

Taką gwarancję skuteczności dawałby wicepremier Zbigniew Ziobro?

Nigdy nie aspirowałem do funkcji wicepremiera. Jeśli dostalibyśmy propozycję pełnienia takiego stanowiska – które skądinąd Solidarnej Polsce się należy – to wskazalibyśmy innego kandydata.

Profesor Antoni Dudek mówi wprost, że naciski w sprawie konwencji stambulskiej pojawiły się teraz, bo to „zabawa Ziobry z Kaczyńskim w ciuciubabkę, żeby zachować ministerstwa lub zostać wicepremierem".

Myli się głęboko. Są ludzie, którym na wartościach i ideach zależy bardziej niż na stanowiskach. Dlatego jako Solidarna Polska nie odpuścimy w kwestii konwencji stambulskiej ani w sprzeciwie wobec niszczących rodzinę lewackich koncepcji, lansowanych przez aktywistów spod szyldu LGBT. Wybierając na prezydenta Andrzeja Dudę, Polacy wyraźnie opowiedzieli się za rodziną, a nie LGBT.

Polityka jako proces zdobywania i utrzymywania władzy dla realizacji osobistych ambicji oraz partykularnych interesów to wizja bezideowych koniunkturalistów. Solidarna Polska nie zrezygnuje z realizacji swoich zobowiązań ze sfery wartości. Mamy w ręku mocne argumenty, bo bez nas nie ma sejmowej większości, a polityka i demokracja bez wartości nie ma dla nas sensu.

W zeszłym tygodniu do kilku warszawskich pomników aktywiści LGBT przyczepili tęczowe flagi oraz kartki z wulgarnymi hasłami. Z kolei unijna komisarz ds. równości Helena Dalli odmówiła przyznania środków na projekty w ramach unijnego programu „Partnerstwo miast" z powodu przyjęcia przez polskie miasta uchwał o „strefach wolnych od LGBT" lub o „prawach rodzinnych". Jak powinien na to zareagować polski rząd?

Polski rząd powinien zareagować stanowczo i bronić polskich samorządów przed bezprawnym działaniem KE.

Aktywiści LGBT mają mocne finansowe wsparcie ze strony Unii Europejskiej. Mimo ich chuligańskich ekscesów pani komisarz Dalli nie przejdzie przez myśl, żeby odbierać im środki finansowe, bo jej zdaniem ich działania zasługują na tolerancję. Jednak już polskie samorządy, które uchwalają Kartę praw rodziny i nie chcą narzucania ideologii LGBT, na tolerancję nie mogą liczyć i mają być bezwzględnie finansowo karane. To jest przedsmak tego, co zrobiłaby Komisja Europejska, gdyby mechanizmy, o których zawetowanie wnosiłem, były wprowadzone w życie. Przykładowo na rok przed wyborami Komisja ukarałaby Polskę za niewprowadzenie małżeństw homoseksualnych i odebrałaby np. dotacje dla rolników lub pieniądze na budowę infrastruktury drogowej. To byłby realny scenariusz. Dlatego tak ważne było dla mnie zapewnienie premiera, że wynegocjował skuteczny mechanizm broniący nas przed tego rodzaju agresją ze strony ideologicznie nastawionej Komisji Europejskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl f7da1498f7

Piotr Semka

Jeśli politycy Zjednoczonej Prawicy mieli nadzieję na chwilę oddechu i świętowanie zwycięstwa Andrzeja Dudy, to chyba się ona nie spełniła. Z Jarosławem Kaczyńskim nie sposób się nudzić

Letni quiz prezesa PiS

Rzucone mimochodem przez wicemarszałka Ryszarda Terleckiego zdanie, że przy zmniejszonej liczbie 12 resortów „nie jest możliwe, żeby mniejsze partie miały więcej niż jedno ministerstwo", zelektryzowało Zbigniewa Ziobrę i Jarosława Gowina. Co prawda politycy z otoczenia Jarosława Kaczyńskiego uspokajają, że finalne decyzje jeszcze nie zapadły, ale stan napięcia jest faktem.

Prezes Kaczyński przygotował na sierpień polityczny quiz dla liderów Solidarnej Polski i Porozumienia. Stare włoskie powiedzenie polityczne głosi: „W Moskwie nikt niczego nie wie, ale wszyscy wszystko rozumieją. W Rzymie wszyscy dowiadują się o wszystkim, ale nikt z tego nic nie rozumie".

To przysłowie dzisiaj pasuje doskonale do sytuacji PiS. Teoretycznie po bardzo potrzebnym rządzącym zwycięstwie Andrzeja Dudy partia powinna demonstrować jedność wzmocnioną wspólnym sukcesem. Nagle jednak, nie wiadomo skąd, pojawiły się dwie kwestie: uzgodnienia wspólnej agendy programowej Zjednoczonej Prawicy i kształtu nowego rządu. Obie sprawy mają oczywiście swoje głębokie uzasadnienie. Jeden z wiodących analityków rządu Waldemar Paruch tak tłumaczył w Radiu WNET potrzebę nowej agendy programowej: „Są obietnice złożone w czterech kampaniach wyborczych. Po wyborach parlamentarnych dokonano ewidencji obietnic, było ich ponad 200. Do tego doszły obietnice złożone przez prezydenta Andrzeja Dudę z kampanii wyborczej. Należy zabrać się mądrze do realizacji tych obietnic, [...] do ułożenia hierarchii, w jakiej kolejności jakie obietnice powinny być realizowane. [...] jak te obietnice przewartościować być może w warunkach kolejnej fazy pandemii. Gospodarka jednak spowolniła. [...] Do tego trzeba dobrać strukturę rządu. Ona nie może polegać na 24 ministrach konstytucyjnych, bo przy takiej mnogości ministerstw konstytucyjnych nie da się osiągnąć synergii niezbędnej do tego, żeby wielkie cele polityczne, te nowe, realizować".

Brzmi to rozsądnie, tym bardziej że premier Mateusz Morawiecki ma prawo do tworzenia listy ministrów, którzy albo sami chwieją się już pod ciężarem obowiązków, albo nie dają sobie rady. Nie jest tajemnicą, że w otoczeniu prezesa Rady Ministrów od dłuższego czasu mówi

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

się o prośbach ministra Łukasza Szumowskiego, który ma ochotę odpocząć po pół roku walki z pandemią, wciąż też powracają plotki o krytycyzmie Morawieckiego wobec ministra finansów Tadeusza Kościńskiego, minister rodziny, pracy i polityki społecznej Marleny Maląg i wreszcie minister funduszy i polityki regionalnej Małgorzaty Jarosińskiej-Jedynak.

A jednak dzięki długiemu językowi marszałka Terleckiego cały ten skomplikowany proces modelowania rządu zaczął się od wybuchowej kwestii cięcia po ministerstwach koalicjantów PiS. I jak nietrudno było się domyśleć, zarówno Zbigniew Ziobro, jak i Jarosław Gowin zgodnie odpowiedzieli, że umowa koalicyjna daje im po dwóch ministrów i za nic w świecie z tego przywileju nie zrezygnują. Politycy obu partii koalicyjnych oczywiście ubierają to w kurtuazyjną formułę „najpierw uzyskajmy porozumienie programowe, a dopiero potem personalia". Jednak politycy PiS znów wypowiadają się o uzyskaniu takiego porozumienia bardzo lekkim tonem. „Podstawowe kwestie są już ustalone, trudno przypuszczać, by były jakieś kłopoty, sprawy programowe powinny być rozstrzygnięte do końca wakacji" – taka treść pojawia się w wielu wypowiedziach polityków PiS.

O wiele bardziej pryncypialnie traktują te sprawy politycy od Ziobry i Gowina. Jeden z czołowych polityków Solidarnej Polski mówi: „28 lipca po raz pierwszy spotkała się trójka przedstawicieli podmiotów Zjednoczonej Prawicy. Od nas był minister środowiska Michał Woś, od gowinowców Marcin Ociepa, a PiS reprezentował Łukasz Schreiber z KPRM. I jak na razie nic nie wskazuje, aby było to tylko formalne przyklepanie gotowego już nowego programu. Dla nas z Solidarnej Polski założenia, które przedstawił PiS, są zbyt enigmatyczne i pozbawione konkretów. W projekcie programu na nowy etap brakuje nam kwestii wartości".

STRAŻNICY REWOLUCJI

Odpowiedzi na pytanie, co Solidarna Polska rozumie pod hasłem kwestii wartości, szukać można w opublikowanym niedawno na Facebooku tekście manifeście „Quo vadis Zjednoczona Prawico" autorstwa Patryka Jakiego. Polityk na czoło swojego tekstu wysuwa pytanie: „Dlaczego młodzież i większe miasta wybrały w większości Rafała Trzaskowskiego?". W odpowiedzi wskazuje na elementy „negatywnej socjalizacji Polaków". Dla Jakiego są to: rynek medialny opanowany przez obóz lewicowo-liberalny, zdominowanie przez przeciwników PiS mediów społecznościowych, dominacja lewicy i liberałów na wyższych uczelniach oraz dopuszczenie do przewagi lewicy w sferze kultury. Patryk Jaki pisze: „Potrzeba tu zmian strukturalnych i instytucjonalnych oraz mądrego planu na dialog z tymi, którzy chcą w nim uczestniczyć. [...] Niestety nie widzę tu tamy instytucjonalnej i przemyślanej alternatywy".

Reszta manifestu to skarga Patryka Jakiego, że podnoszenie przez jego obóz potrzeby działania na tych polach nie tylko nie spotyka się w Zjednoczonej Prawicy z zainteresowaniem, lecz także ściąga na nich „jakobinów" i „jastrzębi", czyli w najlepszym wypadku radykałów. Jaki pisze: „Stworzono u nas jakiś system kozetki, na której co jakiś czas trzeba się spowiadać ze swojej prawicowości, bo to rzekomo szkodzi kampanii jednej czy drugiej". A jednocześnie, jak wskazuje polityk Solidarnej Polski, najlepszy wynik ZP w historii, czyli 45,38 proc. w wyborach do Parlamentu Europejskiego, był wynikiem przekazu „do końca prawicowego", a czasami w kampanii byli ludzie wyzywani od „jastrzębi". Jaki wskazuje, że gdy w kolejnych wyborach do Sejmu złagodzono przekaz, wynik był gorszy dla PiS, a wychłodzona retoryka wprowadziła do Sejmu Konfederację.

„Znam wielu wyborców i zwykłych działaczy, którzy właśnie ze względu na nurty »uplatfarmiania« naszego obozu odeszli do Konfederacji bądź byli zdemobilizowani podczas ostatnich rywalizacji wyborczych" – pisze Jaki. Na koniec pyta: „Czy chcemy być prawicą retoryczną czy prawdziwą?".

Problemem ziobrystów jest to, że ich diagnozy, które wskazują na realne słabości, są bardziej odreagowywaniem irytacji z powodu „menedżeryzmu" Mateusza Morawieckiego niż gotowością do tworzenia instytucji, które te braki prawicy mogły wynagrodzić. Kłania się brak kadr, które by były gotowe i wiedziałyby, jak doprowadzić do czegoś w rodzaju kulturowej rewolucji w mediach i – szerzej – w kulturze. Pierwsze próby takich instytucji jak Polska Fundacja Narodowa nie wypadły najlepiej. W tej sytuacji ziobryści prezentują się bardziej jako strażnicy wyrazistej prawicowości niż politycy, którzy mieliby już gotowe projekty, jak taką rewolucję w ładzie medialnym i w kulturze przeprowadzić.

W KRÓLESTWIE DRUGIEGO JAROSŁAWA

A co się dzieje w Porozumieniu? Tutaj też panuje coś w rodzaju cichej frustracji. Gowinowcy, kiedy tylko mogą, przypominają, że ich determinacja, by wybory nie odbywały się 10 maja, doprowadziła do tego, iż wybór Andrzeja Dudy jest dziś stosunkowo mało kwestionowany. „Gdyby wybory były 10 maja, mielibyśmy bałagan polityczny – mówi jedna z czołowych postaci Porozumienia. – Szkoda, że nasi koledzy z PiS i Solidarnej Polski nie chcą tego zauważyć".

Na razie Jarosław Gowin i Adam Bielan, niedawny adwersarz prezesa Porozumienia z kryzysu wokół 10 maja, zakopali topór wojenny i – jak się wydaje – podzielili strefy wpływów w partii. A jaką receptę mają gowinowcy na budowę nowego programu ZP? Przede wszystkim podkreślają potrzebę wychylenia się ku młodszej generacji. I tutaj tak samo jak w wypadku Solidarnej Polski przypominany jest

eprasa.pl f7da1498f7

fakt, że w 2015 r. Andrzej Duda zdobył aż 60 proc. głosów w najmłodszej grupie wiekowej, a w tym roku ten odsetek spadł do ok. 35 proc. „Musimy skupić się na zielonym konserwatyzmie – mówi jeden z polityków Porozumienia. Myśleć o energii taniej i czystej, która na dodatek umie korzystać ze środków europejskich. Po drugie, musimy walczyć o akceptację samorządów, co oznacza wyjście poza okres pandemii z Funduszem Inwestycji Lokalnych. Po trzecie wreszcie, musimy wcielić w życie pakiet mieszkaniowy, który da młodym szeroką gamę możliwości uzyskania pierwszego mieszkania".

A co z trzecim i głównym segmentem Zjednoczonej Prawicy, czyli PiS? Tutaj dochodzimy do problemu z odpowiedzią na pytanie, kto reprezentuje dzisiaj programowe stanowisko PiS? W praktyce pozostaje to w rękach premiera Mateusza Morawieckiego. Ma on za sobą wsparcie Jarosława Kaczyńskiego, który nadal nie wyobraża sobie nikogo innego na czele rządu. Nie znaczy to jednak, że aparat PiS za obecnym premierem przepada. Jeden z polityków głównej partii rządowej wskazuje, że w komitecie politycznym PiS liczącym 33 osoby większość bez zmrużenia oka przyjęłaby wiadomość o powrocie Morawieckiego jako mocnego wicepremiera od gospodarki przy jednoczesnym objęciu fotela premiera czy to przez Jarosława Kaczyńskiego, czy Beatę Szydło lub ewentualnie Mariusza Błaszczaka.

To jednak tylko takie sarkanie. Jarosław Kaczyński wszelkie podobne dywagacje ucina bardzo wyraźnie. Być może dlatego tak ostro po szczycie w Brukseli podkreślał, że na spotkaniu liderów Unii Polska odniosła „ogromny sukces" i udało się uzyskać najwięcej, ile było można. Jak się zdaje, to do Solidarnej Polski skierował słowa: „Wiem, że zdarzają się krytycy przyjętych rozwiązań, nawet w naszym obozie. Chcę im powiedzieć, że bardzo się mylą".

Tyle że – jak już zwracało na to uwagę iluś komentatorów – nie wiadomo jeszcze, jak stosunkowo niejasne zapisy rozdziału środków unijnych będą skorelowane z uznaniowym orzekaniem o stopniu polskiej praworządności. Ziobryści znów zaczynają pytać o decyzję Komisji Europejskiej, unieważniającą projekty sześciu umów partnerskich z polskimi miastami, które przyjęły deklaracje sprzeciwu wobec ideologii LGBT. Zbigniew Ziobro już wzywa premiera Morawieckiego, aby ostro reagował na taki precedens.

Anarchistyczni happenerzy sprofanowali figurę Jezusa przed kościołem św. Krzyża w Warszawie, umieszczając na niej tęczową flagę FOT. MARTA BOGDANOWICZ/REUTERS/FORUM

A co z wizją cięcia po skrzydłach, czyli zmniejszenia liczby ministrów z SP i Porozumienia? Jeden z polityków Porozumienia wyraża na razie raczej pewność siebie. „Z wielkiej chmury będzie mały deszcz. Koalicjanci nie zgodzą się na odbieranie resortów, a PiS nie jest na tyle silny, by stosować metodę faktów dokonanych. Liczymy się raczej z jakąś redukcją podsekretarzy stanu naszych ugrupowań, ale przecież największe problemy PiS ma z ministrami, których mianował sam Morawiecki".

Zarówno ziobryści, jak i gowinowcy z uwagą obserwują, czy PiS uda się uzyskać jakichś ludowców. Na razie żadnych transferów nie odnotowano. Jeżeli jakieś przejścia miały być, to czas na nie był raczej tuż po wygranej Andrzeja Dudy. To wtedy potencjalni karierowicze PSL mogli być pod największym wrażeniem przedłużenia rządów o trzy lata.

Skoro minęły dwa tygodnie i nie słychać o żadnych transferach, to raczej można uznać, że większość sejmowa PiS się nie zmieni. A ta „wisi" na ziobrystach z jednej strony i gowinowcach z drugiej.

NA TĘCZOWYM POLU BITWY

Nowym polem sporu okazała się znów na zasadzie splotu wydarzeń – a nie zaplanowanego działania – kwestia konwencji stambulskiej. Media proopozycyjne, które po cichu bronią konwencji, przedstawiały to wyłącznie jako inicjatywę Solidarnej Polski. Ale pomijano milczeniem to, że przeciwko temu dokumentowi wystąpiła też w imieniu Porozumienia wicepremier Jadwiga Emilewicz.

Ten konflikt nagle nabrał emocji po akcji anarchistycznych happenerów, którzy sprofanowali figurę Jezusa, znaną szerzej jako „Sursum Corda" od wykutego na cokole napisu, przed kościołem św. Krzyża w Warszawie, umieszczając na figurze Zbawiciela tęczową flagę. Do tego dochodzą odgłosy ze strony Brukseli o zatrzymaniu wypłaty środków unijnych w razie odwołania ratyfikacji konwencji stambulskiej. Zjednoczona Prawica nie może tego lekceważyć, bo wszystkie reakcje oburzenia na tego typu działania to paliwo dla Konfederacji.

Nie jest przypadkiem, że premier natychmiast po incydencie pod figurą Chrystusa pojechał pod bazylikę św. Krzyża, zapalił przy niej świeczkę i wyraźnie przestrzegł: „Są pewne nieprzekraczalne granice poziomu agresji [...]. W Polsce nie popełnimy błędów Zachodu. Wszyscy widzimy, do czego prowadzi tolerancja wobec barbarzyństwa" – napisał Mateusz Morawiecki na Twitterze. Z drugiej strony premier uchylił się od sporu o konwencję stambulską i wysłał kontrowersyjny dokument do sprawdzenia w Trybunale Konstytucyjnym. Ziobro dostał kuksańca w bok.

Inne pola najbliższych konfliktów między Zjednoczoną Prawicą a opozycją to ewentualny podział woj. mazowieckiego na stolicę i osobne województwo czy reforma administrowania wyborami poprzez przekazanie nadzoru nad głosowaniem specjalnej osobnej służbie państwowej. Jednak znów trudno oprzeć się wrażeniu, że informacje o takich planach reform wyciekają z PiS trochę na zasadzie przypadku dzięki gadatliwości tego czy innego urzędnika. Nie ma w tym jakiegoś planu, co wykonać w okresie tuż po wyborach, kiedy zazwyczaj będąca w po wyborczym szoku opozycja jest mniej gotowa do ponownej mobilizacji.

Być może jednak ta pewna chaotyczność jest elementem skuteczności PiS, który dzięki wypuszczeniu rozmaitych balonów próbnych może się zorientować, które jego inicjatywy wywołują ostry sprzeciw, a które tylko protesty średniej wagi. Polityk Solidarnej Polski z pogodnym fatalizmem opowiada: „No cóż, już wiemy, że nie będzie urlopu, w czasie którego będziemy wspominać, jak wspólnym wysiłkiem przedłużyliśmy pełnowartościowe rządy PiS o trzy lata. Nastawiamy się na sierpień w cieniu debaty o rekonstrukcji rządu i kwestie programowe. Ot, takie grillowane wakacje".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl f7da1498f7

Zachodzenie od prawej

FOT. MARCIN BRUNIECKI/REPORTER

Łukasz Warzecha

Konfederacja przetrwała wiele burz i się nie skompromitowała. Dzisiaj największym jej problemem jest to, że stabilna pozycja tego ugrupowania jest solą w oku Jarosława Kaczyńskiego

Konfederacji nie wróżono sukcesu ani przetrwania już przed wyborami w 2019 r. Tymczasem całkiem nieźle przetrwała kilka burz, a jeśli przetrwa jeszcze kilka, to w 2023 r. może być jednym z rozdających karty.

Jej głównym problemem nie są dzisiaj ani Janusz Korwin-Mikke, ani Grzegorz Braun. Obaj ekscentryczni, skrajni indywidualiści, byli typowani na tych, którzy przyczynią się do szybkiej kompromitacji swojej partii i radykalnej utraty poparcia. Okazało się, że Braun nie wzbudza większych sensacji, a Korwin-Mikke chyba się opatrzył.

Konfederacja nie rozpadła się również – co niektórzy jej wróżyli – właśnie wzdłuż linii narodowcy–wolnościowcy, choć ci ostatni liczyli, że kandydatem na prezydenta zostanie Artur Dziambor. Prawybory wygrał Krzysztof Bosak, wywodzący się z frakcji narodowej, który jednak do swojego przekazu włączył elementy wolnościowe – ba, zrobił z nich nawet najbardziej wyrazisty wątek kampanii. Dziambor natomiast przy każdej okazji sygnalizował poparcie dla Bosaka.

OPOZYCJA ŚWIATOPOGLĄDOWA

Co zatem jest dla Konfederacji największym problemem? Przede wszystkim to, że jej umacniająca się pozycja i bardzo stabilne notowania są solą w oku Jarosława Kaczyńskiego. Gdy Konfederacja powstawała, było jasne, że chce zajść PiS od prawej strony. W sferze gospodarczej to nie jest trudne – PiS mieści się tutaj w wielu sprawach nawet bardziej na lewo od lewicy i dobrze wpisuje się w sentyment większości wyborców. Jednak Konfederacja groziła też okrążeniem PiS od prawej strony w kwestiach światopoglądowych. To było naruszenie żelaznej zasady Kaczyńskiego, aby nie dopuścić nigdy do istnienia partii po prawej stronie od jego własnej. Przez pierwsze miesiące – a nawet jeszcze po wyborach parlamentarnych – prezes PiS mógł mieć nadzieję, że Konfederacja okaże się efemerydą, którą uda się łatwo i szybko w Sejmie rozmontować. Od tamtej pory te nadzieje musiały już upaść.

Bardzo interesująco było obserwować aktywność wokół Konfederacji przed drugą turą wyborów i po niej w mediach społecznościowych. Właśnie tam, bo to jest główne środowisko partii Bosaka, która pod tym względem jest już w nowym, wirtualnym świecie. Przed drugą turą mieliśmy zatem wielkie urabianie Konfederacji i groteskową wręcz zmianę tonu niektórych polityków obozu władzy oraz sprzyjających mu publicystów, którzy nagle odkryli, że wcześniejsze „ruskie onuce" to „zatroskani o Polskę patrioci".

eprasa.pl f7da1498f7

A skoro tak, to powinni przecież zagłosować na Andrzeja Dudę. Takiej deklaracji oczekiwano od liderów partii, ci jednak zajęli wstrzemięźliwe stanowisko i nie poparli żadnego z konkurentów. Sondaż powyborczy, który pokazał, że wyborcy Krzysztofa Bosaka podzielili się niemal po równo między Trzaskowskiego i Dudę, dowiódł słuszności tej decyzji. Deklaracja poparcia dla któregokolwiek z nich oznaczałaby zrażenie niemal połowy własnych wyborców. Gorliwi doradcy – na ogół rekrutujący się z kręgów sprzyjających PiS – którzy sugerowali, aby Konfederacja wytargowała „coś" od obozu rządzącego, nie tylko ignorowali to, że wśród wyborców Krzysztofa Bosaka była grupa, która lewicowy przechył gospodarczy PiS uważała za większe zagrożenie niż lewicowe przechył obyczajowy Trzaskowskiego. Nie wiadomo także, dlaczego przyjmowali, że jakiekolwiek uzgodnienia z Andrzejem Dudą w sprawie poparcia dla niego miałyby być po wyborach wiążące dla obozu rządzącego.

Po wygranej urzędującego prezydenta i ukazaniu się exit polls, pokazujących podział elektoratu Bosaka, przez kilka dni w wirtualu mnożyły się wpisy, według których pomiędzy wyborcami Konfederacji miało dochodzić do ostrych sporów, w których wyborcy Dudy mieli zarzucać tym, którzy zagłosowali na Trzaskowskiego, że poparli „lewaka", więc nie powinni się uważać za sympatyków partii konserwatywnej. Melodię podchwycili szybko prorządowi publicyści – w części ci sami, którzy przed drugą turą zapomnieli nagle o „ruskich onucach" – i zaczęli obciążać winą za taki stan rzeczy samego Bosaka. Liderzy Konfederacji z kolei, w tym sam były kandydat na prezydenta, twierdzili, że zamieszanie jest dziełem internetowych trolli nasłanych przez PiS i z emocjami prawdziwych wyborców Konfederacji nie ma nic wspólnego.

Jak było naprawdę, nie sposób stwierdzić, lecz awantura w końcu ucichła, a sondaże poparcia dla partii nie pokazały, żeby miała jakikolwiek wpływ na notowania Konfederacji. Jedno z ostatnich badań (Social Changes dla portalu wPolityce.pl) daje jej aż 11 proc. poparcia. Przeprowadzone mniej więcej w tym samym czasie badanie Estymatora ocenia poparcie dla partii Bosaka na 8,8 proc. (wzrost o 1,3 pkt wobec poprzedniego sondażu tej pracowni). W obu przypadkach to rezultat wyraźnie wyższy niż w wyborach 2019 r., gdy Konfederacja zdobyła 6,81 proc. głosów.

DWIE TAKTYKI PIS

PiS wykorzysta z pewnością czas do wyborów w 2023 r. do atakowania ugrupowania Dziambora i Bosaka. Możliwe są dwie taktyki. Pierwsza to próby wyłuskania z Konfederacji posłów, którzy byliby gotowi zasilić klub PiS. Wzmocnienie go jest dla Jarosława Kaczyńskiego ważne, żeby zminimalizować siłę oddziaływania koalicjantów: Porozumienia, a przede wszystkim Solidarnej Polski. Jednak łatwiejszym źródłem nowych sił dla Zjednoczonej Prawicy będzie klub Koalicji Polskiej. Ba, w PSL może pojawić się nacisk głównie partyjnych dołów, aby zawrzeć formalną koalicję z PiS.

Prawo i Sprawiedliwość wykorzysta z pewnością czas do wyborów w 2023 r. do atakowania ugrupowania Dziambora i Bosaka

Posłowie Konfederacji, z którymi rozmawiam, wspominają o niezobowiązujących napomknieniach ze strony polityków PiS o ewentualnym parlamentarnym sojuszu, lecz – jak twierdzą – nigdy nie przybrało to formy sformułowanej wprost propozycji. Zresztą nawet gdyby taka padła, to przyjmowanie jej byłoby z punktu widzenia Konfederacji niemądre. Partia ma bowiem teraz trzy lata na systematyczne budowanie swojej pozycji. Wtedy – zwłaszcza gdyby, co bardzo prawdopodobne, PiS nie zdobył już samodzielnej większości – ugrupowanie Bosaka, Dziambora i Korwin-Mikkego mogłoby realnie stawiać warunki i negocjować z pozycji siły. Wejście w jakikolwiek sojusz z PiS teraz oznaczałoby demontaż Konfederacji.

Dlatego bardziej możliwe jest, że Zjednoczona Prawica będzie się starała podgryzać nie klub, ale elektorat Konfederacji, przynajmniej ten, dla którego sprawy światopoglądowe są ważniejsze niż gospodarcze. Nad tradycjonalistami pracę rozpoczęła już Solidarna Polska. Pytanie brzmi, czy to indywidualna inicjatywa Zbigniewa Ziobry, który wzmacnia własną pozycję wewnątrz obozu władzy, czy też w jakimś stopniu uzgodniony z Jarosławem Kaczyńskim podział ról.

Tak czy owak, partia Zbigniewa Ziobry zawłaszczyła w ostatnim czasie jeden z żelaznych tematów Konfederacji, czyli wypowiedzenie konwencji stambulskiej. Wyraźnie zaktywizowała się też w innych podobnych kwestiach. Tak jak konfederaci, jej politycy początkowo krytykowali ustalenia szczytu Rady Europejskiej w Brukseli, w szczególności sprawę powiązania funduszy z praworządnością. Ostro zareagowali też – znów nakładając swój głos na głos polityków Konfederacji – na wstrzymanie funduszy dla gmin, które ogłosiły się strefami wolnymi od ideologii LGBT. Na razie Solidarna Polska nie spróbowała Konfederacji odebrać tematu aborcji eugenicznej. Konfederacja ma też w zanadrzu kwestię zagwarantowania rodzicom, że bez ich zgody nie będą wprowadzane do szkół tematy związane z lewicową indoktrynacją.

Na ile ta gra o konserwatywny elektorat Konfederacji okaże się skuteczna, pokaże czas. Po stronie Bosaka i jego partyjnych kolegów jest wiarygodność – ta w przypadku PiS, gdy chodzi o forsowanie realnych rozwiązań w sferze światopoglądowej, jest niska. Na zajęcie się konwencją stambulską Zjednoczona Prawica miała przecież pięć lat i nie zrobiła w tej sprawie nic.

Z drugiej strony radykalizacja lewicy – nawet jeśli mówimy tylko o małych, ale jednak bardzo widocznych grupkach – której przykładem jest akcja lewackich bojówek, polegająca na przystrajaniu warszawskich pomników tęczowymi flagami, działa na korzyść PiS. Na tle lewackiego radykalizmu łatwiej prezentować się jako obrońcy wartości, nawet jeśli ta obrona sprowadza się wyłącznie do retoryki.

Jakkolwiek zatem Konfederacja funkcjonuje w lekkim okrążeniu, jej sytuacja jest względnie wygodna. Będąc w opozycji, może recenzować władzę, zarazem występowanie w roli parlamentarnych outsiderów Konfederacji służy i ją uwiarygodnia.

Warto przyjrzeć się, jak politycy tej partii pokazują się na zdjęciach w mediach społecznościowych. To obrazy trochę jak z czołówki świetnego serialu „Crime Story" z końca lat 80. o grupie policjantów, toczących walkę ze złem w Las Vegas: idący obok siebie, wzajemnie się osłaniający i wspierający mężczyźni w garniturach. Jeśli w takiej formacji Konfederacja dotrwa do 2023 r., to może naprawdę stać się trzecią siłą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Wiara, która zawiodła

Rafał A. Ziemkiewicz

Lewicowo-liberalny salon zawiodło budowane od początku III RP „urojenie wyższościowe"

Kilka powyborczych tygodni pokazało, że mylili się ci, którzy diagnozowali stan opozycji po 12 lipca jako „szok". Trafniej byłoby raczej mówić o „wypaleniu". Bo „szok" to coś chwilowego, wstrząs, po którym się podnosi i wraca do normalności. Tymczasem obóz lewicowo-liberalny nie ma do czego wracać. Zawiodła go wiara, na której oparł wszystkie działania ostatnich lat. Wiara, że przejęcie władzy przez PiS dokonało się wbrew woli większości – że było tylko przypadkiem, skutkiem rozproszenia „sił demokratycznych" (machinalne sięgnięcie przez lewicę i liberałów po samoidentyfikację, którą w czasach stalinowskiego podboju posługiwali się komuniści, jest zapewne przypadkiem, ale na swój sposób znaczącym). A więc, że sposobem na „przywrócenie praworządności" będzie tychże sił zjednoczenie. Kiedy wybory zmienią się w plebiscyt: jesteś za PiS czy przeciwko PiS, tak czy nie? – liberalne salony nie będą mogły przegrać. Dlaczego? Bo są, i to jest właśnie podstawa ich wiary, po prostu lepsze. U źródła całej opozycyjnej działalności lat ostatnich legło niezachwiane poczucie wyższości „obozu demokratycznego" nad „PiS-owcami", połączone z przekonaniem, że masy zawsze naśladują elity i postępują za nimi, niekiedy z oporami i wierzganiem, ale bez szansy wyznaczenia innego niż wskazany przez „lepszych" kierunku.

MONOPOL

Lewicowo-liberalne „urojenie wyższościowe" nie zrodziło się oczywiście w momencie utraty władzy, było pieczołowicie budowane przez dziesięciolecia, od samego początku istnienia III RP. Właśnie na jego tworzeniu i ugruntowywaniu zasadzała się cała wizja „michnikowszczyzny" i temu służyło bezwzględnie przejmowanie przez formację lewicowo-liberalną wszystkich narzędzi „dystrybucji szacunku". Formacja Bronisława Geremka i Adama Michnika, zgodnie z edukacją odebraną przez jej liderów za młodu, uważała „nadbudowę" za ważniejszą od „bazy" – dlatego gotowa była oddać bez żalu postkomunistom gospodarkę, rozgrzeszyć rozszabrowanie przez nich majątku narodowego i tolerować, mimo głoszenia haseł „sprawiedliwości społecznej", wszelkie patologie nomenklaturowego „kapitalizmu politycznego", natomiast z całą stanowczością reagowała na wszelkie zagrożenia dla swego monopolu w dziedzinie „rządu dusz".

Kilka razy interwencje te były skuteczne – zdławiono, dzięki opanowaniu dystrybucji prasy, nielewicowe czasopisma i gazety, zniszczono zakulisowymi działaniami na Zachodzie przedsięwzięcia potencjalnie, dzięki zaangażowaniu kapitału zagranicznego, masowe, takie jak tygodnik „Spotkania" czy telewizja RTL-7. W końcu jednak przyszła batalia,

eprasa.pl f7da1498f7

z nagraniem Lwa Rywina jako elementem kluczowym, którą dominujące w pierwszej dekadzie III RP środowisko przegrało.

Ale była to przegrana „w rodzinie". Mimo politycznego rozproszenia narzędzi „dystrybucji szacunku" ogólny przekaz mediów i sfery popkulturowej pozostawał jednak niezmienny – był to nieustający, wielopoziomowy, rozpisany na setki programów, talk-show, kabaretów i seriali panegiryk na cześć europejskości i nowoczesności oświeconych elit oraz nieustająca szydera z ciemnoty, polskiego zaścianka i zacofanej „Polski B". I w zasadzie ta sytuacja nie uległa zmianie do dziś – mimo zwycięstwa w polityce wobec „nadbudowy" pozostaje PiS i w ogóle cała szeroko rozumiana formacja nielewicowa całkowicie bezradna.

To właśnie legło u podstaw wiary w zwycięstwo rozstrzygającego plebiscytu. Potęga, nazwijmy to, kulturowa w przekonaniu liderów opozycji musiała się przełożyć na sukces – trzeba było tylko doprowadzić do konfrontacji na polu tożsamościowymi, konfrontacji nie programów, wizji i dowodów skuteczności w rządzeniu, ale „obciachu" i „fajności".

MECHANIZMY WYPARCIA

Przedstawiciele opozycji otrząsali się łatwo z kolejnych przegranych, przeliczając wyniki „ich" i „naszych", by perswadować sobie i swoim wyznawcom, że w zasadzie wygrali. „Pisiory" mają mniej niż połowę głosów, a jeśli jako głosy przeciwko nim liczyć także tych, którzy nie poszli głosować, to mają za sobą „zaledwie kilkanaście procent społeczeństwa". Dla całej reszty musi być przecież oczywiste, kto tu jest lepszy, i problemem jest tylko zmobilizowanie tej większości oraz postawienie jej przed wyborem PiS – antypis, obciach i zacofanie vs. europejski sznyt i nowoczesność.

Tylko w ten sposób zrozumieć można szaleństwo, któremu uległa PO w wyborach do Parlamentu Europejskiego, oddając najlepsze miejsca na listach i tym samym mandaty SLD, który w konfrontacji z PO zostałby zmarginalizowany, a tymczasem Schetyna reanimował go kosztem własnej partii. A celu, którym było wizerunkowe „nakrycie" PiS zsumowanym wynikiem „antypisu", i tak nie osiągnięto.

Nie wyciągnięto z tego oczywistego wniosku, że istnieje elektorat, który nie pałając chęcią poparcia PiS, nie chce

Na wypieraniu rzeczywistości i brnięciu w agresję opozycja daleko nie zajedzie. Czy jest jeszcze zdolna do refleksji?

jednak powrotu partii, która ze swych ośmioletnich rządów nigdy się nie rozliczyła, nigdy do niczego nie przyznała i za nic nie przeprosiła – i ten elektorat zawsze gdzieś od PO ucieknie, jak nie do Kukiza, to do Biedronia.

Również kolejny nieudany plebiscyt, w wyborach parlamentarnych, nie wpłynął zasadniczo na sposób myślenia salonów – mimo iż PiS powtórzył sukces sprzed czterech lat przy skrajnie odmiennej, tym razem niekorzystnej dla niego arytmetyce sejmowej, lewicowe media znów zdominowały te same mechanizmy wyparcia. Powyborcza okładka „Polityki" przedstawiająca wagę, na której trzy słupki symbolizujące PO, Lewicę i Koalicję Polską przeważają szalę ze słupkiem PiS, doskonale oddała istotę powyborczego przekazu (także w tym, że dla osiągnięcia perswazyjnego efektu pominięto na niej wynik Konfederacji). Salony wciąż podtrzymywały się w wierze, że są na prostej drodze do wygranej. Wszak w wyborach prezydenckich trzeciej opcji już po prostu nie będzie i większość, w którą niezłomnie wierzono, wreszcie się objawi.

Wszystko wydawało się sprzyjać opozycji. Pojawienie się Szymona Hołowni – pomińmy dociekania, przypadkowe czy nie – dawało gwarancję plebiscytu w drugiej turze. Kandydatka, formatowana jako kobieta i celebrytka, nie polityk, wydawała się mieć w niej gwarantowaną przewagę. Co prawda, jej kandydowanie omal nie skończyło się katastrofą, ale i nad tym dość szybko się środowiska opiniotwórcze zdołały prześlizgnąć bez cienia refleksji, tłumacząc sobie wszystko epidemią.

Przegranej Rafała Trzaskowskiego jednak niczym już się zracjonalizować nie da. Nie można powiedzieć, tak jak pięć lat temu, że Andrzej Duda wygrał, bo ciemna większość nie wiedziała, że stoi za nim Jarosław Kaczyński, i dała się oszukać „spin doktorom przysłanym z USA" (charakterystyczne, jak silna jest na salonach wiara w ten mit, choć nie uprawdopodobniają go żadne fakty).

Nie, doszło wreszcie do oczekiwanego od dawna liberalnego armagedonu, starcia liberalnej lewicy, reprezentującej wszystko, co najlepsze, z siłami uosabiającymi wszystko, co najgorsze. Liberalna lewica to starcie przegrała – i to wystarczająco wyraźnie, by nie dało się przegranej zakwestionować.

Oczywiście to, że fakty są, jakie są, nie znaczy, że ludzie od lat żyjący złudzeniami nie będą im zaprzeczać. Po latach emocjonalnych paroksyzmów trudno nagle zobaczyć rzeczywistość taką, jaka jest. Liderzy środowiska brną w klasyczne, opisane doskonale w psychologii mechanizmy „wyparcia". Jedni starają się ocalić w sobie wiarę, upierając się, że Rafał Trzaskowski tak naprawdę wygrał, bo „miał przeciwko sobie cały aparat państwa i mediów publicznych". Inni uznają, że jego przegrana się nie liczy, bo na przeciwnika głosowały wieś i starsze pokolenie. Jeszcze inni rozładowują frustrację agresją wobec domniemanych winnych we własnym obozie – zwolennicy Trzaskowskiego winią Hołownię, Kosiniaka-Kamysza czy Biedronia, zwolennicy Hołowni z kolei klną PO, że uparła się na kandydata partyjnego, zamiast poprzeć „obywatelskiego". Dochodzi do niespotykanych wcześniej sytuacji, gdy np. Włodzimierz Czarzasty kpi sobie z Gretkowskiej i innych popierających PO celebrytek, a szalejącego w Internecie Tomasza Lisa nazywa „szajbusem". Ale on, raczej cyniczny niż ogarnięty wzmożeniem „obrony demokracji", grał w tych wyborach o niewiele i to, co chciał, wygrał, więc łatwo mu być głosem rozsądku.

Na wypieraniu rzeczywistości, brnięciu w agresję, mnożeniu inwektyw i przekraczaniu kolejnych granic chamstwa daleko jednak opozycja nie zajedzie. Czy jest jeszcze zdolna do refleksji? Czy może wrócić do racjonalności? Na ten moment wydaje się, że nie, ale ma na to trzy lata. Trzy lata na analizę rzeczywistości, własnych błędów, przyczyn, dla których większość przestała słuchać „elit", i na wyciągnięcie wniosków. Zważywszy na trwający od lat na salonach dobór negatywny i ich intelektualną degrengoladę (kiedyś ton nadawali im ks. Tischner i red. Turowicz, dziś „Wyborcza" kreuje na autorytet pragnącego zachować anonimowość małolata, który założył w Internecie grupę „j…ć PiS"), te trzy lata to może się okazać za mało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Witold Repetowicz

Pomnik „przyjaźni polsko-tureckiej", który miałby stanąć na warszawskiej Agrykoli, fałszowałby historię. W dodatku miałby zostać wybudowany w roku, którego, zgodnie z uchwałą Sejmu, patronem jest hetman Stanisław Żółkiewski

Turecki

W tym roku (7 października) mija 400. rocznica śmierci Stanisława Żółkiewskiego, jednego z najwybitniejszych polskich wodzów. Sędziwy, 73-letni hetman wielki koronny starał się powstrzymać pod Cecorą 40-tysięczną armię Iskandera Paszy, która najechała Polskę z rozkazu 16-letniego sułtana Osmana II. Żółkiewski, dysponując dwukrotnie mniejszymi siłami, poniósł klęskę i sam zginął w trakcie odwrotu. Jego głowa, przewieziona do Konstantynopola, przez dwa lata sterczała zatknięta na pice ku uciesze młodego, niezrównoważonego sułtana. Do osmańskiego lochu trafiło wielu polskich rycerzy, w tym syn Żółkiewskiego oraz inny nasz świetny wódz, Stanisław Koniecpolski, wówczas hetman polny koronny. Rok później, w 1621 r., Osman II sam stanął na czele kolejnej wyprawy, która jednak została powstrzymana pod Chocimiem przez siły polsko-litewsko-kozackie dowodzone najpierw przez hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, a po jego śmierci przez kozackiego atamana Piotra Konaszewicza Sahajdacznego oraz regimentarza koronnego Stanisława Lubomirskiego.

DZIWNA PRZYJAŹŃ

Gdy chodziłem do szkoły, to o obu tych bitwach uczyłem się na lekcjach historii. Nie wiem jednak, do jakich szkół chodzili warszawscy radni i czy aby nie spali na historii, skoro postanowili zaakceptować propozycję ambasady Turcji, by pokój chocimski, kończący wojnę 1620–1621, stał się symbolem „ponad 300-letniej historii przyjaźni polsko-tureckiej" (cytat z uzasadnienia uchwały). Turecki pomnik w Warszawie ma przedstawiać „symboliczny uścisk rąk" osmańskiego wezyra Dilawera Paszy i regimentarza Stanisława Lubomirskiego. Jest to nawiązanie do obrazu Marcella Baciarellego „Pokój chocimski". Tyle że powstał on niemal 200 lat po tym wydarzeniu, a ów uścisk dłoni to fantazja artysty. Fantazją nie było natomiast to, że pokój ów nie był znaczącym dla Rzeczypospolitej traktatem, a polscy jeńcy wzięci do tureckiej niewoli pod Cecorą, w tym hetman Koniecpolski, zostali wypuszczeni dopiero kilka lat później po wpłaceniu dużego okupu. Wdowa po Żółkiewskim musiała zresztą też zapłacić za głowę męża, by ją pochować.

Dziwna to zatem przyjaźń. Zresztą pokój przetrwał tylko 12 lat, bo w 1633 r. na Polskę najechała osmańska armia Abazego Paszy. W 1648 r. chan krymski, jako lennik turecki, sprzymierzył się z Kozakami Bohdana Chmielnickiego przeciwko Rzeczypospolitej. W 1672 r. na Polskę napadła armia sułtana Mehmeda IV, podchodząc aż pod Lwów. Na mocy, uznanego później za haniebny, pokoju w Buczaczu Rzeczpospolita stała się tureckim lennem, tracąc też województwa podolskie i bracławskie. Przez kolejne cztery lata polskie rycerstwo pod wodzą Jana III Sobieskiego walczyło o odzyskanie tych ziem. Kamieniec Podolski wrócił do Polski dopiero w 1699 r., 16 lat po bitwie pod Wiedniem, która była kolejnym aktem „przyjaźni" polsko-tureckiej.

Wybór Chocimia jako symbolu „przyjaźni" polsko-tureckiej to skandaliczne naigrywanie się z historii. W tym miejscu Polska stoczyła aż dwie zwycięskie bitwy przeciwko tureckim najeźdźcom, w 1620 oraz w 1673 r. Po tej pierwszej nikt nie zachwycał się rzekomą przyjaźnią Rzeczypospolitej z Turcją, wśród gnębionych i islamizowanych przez Turków mieszkańców Bałkanów narodziła się zaś nadzieja na wyzwolenie. Wybitny chorwacki poeta barokowy z Dubrownika, Ivan Gundulić, poświęcił temu wydarzeniu swój najwybitniejszy poemat „Osman".

BUDOWANIE MITÓW

Obraz Baciarellego można uznać za początek artystycznego budowania mitów na temat relacji polsko-tureckich, którego kulminacją była bajka o nieuznaniu rozbiorów stworzona przez Adama Mickiewicza. Nasz wieszcz był wspaniałym poetą, wielkim patriotą, ale z całą pewnością nie był ani historykiem, ani kronikarzem, a w swoich dziełach zdarzało mu się fantazjować. Julian Ordon o 55 lat przeżył swoje uśmiercenie piórem wieszcza w poemacie „Reduta Ordona" i taką samą „prawdą historyczną" było rzekome nieuznanie rozbiorów przez sułtana i wyczekiwanie przez niego „posłów z Lechistanu". W kontekście planów tureckiego pomnika w Warszawie ma to również kluczowe znaczenie, gdyż ma się na nim znaleźć cytat z Mickiewicza: „W czasach, kiedy żadne z państw nie sprzeciwiało się uciskowi Polski przez wrogich sąsiadów, jedynymi naszymi przyjaciółmi byli Turcy. Darzymy naród turecki przyjaźnią jako ten, który nie ugiął się przed naszymi wrogami i nie zaakceptował rozbiorów Polski".

Niestety, prawda historyczna jest zupełnie inna, a imperium osmańskie nie okazało żadnego wsparcia Polsce w czasie zaborów. Wykorzystało jedynie naiwne nadzieje niektórych polskich bohaterów. Sięgają one jeszcze XVIII w., gdy rzekomy sojusznik Polski przeciwko rosyjskiemu imperium, tj. osmański sułtan, zawarł w 1792 r. traktat pokojowy w Jassach umożliwiający Aleksandrowi Suworowowi

eprasa.pl f7da1498f7

przerzucenie dowodzonych przez siebie sił do walki z Rzecząpospolitą. Kolejne mrzonki pojawiły się podczas wojny krymskiej (1853–1856) i to wówczas właśnie Mickiewicz, chcąc stworzyć Legion Polski w Turcji, zaczął wymyślać owe mity o nieuznaniu rozbiorów. Prawda jest natomiast taka, że Legion Polski w armii osmańskiej okazał się całkowitą klapą, Mickiewicz szybko się rozchorował i zmarł, a dezerterzy z armii carskiej byli wyłapywani przez Turków i zamiast zasilać szeregi Legionu, trafiali na targ niewolników. Aby temu zapobiec, Hotel Lambert księcia Czartoryskiego przed wysyłaniem do Turcji Polaków załatwiał im angielskie dokumenty, bo jako Polacy byli traktowani jak bezpaństwowcy (co byłoby nielogiczne, gdyby Turcja rzeczywiście nie uznała rozbiorów) i sprzedawani w niewolę. Również ze służby w sułtańskiej armii takich polskich dowódców jak Józef Bem czy Michał Czajkowski sprawa polska nie odniosła najmniejszych korzyści, a oni sami zostali zmuszeni do przejścia na islam, bo inaczej nie mogliby tam służyć. I jako osmańscy oficerowie nie walczyli już bynajmniej o Polskę.

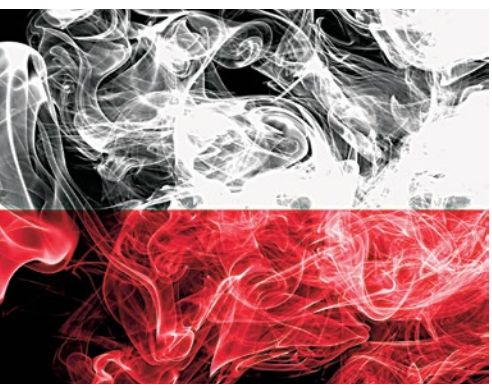

FOT. ADOBE STOCK

Mit o nieuznaniu rozbiorów tak mocno zakorzenił się w polskiej świadomości, że powtarzany jest na każdym kroku jako fakt, mimo iż nie potwierdzają go żadne dokumenty źródłowe, a wzmianka Mickiewicza została napisana 60 lat po rozbiorach. Nie było zresztą takiego zwyczaju, by państwa trzecie wydawały jakieś dokumenty uznające rozbiory i nie istnieje też żaden dokument osmański o ich nieuznaniu. Poza tym w osmańsko-rosyjskim traktacie podpisanym w 1829 r. w Adrianopolu sułtan wyraźnie tytułuje rosyjskiego cara również królem Polski.

Szerzenie tych mitów sprzyja zakłamywaniu historycznej natury stosunków polsko-tureckich do tego stopnia, że często kwestionuje się sens polskiej odsieczy wiedeńskiej w 1683 r. Tymczasem od XV do XVII w. interesy Polski i imperium osmańskiego były sprzeczne i konfrontacja stała się nieuchronna. Polska już w XIV w. zainteresowała się ekspansją w stronę Morza Czarnego, czyniąc hospodarów mołdawskich swoimi lennikami. Z kolei Turcy parli na północ i na początku XVI w. postanowili podporządkować sobie Mołdawię, co spowodowało konfrontację z Polską. Ale nie chodziło tylko o to terytorium. Nie można bowiem zapominać, że fundamentem polityki zagranicznej wszystkich osmańskich sułtanów był permanentny dżihad, polityka podbojów, której celem było podporządkowanie sobie całej Europy.

Paradoksem jest też to, że w czasie gdy przez Amerykę i zachodnią Europę przetaczają się demonstracje związane z rozliczaniem historii niewolnictwa i samobiczowaniem się białych w tym zakresie, obalaniem pomników etc., w Polsce ma powstać pomnik sławiący tych, którzy

skandal

handlowali polskimi niewolnikami. Bo tatarskie zagony, zwłaszcza w XVII w., porywały mieszkańców Rzeczypospolitej, by dostarczać ich na osmańskie targowiska. Tu jako kolejny symbol „przyjaźni" narzucana jest czasem Aleksandra Lisowska, czyli słynna sułtanka Roksolana, porwana przez Tatarów z Rohatynia. Miała szczęście, że zrobiła taką karierę, ale ocenia się, że na targi niewolników trafiło łącznie około miliona osób z Rzeczypospolitej. Większość miała mniej szczęścia. Mężczyźni trafiali na galery lub do kopalni, chłopcom prano mózgi, szkoląc ich na janczarów, a dziewczęta zostawały niewolnicami seksualnymi. To ma być ta przyjaźń, o której piszą radni i ambasada Turcji?

AMBASADA CHCE POMNIKÓW

To już zresztą drugie podejście ambasady Turcji. W 2018 r. chciała ona postawić w Krakowie pomnik osmańskiego żołnierza na koniu pijącym wodę z Wisły. Miało to upamiętnić pobyt wojsk tureckich w tym mieście w czasie pierwszej wojny światowej. Tyle że inicjatorzy zapomnieli, że to właśnie te wojska wtedy dokonywały ludobójstwa Ormian, narodu, którego losy mocno splotły się z dziejami Rzeczypospolitej. Swojego oburzenia nie kryli znani przedstawiciele środowisk ormiańskich w Polsce, tacy jak np. ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Ostatecznie miasto rakiem wycofało się z tego pomysłu.

Ambasada Turcji wyznaje jednak najwyraźniej zasadę „jak nie drzwiami, to oknem", więc jak się nie udało w Krakowie, to postanowiła postawić pomnik w Warszawie. Projekt zatwierdził już warszawski konserwator zabytków, a 17 lipca zaakceptowała go zdominowana przez Koalicję Obywatelską Rada Dzielnicy Śródmieście. Kolejnym żartem jest to, że stanąć ma 100 m od pomnika Sobieskiego. Konieczne jest jeszcze zaakceptowanie uchwały przez Radę Warszawy, w której również większość mają radni Koalicji Obywatelskiej. Niedawno ta sama Rada Warszawy odrzuciła petycję o postawienie w Warszawie pomnika gen. Tadeusza Rozwadowskiego, który odegrał kluczową rolę w Bitwie Warszawskiej z 1920 r. Ani w Warszawie, ani też w żadnym innym miejscu w Polsce nie ma też pomnika Żółkiewskiego. Najwyraźniej osmański wezyr bardziej zasłużył na upamiętnienie.

Warszawscy radni bronią pomysłu, wskazując na to, że pomnik ma sfinansować strona turecka. Argument ten jednak zdumiewa, gdyż robi z Polaków naród, którego nie stać nawet na postawienie pomnika, więc biorą takie pomniki, jakie dadzą im za darmo inne państwa. Może następny sfinansuje Szwecja, stawiając pod Jasną Górą statuę Karola Gustawa jako pomnik przyjaźni polsko-szwedzkiej?

Swoje protesty w sprawie planowanego pomnika „przyjaźni polsko-tureckiej" zapowiedzieli już polscy Ormianie, a także środowiska prokurdyjskie. Wskazują oni również na to, że postawienie go będzie skandalem nie tylko z powodu kontekstu historycznego, lecz także obecnej polityki Turcji. Chodzi m.in. o masowe łamanie praw człowieka przez reżim Recepa Tayyipa Erdoğana, zbrodnie popełnione przez armię turecką przeciwko Kurdom, wspieranie przez Turcję dżihadystów zagrażających Europie zamachami terrorystycznymi czy też ponowne przekształcenie słynnego kościoła Mądrości Bożej (Hagia Sophia) w meczet. Gdy wiele środowisk wyraża z tego powodu oburzenie, to warszawscy radni chcą Turcję uhonorować, plując w ten sposób na pamięć hetmana Żółkiewskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Andrzej Krzystyniak

Śląski „regionalizm" to nic innego jak próba kulturowego odcięcia się od Polski. Utożsamiający się z tą ideą mogą bezkarnie opluwać Polskę i Polaków

Nietykalni „regionaliści"

Bystry obserwator Śląska i tego, co dzieje się tu w sferze społecznej i kulturowej od kilku lat, z łatwością zauważy, że Śląsk zdaje się być przez niektórych usilnie odseparowywany od reszty Polski. Małe, lecz bardzo aktywne i potrafiące wpływać na media grupki „regionalistów" dość skutecznie potrafią tworzyć sztuczne różnice między Śląskiem a Polską, jakby Śląsk nie należał do Polski, a Polska była jedynie administratorem, do tego kiepskim, obszaru przyznanego Polsce po 1945 r.

Dzisiejszy „regionalizm" manifestowany na Śląsku przez takie organizacje jak Ruch Autonomii Śląska i jemu pokrewne to nic innego jak próba odcięcia kulturowego od Polski. Dziwaczne pozostaje, że ci, którzy chcą przywrócenia przedwojennej autonomii dla Śląska, przyznanej przez Polskę, na samo stwierdzenie, iż swój rozwój Śląsk zawdzięcza Polsce, reagują wściekłością, inwektywami pod adresem tego, kto śmiał pochwalić Polskę. Oni będą się oburzać i twierdzić, że „przecież Polska jest jedynie okupantem i gnębicielem Ślązaków", a sam Śląsk „nie był i nie będzie polski". Będą podkreślać rzekome „represjonowanie" Ślązaków przez państwo polskie, które ma się objawiać m.in. „nieuznaniem śląskiej mniejszości narodowej" i „śląskiego języka". Mimo że politycznie Ruch Autonomii Śląska nie posiada żadnego udziału we władzach województwa śląskiego, ma całkiem aktywnych sojuszników w mediach regionalnych, którzy z pewnością wesprą, kiedy będzie trzeba, i przemilczą nawet najbardziej głupi wybryk czy wypowiedź „regionalistów".

MARSZ NACJONALISTÓW

Niedawno – 18 lipca – w Katowicach odbył się marsz środowisk nacjonalistycznych pod prowokacyjną nazwą „Katowice miasto nacjonalizmu". Marsz zgromadził kilkaset osób, mniej więcej tyle samo, ile dwa tygodnie wcześniej „Marsz Autonomii", organizowany przez RAŚ (powodem oczywiście były ograniczenia ze względu na epidemię COVID-19).

Marsz nacjonalistów wzbudził ogromne protesty przeciwników i ogromne zainteresowanie mediów regionalnych oraz ogólnopolskich. Chyba nie było portalu internetowego, który nie poinformowałby o marszu i protestach z nim związanych. Pomijając idee, które przyświecały organizatorom marszu „Katowice miasto nacjonalizmu", oczywiście nie można zabronić im manifestowania swoich poglądów publicznie. Zdziwienie muszą budzić reakcja i protesty na ich marsz. Eurodeputowany partii Wiosna Roberta Biedronia, Łukasz Kohut, obecnie jest mocno zaangażowany w promowanie działań Ruchu Autonomii Śląska. Wyraził on nawet pogląd w jednym z mediów społecznościowych, że „Śląsk był zawsze otwarty, wielokulturowy i nie zgadzamy się na zawłaszczanie patriotyzmu". To dziwne, zważywszy, że środowiska „regionalistów" dosyć opacznie rozumieją patriotyzm, a śląskość zdaje się uznaną przez nich jedynie słuszną wizją i każdy, kto pomyśli inaczej, jest co najwyżej „nieukiem nierozumiejącym Śląska".

eprasa.pl f7da1498f7

Marsz Autonomii Śląska w Katowicach, 11 lipca FOT. ASW/ARTSERVICE/FORUM

Ruch Autonomii Śląska i jego akolici w sposób bezbłędny wykorzystali także epidemię koronawirusa w Polsce. Udało się, co prawda nie na wielką skalę, ale rozpętać w mediach krzyk, jak to Śląsk i Ślązacy są szykanowani przez resztę kraju, jak to spotykają się z ostracyzmem, jak to polski rząd chce odseparować Śląsk – niebezpieczne ognisko epidemii. Publikowano przy tym wypowiedzi anonimowych internautów jako dowód nienawiści Polaków do Śląska i Ślązaków.

NIECHĘĆ DO PAŃSTWA

Nikt nigdy nie pokusił się o przejrzenie i publikację wypowiedzi, które pojawiają się (głównie na portalach społecznościowych) profilów Ruchu Autonomii Śląska i jego akolitów. A mamy tam do czynienia z szerokim wachlarzem niechęci do państwa polskiego – od wyśmiewania Polski i Polaków, jako głupich i zacofanych, do określenia państwa polskiego jako okupanta. To zresztą nic nowego. Taki proces narasta od kilku, a może nawet od kilkunastu lat. Sam przewodniczący RAŚ potrafi otwarcie na swoim profilu na FB nazwać państwo polskie „ulepionym z gówna". To oczywiście w niczym nikomu nie przeszkadza, a wręcz przeciwnie. Jeśli nie spotyka się z aplauzem, to jest skrzętnie przemilczane. Widać, że „otwartość i śląska tolerancja oraz wielokulturowość" nie dotyczą Polski i Polaków. Być może Polacy, jako „okupanci Śląska", nie mieszczą się w takich pięknych pojęciach jak „tolerancja" i „wielokulturowość", które są zarezerwowane jedynie dla tzw. rdzennych mieszkańców, to znaczy tych, którzy odcinają się od polskości.

Posługiwanie się w oficjalnych przekazach medialnych pięknymi hasłami tożsamości regionalnej nie przeszkadza w nieco niższej, a o wiele liczniejszej warstwie pluć na państwo polskie, które jawi się „regionalistom" jako krwiożerczy okupant dyskryminujący Ślązaków. Nikt nie zabrania organizacjom takim jak Ruch Autonomii Śląska głosić swoich poglądów, manifestować publicznie swoją ideę.

Nikt również nie protestuje, gdy RAŚ rokrocznie maszeruje w tzw. Marszu Autonomii, choć co prawda zdarzały się niewielkie pikiety. Jednak trudno dostrzec, aby ktokolwiek na poważnie odczytywał wpisy zamieszczane na forach internetowych sympatyków autonomii, manifestujących swoje pretensje względem państwa polskiego, opisywania Polski jako okupanta czy też kwestionowanie polskości Śląska. Nikt nie zareagował, gdy „Super Express" przeprowadził ponad miesiąc temu na swych łamach internetowych ankietę, w której jednym z pytań było: „Czy Śląsk powinien być oddzielnym państwem?". A wszystko to przez rzekomy hejt, który wylał się na Ślązaków po stwierdzeniu, że „gdyby nie Śląsk, to w Polsce byłby koniec koronawirusa".

Wrażliwość „regionalistów" rozpalona do czerwoności w reakcji na anonimowe, dodajmy głupie, wpisy nie obowiązuje, gdy obrażane jest państwo polskie, w tym zakresie nie ma równości. Wszak Polska to „okupant Śląska", więc przecież trudno z „okupantem" obchodzić się łagodnie. Każda okazja, by – używając potocznego języka – dokopać Polsce, jest dobra, każdy powód, by podkreślić rzekome dyskryminowanie Ślązaków przez Polskę, jest dobry.

Na ostatnim Marszu Autonomii organizowanym przez RAŚ Jerzy Gorzelik tradycyjnie jak co roku podkreślił, jak to Polska dyskryminuje Ślązaków. Tym razem powodem był prezydencki projekt ustawy przyznającej rekompensaty pieniężnie ofiarom deportacji do ZSRS. Zdaniem Gorzelika projekt „wyklucza większość Ślązaków, ze względu na zapis przyznający świadczenia osobom, które w momencie deportacji posiadały obywatelstwo polskie". Dodajmy, że projekt zakłada również inne ograniczenie. Mianowicie, co logiczne, odszkodowania otrzymają osoby, które nie tylko posiadały polskie obywatelstwo w momencie deportacji, lecz również posiadają je teraz. Trudno, doprawdy, komentować absurdalne zarzuty Gorzelika. Wydaje się, że wpisują się one w tendencję obarczania państwa polskiego za przesiedlenia Niemców po 1945 r. Gdyby prezydencki projekt zakładał wypłatę odszkodowań mieszkańcom Śląska niezależnie od posiadanego obywatelstwa, odszkodowania otrzymałyby również osoby posiadające w 1945 r. obywatelstwo niemieckie czy wywiezione do ZSRS.

„Regionaliści" zdają się bawić z państwem polskim w kotka i myszkę. Zresztą trudno im się dziwić, mogą do woli atakować, wyśmiewać, drwić i wyszydzać Polskę i Polaków, a każdą krytykę z tym związaną potrafią sprawnie nagłośnić w mediach jako „atak na śląską specyfikę i wielokulturowość".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI/FORUM

Premier bez roboty

Agnieszka Niewińska

Kazimierz Marcinkiewicz dał ogłoszenie, że szuka pracy. Chwali się, że jest zmotywowany, elastyczny i dostępny. Potrzebuje zajęcia jak kania dżdżu, bo dług wobec byłej żony – Isabel – idzie już w setki tysięcy złotych

Jestem gotowy do pracy kiedykolwiek i gdziekolwiek jest to potrzebne" – napisał były premier Kazimierz Marcinkiewicz na portalu społecznościowym LinkedIn. Zamieścił tam ogłoszenie po angielsku, w którym informuje, że szuka zajęcia, choć określił to nieco eufemistycznie. „Szukam nowych wyznań" – rzucił w nagłówku swojego anonsu.

„Prowadzisz bardzo dynamiczny biznes zarówno w Polsce, jak i na świecie? Może jest jakieś ciekawe miejsce dla człowieka z tak ogromną wiedzą jak moja?" – zachęca Marcinkiewicz. I tłumaczy, że przed nim – 60-letnim już mężczyzną – jeszcze co najmniej 10 lat intensywnej pracy zawodowej. „Jestem mocno zmotywowany, niezwykle elastyczny i w pełni dostępny" – kusi potencjalnych pracodawców.

AKT DESPERACJI?

Motywacji z pewnością nie można byłemu premierowi odmówić. Zresztą tabloidy, plotkarskie portale, a także sam premier w swoich mediach społecznościowych donoszą o motywatorze, jakim jest była żona Marcinkiewicza – Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz (znana medialnie jako Isabel), której ten zalega z alimentami. Pod koniec czerwca „Fakt" informował, że dług wynosi 180 tys. zł. Czy rośnie? Bardzo prawdopodobne, ale Olchowicz-Marcinkiewicz w odezwie do dziennikarzy opublikowanej na Facebooku napisała, że nie życzy sobie pytań o wysokość długu i odsyła media do „dłużnika" – jak zwykła nazywać Marcinkiewicza. Ten pytany przez media twierdzi, że wyroki sądu respektuje, ale byłej żonie (którą często określa mianem „stalkerki") nie płaci, bo… nie ma pieniędzy. Od dwóch lat szuka zajęcia, które dałoby mu stały dochód. Bezskutecznie.

Czy ogłoszenie w mediach społecznościowych pomoże? – Wątpię, by była to

eprasa.pl f7da1498f7

najlepsza metoda poszukiwania pracy przez byłego premiera. O ile na LinkedIn – serwisie, który służy do nawiązywania kontaktów zawodowych – użytkownicy niekiedy zamieszczają informacje wprost o tym, że poszukują pracy, o tyle raczej dotyczy to osób młodych, bez takiego doświadczenia zawodowego. W przypadku byłego premiera takie ogłoszenie świadczy raczej o desperacji, a to nie pomaga w znalezieniu dobrej pracy. Byli premierzy nie dają ogłoszeń w portalach społecznościowych. Propozycje pracy spływają do nich raczej dzięki osobistym kontaktom i wyrobionej pozycji, ewentualnie za pośrednictwem wyspecjalizowanych headhunterów – ocenia Katarzyna Chołdzyńska z agencji PR Projekt.

SKOK PRZEZ ŻYWOPŁOT

Zawodowa kariera Kazimierza Marcinkiewicza załamała się kilka lat temu. Po tym, jak na fotelu szefa rządu zastąpił go Jarosław Kaczyński, Marcinkiewicz przeniósł się do warszawskiego ratusza. Został komisarzem, ale w ratuszu nie zagrzał miejsca, bo przegrał wybory na prezydenta miasta. Rząd zdecydował się wysłać go do Londynu. Objął stanowisko jednego z dyrektorów Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju. Potem został zatrudniony w londyńskim oddziale banku inwestycyjnego Goldman Sachs. Miał doradzać w związku z planami inwestycyjnymi banku w Europie Środkowo-Wschodniej, m.in. przy prywatyzacji grupy PGE. Z PiS Marcinkiewiczowi nie było już po drodze. Zbliżył się do PO i to raczej ze względu na znajomości wśród polityków, a nie fachową wiedzę z zakresu inwestycji znalazł zajęcie w Goldman Sachs.

Okazało się jednak, że Marcinkiewicz zaczął być w Polsce znany nie z tego, że kierował rządem, ale z romansu z młodszą o 22 lata Isabel, którą poznał na lotniskowej hali odlotów, gdy był jeszcze żonatym mężczyzną. Kiedy w styczniu 2009 r. gruchnęła wieść, że były premier w Londynie nie tylko poświęca się bankowości, lecz także młodej emigrantce pochodzącej z podwarszawskiego Brwinowa, tabloidy oszalały. – To wspaniała, ambitna, młoda osoba. Pracuje jako konsultant w londyńskim City. Ujęło mnie to, że w życiu kieruje się jasnymi zasadami – chwalił się „Super Expressowi" nową wybranką Marcinkiewicz, którego brukowce zaczęły nazywać w skrócie Kaz. Były zdjęcia ze wspólnego imprezowania z Isabel, wypadu na mecz, a nawet ze sklepu jubilerskiego, w którym Marcinkiewicz kupował pierścionek zaręczynowy dla nowej wybranki. Para podsycała zainteresowanie mediów, pokazała się nawet na okładce „Vivy!". Pozowali w objęciach na weneckiej gondoli. Ślub wzięli w polskim konsulacie w Barcelonie we wrześniu 2009 r.

W 2013 r. Goldman Sachs nie przedłużył umowy Marcinkiewiczowi. „Generalnie zasada jest taka, że wolimy, by nasi współpracownicy nie byli aż tak aktywni medialnie, ponieważ nasza współpraca z firmami i rządem ma często charakter poufny i taka aktywność ma swoje dobre, ale i złe strony" – mówił „Rzeczpospolitej" Alexander Dibelius, szef Goldman Sachs na Europę Środkową.

Odkąd Marcinkiewiczowie wrócili do Polski, media pisały już głównie o kryzysie w ich związku. Para zdecydowała się na rozstanie. Ich rozwód trwał dłużej niż całe małżeństwo i był równie medialny. Teraz media wałkują temat walki o alimenty. Isabel nie ustaje w doniesieniach o kolejnych podjętych przez siebie krokach, a tabloidy rozpisują się o Marcinkiewiczu, który uciekając przed komornikiem, sforsował żywopłot.

Ubiegłego lata były premier sam pochwalił się tym, jak spławił komornika. Ten chciał zabrać mu kosztowny rower podczas zawodów triathlonowych (teraz były premier pasjonuje się sportem i zdrowym stylem życia). „Moja stalkerka zażądała od komornika, by zabrał mi rower w czasie zawodów. Ciśnienie 200, choć startuję na nie swoim rowerze i w telefonie mam tego dowód. Komornik mnie zostawił. Zawody ukończyłem" – poinformował świat za pośrednictwem Instagrama.

W opublikowanym w ubiegłym roku oświadczeniu napisał z kolei, że pracuje na własny rachunek „bardzo ciężko i intensywnie". Poinformował, że prowadzi kilkadziesiąt projektów „na success fee", czyli dostaje prowizję, jeśli odniesie sukces. A tych, jak przyznał, nie miał za wiele. Nic dziwnego. Znający działalność Marcinkiewicza opowiadali, że jako „klamkowy" (czyli osoba, która „otwiera drzwi" do gabinetów decydentów) jest dziś spalony, bo skonfliktował się ze środowiskiem PiS.

INFLUENCER 60+?

Pomysły na to, czym mógłby się zająć były premier, podsuwają internauci. W komentarzach piszą, że ma szansę zostać influencerem i wykorzystywać swoje kanały w mediach społecznościowych do reklamowania konkretnych produktów. W przypadku Marcinkiewicza mogłyby to być sprzęt i stroje sportowe, zdrowa żywność, dieta. Marcinkiewicz często chwali się internautom swoją sportową pasją, którą stał się dla niego triathlon. Zamieszcza zdjęcia w sportowych strojach, selfie z pływalni, zawodów, z treningu jogi w plenerze. „Aktywny tryb życia i zdrowe żywienie są niezbędne, by sięgać po szczęście" – dzieli się swoimi przemyśleniami. Zdradza plan treningowy, zamieszcza zdjęcia posiłków. „Śniadanie to owsianka z kakao i malinami lub innymi, najlepiej świeżymi owocami" – opisuje. Jada też guacamole na żytnim pieczywie, zachwala wegeburgery z niemieckiej sieci supermarketów.

Katarzyna Chołdzyńska powątpiewa jednak, czy Marcinkiewicz mógłby być jak Ewa Chodakowska dla osób w wieku 60+. – W przypadku osobowości, które mają wpływ na gusta internautów, ważna jest spójność wizerunku z tym, co chce się promować. A tej Kazimierzowi Marcinkiewiczowi brakuje. Z jednej strony chwali się zdrowym stylem życia, z drugiej strony, choć od dawna nie ma go w polityce, ciągle nie może się z tym światem rozstać. Nie traci żadnej okazji do tego, by wystąpić w programie publicystycznym i dzielić się tam niezbyt oryginalnymi spostrzeżeniami na temat polskiego życia politycznego. Nie będzie dla odbiorców wiarygodny – komentuje Katarzyna Chołdzyńska. I dodaje: – Do tego dochodzi jeszcze jego obecność w tabloidach. Marcinkiewicz niedobrze pokierował swoją popularnością w mediach i to będzie duża przeszkoda w znalezieniu poważnej posady.

Przed dwoma laty do mediów trafił filmik z 2013 r., na którym słyszymy, jak Marcinkiewicz udziela Isabel reprymendy. „Idź do pracy!" – pokrzykuje na byłą już dziś żonę. „Zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą" – mówi wyraźnie zły. Okazuje się, że i dla byłego premiera znalezienie pracy to poważne wyzwanie. Na złośliwy komentarz internauty na temat danego na LinkedIn ogłoszenia Marcinkiewicz odpowiedział, informując, że dostał już kilkadziesiąt ofert. Pozostaje życzyć premierowi, żeby były to poważne propozycje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Piotr Semka

Warto dać temu muzeum duży kapitał zaufania, gdyż doświadczenie Polaków z lat 1918–1989 należy wyjaśniać młodszym pokoleniom

FOT. MUZEUM JANA PAWŁA II I PRYMASA WYSZYŃSKIEGO

Papieska biel
i kardynalski szkarłat

Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego nie miało szczęścia do uroczystej inauguracji, Andrzej Duda otworzył je 16 października 2019 r., ale zwykłym turystom udostępniono je dopiero 1 lutego 2020 r. A już ponad miesiąc później, 10 marca, pandemia zatrzasnęła jego bramy. Teraz otwarto je na nowo, ale nie towarzyszyła temu żadna poważniejsza akcja reklamowa.

Ekspozycja główna znajduje się w pierścieniu okalającym kopułę Świątyni Opatrzności Bożej na wysokości 26 metrów. Miejsca jest wystarczająco, na razie 2000 mkw. powierzchni. Część sal – o czym później – jest jeszcze w przygotowaniu.

Wystawę otwiera słynny dzień 2 czerwca 1979 r. Gdy widz wchodzi do ciemnej sali, w której nastąpi projekcja, przez pierwsze dwie minuty słyszy tylko dźwięki miasta, w którym kilkaset tysięcy ludzi wyszło powitać papieża. Kapłana przyjmowanego w Warszawie jak proroka. I chwilę później widzimy, jak ten prorok wypowiada swoje profetyczne słowa o „zstąpieniu ducha i odmienieniu oblicza tej ziemi". Ekran podzielony jest na kilka części i możemy widzieć prymasa Wyszyńskiego słuchającego z uwagą homilii papieskiej. Homilii, w której znalazły się słowa z aktu milenijnego z 1966 r.: „Wszystko, co Polskę stanowi. To wszystko w rękach Bogarodzicy".

Co czuł wówczas Prymas Tysiąclecia, gdy słuchał swego wychowanka, który przerósł go godnością i stanął na czele Kościoła światowego? Czy czuł, że powoli kończy misję, którą powierzył mu jego poprzednik prymas August Hlond? Śląski kardynał tak wsłuchany w rytm maryjnego kultu na Jasnej Górze, pocieszający odprowadzających go do kresu życia, że „zwycięstwo, gdy przyjdzie, przyjdzie przez Maryję". Później te słowa Jan Paweł II przywoła w swoim testamencie. A wcześniej Maryja odwróci swą dłonią bieg kuli, która mogła zabić go na miejscu w czasie zamachu na pl. św. Piotra 13 maja 1981 r. w Rzymie.

Dla osoby pamiętającej tę wielką przygodę Polski i Kościoła każdy film w tym muzeum budzi wspomnienia i wzruszenie. Zabierając się jednak do pisania tej recenzji, zadawałem sobie pytanie: Czy ekspozycja wyjaśni komuś, kto urodził się w XXI w., jaką głębię emocji niosły te dwie postacie? Jedna najbardziej znana w białym papieskim stroju i druga ubrana w kardynalski szkarłat. Nie jest przypadkiem, że te dwa kolory tworzą polską flagę. W pierwszej sali wyjaśniającej korzenie domowego wychowania papieża z małopolskich Wadowic i kardynała z Zuzeli na Mazowszu ich dwa żywoty, niemal równoległe, zaznaczone są tymi polskimi barwami.

DWA ŚWIATY – JEDNA NIEPODLEGŁOŚĆ

Autorzy wystawy w mądry sposób pokazują, jak różniły się czasy i zakątki Polski, w których przyszli na świat bohaterowie tego muzeum. Starszy o 19 lat Stefan Wyszyński był synem organisty w mazowieckiej Zuzeli i urodził się jako poddany cara Mikołaja II. Wzrusza seria popularnych pocztówek od wizyty aniołów u Piasta Kołodzieja do wiktorii wiedeńskiej. Stefan Wyszyński wspominał: „Byłem dzieckiem wychowanym na 24 obrazkach historii Polski. Była to jedyna polska książka dla dzieci w mojej nadbużańskiej wiosce. Ojciec mój w głuche, ciemne wieczory, gdy już nie było obawy, że przyjdzie ktoś obcy, wyciągał tę książkę z ukrycia i uczył mnie na niej historii Polski,

eprasa.pl f7da1498f7

poczynając od Gniezna". To wspomnienie prymas przywołał w 1979 r., w czasie wizytacji parafii pw. św. Stanisława Kostki. Czy mógł przewidzieć, że przyszła parafia ks. Jerzego Popiełuszki sama zaznaczy się w tragiczny sposób w dziejach Polski?

Tamten rosyjski ucisk pchał młodego Stefana Wyszyńskiego do buntu. W tej sali znalazły się dwa kapitele kolumn soboru św. Aleksandra Newskiego, które władze carskie nakazały wybudować na pl. Saskim.

I jeszcze jedna kartka z dzieciństwa. 1910 r. – śmierć matki Julianny. To tu można zrozumieć, jak bardzo kult maryjny był wynikiem szukania duchowej opieki po odejściu najbliższej osoby. Po drugiej stronie pomieszczenia dzieciństwo Karola Wojtyły. I jednak, mimo wszystko, inne doświadczenia. Urodzony 18 maja 1920 r. młody Karolek przyszedł na świat, gdy Polska zrzuciła zaborcze kajdany. Za to doświadczeniem jego młodości była pamięć o sowieckim walcu, który w roku jego narodzin został nadludzkim wysiłkiem odrodzonej ojczyzny odtrącony, choć tylko na dwie dekady. 22 maja 1983 r. w słowie przed modlitwą „Anioł Pański" w Rzymie Jan Paweł II powie: „Na imię mam Karol. Urodziłem się w roku 1920, w maju, w tym czasie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę". I on traci matkę w dzieciństwie. A potem przyjdą kolejne przypadki śmierci. Odejście ojca i ukochanego brata.

Zarówno dla Stefana Wyszyńskiego, jak i Karola Wojtyły duchową próbą będzie druga wojna światowa. I tu znów rozdzielamy się na dwa różne kierunki. Przyszły prymas Wyszyński na skutek rozkazu swego przełożonego wyjeżdża z Włocławka do Warszawy. „Biskup Michał Kozal i ks. rektor Franciszek Korszyński mówili: nie możesz zostać we Włocławku, wyjeżdżaj. Posłuchałem ich i wyjechałem. A ich wszystkich, chociaż uruchomiliśmy seminarium, aresztowano tam. Cała gromada kleryków i profesorów poszła najpierw do Lądu, a później do Dachau". Jak by skomentował to Herbert: „Został ocalony po to, by nieść świadectwo".

W sali, która ma imitować Puszczę Kampinoską, umieszczono walizkę, w której ks. Wyszyński nosił przybory liturgiczne na polowe msze dla partyzantów AK.

Epizod krakowski dotyczący Karola Wojtyły to z kolei przypomnienie postaci abp. Adama Stefana Sapiehy, który wyświęcił „Lolka" na kapłana w swojej pałacowej kaplicy. Doświadczenie, które później pozwoli przyszłemu papieżowi Janowi Pawłowi II dobrze zrozumieć fenomen Solidarności. W 1940 r., aby uchronić się przed przymusową wywózką na roboty do Niemiec, Wojtyła rozpoczął pracę jako robotnik fizyczny w kamieniołomie w Zakrzówku. Wystawa pokazuje, jak wiele dały późniejszemu papieżowi podziemne studia dramatyczne, które nauczyły go na całe życie miłości do polskiej poezji romantycznej. Poznajemy kontakt Stefana Wyszyńskiego z charyzmatyczną postacią ks. Władysława Korniłowicza i ze środowiskiem Lasek. I wreszcie sakra biskupia dla ks. Wyszyńskiego w 1946 r.

Tutaj wystawa budzi mój niedosyt. Jej autorzy nie znaleźli sposobu, aby wytłumaczyć, szczególnie zagranicznemu widzowi, jak gorzkim żartem historii wydało się ówczesnym Polakom spuentowanie sześciu lat niemieckiej okupacji kolejną niewolą, tyle że spod znaku sierpa i młota. Bardzo słabo też opisana jest taktyka władz zmierzająca do rozbicia Kościoła. Owszem, jest o dokumencie „Non possumus", ale nie można do końca zrozumieć sekwencji wydarzeń, które doprowadziły w 1953 r. do aresztowania prymasa. Zdjęcie demonstracji z transparentem: „Żądamy uwolnienia kardynała Wyszyńskiego" nie ma ani daty, ani miejsca zdarzenia. Takie błędy nie powinny się zdarzać.

Okres po 1956 r. symbolizuje wyjątkowy eksponat – przepiękny tron z orłem w koronie zaprojektowany dla kard. Wyszyńskiego w latach 60 przez prof. Jana Bogusławskiego. To wejście do sali poświęconej rywalizacji o rząd dusz między I sekretarzem PZPR Władysławem Gomułką a prymasem Wyszyńskim. Fragmenty przemówień obu postaci dobrze oddają istotę ówczesnego sporu. Prymas obawiał się, że przetrącone przez koszmary drugiej wojny światowej społeczeństwo może ulec łatwej laicyzacji. Z kolei Gomułka nie mógł znieść świadomości, że prymas stał się dla dużej części Polaków „interrexem", czyli kimś, kto w czasie uzurpacji komunistycznej odgrywał rolę męża stanu. Potem są kolejne sale pokazujące burzliwe zrywy społeczne z lat 1970–1989. Piosenka Kazika trawestująca balladę o Janku Wiśniewskim przypomina czarny czwartek 17 grudnia 1970 r. „Z głęboką czcią pochylamy się nad brukami Gdyni, Gdańska, Szczecina, Słupska i Elbląga... Po kapłańsku zbieramy tę krew i ofiarujemy ją ojcu". Te słowa padły 24 grudnia 1970 r. w przemówieniu do duchowieństwa Warszawy w czasie spotkania opłatkowego. Z ciemnego labiryntu zbudowanego ze stalowych płyt wychodzimy na salę poświęconą soborowi watykańskiemu. Ta sala kieruje nas ku momentowi ogłoszenia wyboru Jana Pawła II 16 października 1978 r. I znów niezwykle sprawna instalacja multimedialna pozwala nam poczuć się, jakbyśmy stali na pl. św. Piotra w tamten ciepły październikowy wieczór i mogli usłyszeć, że nowym pontifexem został przybysz z dalekiej Polski. I wreszcie ostatnia sala w kształcie wielkiej arki z drewna. Opowiada ona o schyłku życia prymasa Wyszyńskiego i serii wielkich pielgrzymek po całym świecie Jana Pawła II. To już koniec ekspozycji. Przygotowywanych jest jeszcze parę sal dotyczących okresu Niegowici, wypraw młodego księdza Wojtyły z młodzieżą w latach 50. i okresu walki w obronie krzyża w Nowej Hucie.

MUZEUM NARRACYJNE

Muzeum Jana Paweł II i Prymasa Wyszyńskiego to typowe muzeum narracyjne. Eksponatów jest tutaj niewiele, choć – jak się dowiedziałem – przygotowywana jest np. replika samochodu Warszawa z lat biskupiej posługi Karola Wojtyły w Krakowie.

Ekspozycja tłumaczy dobrze, jak ściśle były związane losy Kościoła z losami Polski w XX w. Dzisiaj, gdy części młodych Kościół kojarzy się jedynie z filmami Tomasza Sekielskiego, to bardzo cenne przypomnienie tamtej epoki. Natomiast ekspozycja ta nie może omijać szerokim łukiem wszystkich delikatnych kwestii, takich jak mało chlubne zachowanie episkopatu po aresztowaniu prymasa w 1953 r. czy spór prymasa Wyszyńskiego ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego" i „Więzi" o tempo wprowadzania zmian soborowych w Polsce. Warto też dosyć odważniej poruszyć kontrowersje wokół postawy Kościoła pod wodzą prymasa Józefa Glempa wobec ówczesnych władz stanu wojennego. Nie jest to oczywiście łatwe, ale udawanie, że pewnych kwestii dyskusyjnych nie było, nie służy wystawie. Na razie warto dać temu muzeum duży kapitał zaufania, gdyż doświadczenie Polaków z lat 1918–1989 musi być wyjaśniane młodszym pokoleniom. I dlatego wychodziłem z muzeum na warszawskim Wilanowie z przekonaniem, że uwiecznio-no tu coś ważnego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego czynne jest od środy do niedzieli w godz. 12–19. Szczegóły na: www.mt514.pl.

eprasa.pl f7da1498f7

Śpiewając sercem

Tomasz Zbigniew Zapert

„Tyle lat już jeżdżę po świecie, lecz piękniejszego głosu basowego nigdzie nie słyszałem" – powiedział kiedyś Luciano Pavarotti o zmarłym 25 lipca w wieku 98 lat Bernardzie Ładyszu

Bernard Ładysz w widowisku muzycznym pt. „Gdy dwóch robi to samo", 1978 r. FOT. MIROSŁAW STANKIEWICZ/TVP/EAST NEWS

Oskali fenomenalnego talentu Polaka świadczy to, że jako jedyny z naszych artystów partnerował najsławniejszej diwie wszech czasów Marii Callas. Album „Łucja z Lammermooru" Gaetano Donizettiego, pod batutą Tullio Serafina, do dziś cieszy się wielką popularnością. Głos predestynował zatem Ładysza do Metropolitan Opery, Covent Garden i La Scali. Dlaczego tam nie dotarł? Najpewniej zaszkodziła niepoprawność polityczna i niewyparzony język. Ale emigracja nie wchodziła chyba też w rachubę z uwagi na umiłowanie Polski.

Jesień roku 1965. Otwarcie po odbudowie Teatru Wielkiego w Warszawie inaugurowała premiera inscenizacji „Strasznego dworu". To z tego dzieła pochodzi nasz operowy evergreen. Znana chyba powszechnie pomiędzy Bałtykiem a Tatrami aria Skołuby, rozpoczynająca się słowami „Ten zegar stary", której od Ładysza – ach ta niepowtarzalna, kresowa intonacja! – chyba nikt nigdy lepiej nie zaśpiewał. Po przedstawieniu publiczność, zdominowana przez socjetę, wyszła przed zrekonstruowany pod egidą prof. Bohdana Pniewskiego gmach, by uświetnić odsłonięcie pomnika Stanisława Moniuszki. W pewnej chwili Ładysz w kontuszu Skołuby podszedł do ambasadora Finlandii i stukając się z nim kieliszkiem szampana, wzniósł tubalnym basem toast: „Obyśmy już nigdy więcej nie mieli wspólnego króla!". Za sprawą zagranicznych dziennikarzy akredytowanych w Warszawie wydarzenie to nabrało rozgłosu. Interweniowała rosyjska ambasada, a śpiewak – przez pewien czas – mógł występować wyłącznie w kraju. Niebawem zaangażował się w działania mające na celu zwolnienie z więzienia cichociemnego, kpt. Adama Boryczki „Brony" – poznanego w partyzantce na Wileńszczyźnie, skazanego w majestacie komunistycznego bezprawia na karę śmierci, zamienioną potem na dożywocie. Pod wpływem nacisku kombatantów więzień opuścił celę po 13 latach odsiadki.

JANOSIK

Drogę ku sławie miał Ładysz krętą i wyboistą. W dzieciństwie śpiewał w chórze kościelnym w rodzinnym Wilnie. Po kampanii wrześniowej mieszkanie jego rodziców przy ulicy Połockiej stało się przystanią uciekinierów z Generalnego Gubernatorstwa. Kwaterował tam m.in. poeta Światopełk Karpiński. Gdy gród Gedymina po raz drugi zajęli Sowieci, Ładysz wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. Prochu powąchał jednak dopiero wtedy, kiedy miasto zdobyli Niemcy. Walczył w 3. Brygadzie Wileńskiej dowodzonej przez mjr. Gracjana Fróga „Szczerbca". Przyjął pseudonim Janosik, dosłużył się stopnia sierżanta. Uczestniczył w operacji „Ostra Brama", po której wraz z kolegami został znienacka internowany przez NKWD. Odmówiwszy zasilenia berlingowców, trafił do łagru Kaługa, gdzie przez trzy lata karczował las. Z czasem naczalstwo zezwoliło na utworzenie obozowego teatrzyku. W takich okolicznościach powrócił do śpiewu, występując w gro-

eprasa.pl f7da1498f7

nie raczkujących artystów: przyszłego dyrygenta i kompozytora Henryka Czyża, reżysera Stanisława Lenartowicza oraz aktora Stanisława Jasiukiewicza.

Zwolniony z łagru dotarł do Warszawy, ponieważ ukochane Wilno znalazło się za granicą. Dla chleba pracował w... piekarni. Formując bułki, podśpiewywał, co przez otwarte okno usłyszał przechodzący obok nauczyciel wokalistyki, skłaniając piekarza in spe do zmiany planów zawodowych. Muzyczną edukację łączył Ładysz z pracą artystyczną w mundurze. „Zbiorowe koncerty w plenerze zapowiadał przeważnie satyryk Józef Prutkowski. Brzmiało to tak. »A teraz wystąpi Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego pod dyrekcją pułkownika Teodora Ratkowskiego... I chór z nim!«" – wspominał.

Punktem przełomowym jego – jak zwykł mawiać – przygody z głosem stał się spektakularny triumf w konkursie wokalnym w Vercelli (1956). Zgodnie z regulaminem laureat miał prawo debiutu w La Scali. Zamiast w Mediolanie wylądował jednak w Palermo, szybko zaskarbiając sobie uznanie miejscowych miłośników bel canta. Pytany, co warto w Italii oglądać, wyjaśniał: „W Wenecji plac św. Marka, w Turynie całun, w Rzymie Koloseum, w Watykanie bazylikę św. Piotra, w Neapolu Wezuwiusza, a na Sycylii oglądamy się za siebie".

Gremin z „Eugeniusza Oniegina" Piotra Czajkowskiego, Filip II z „Don Carlosa" Giuseppe Verdiego, Mefisto z „Fausta" Charles'a Gounoda oraz partie tytułowe w „Kniaziu Igorze" Aleksandra Borodina, a zwłaszcza „Borysie Godunowie" Modesta Musorgskiego to jego popisowe kreacje. „Pewnego razu w cara przeistoczyłem się po pewnej upojnej i wyczerpującej nocy miłosnej. Po spektaklu zapytałam się matki, będącej dla mnie także niekwestionowanym autorytetem muzycznym, jak wypadłem. »Dziś nie byłeś Borysem, lecz Borysikiem« – odpowiedziała".

Skądinąd Kupidyn mocno namieszał w biografii maestra. Ze związku z tancerką Ireną Mrówczyńską, o której względy skutecznie konkurował z... Wojciechem Jaruzelskim – doczekał się córki. Zuzanna Czajkowska, dziennikarka, powiła mu syna (Aleksander Czajkowski-Ładysz funkcjonuje w muzycznym impresariacie). Syn małżeński (Leokadia Rymkiewicz, miss śpiewaczek) – Zbigniew – kompozytor, aranżer, multiinstrumentalista, także śpiewak, długo mieszkający w Skandynawii, powrócił niedawno do ojczyzny, żeby połączyć się wreszcie ze swoją wieloletnią miłością, piękną Sylwią. Ku radości ojca. Ostatniej...

Gdyby za komuny istniała w Polsce prasa brukowa, zapewne nieraz zagościłby na jej łamach. Choćby z racji bujnego życia towarzyskiego, posiadania eleganckich limuzyn sprowadzanych zza żelaznej kurtyny, zamieszkania w pierwszym w PRL bloku z podziemnym garażem, uczestnictwa w futbolowych meczach artyści–dziennikarze, organizowanych z inicjatywy redakcji „Expressu Wieczornego", malarskiego hobby, smykałki do majsterkowania (czego rezultatem stała się okazała podwarszawska sadyba artysty), poturbowania aroganckiego milicjanta tudzież wirtuozerii kulinarnej. Pałaszując kolejne dokładki cepelinów serwowanych przez Ładysza, o mało co nie połknąłem języka.

TEWJE ZNAD MISSISIPI

To już były lata 80. Skorzystał z przejścia na wcześniejszą emeryturę, kiedy stanowisko szefa Teatru Wielkiego objął Robert Satanowski. Nierzadko – zgodnie z modą stanu wojennego – paradujący w mundurze. Generalskim! („Byłby niezłym tamburmajorem" – podsumował jego osiągnięcia kapelmistrzowskie Janusz Cegiełła). Satanowski lekceważył Ładysza, gdyż ten nie krył swojej okupacyjnej karty. Przyszły dyrektor dowodził za Bugiem zgrupowaniem partyzanckim „Jeszcze Polska nie zginęła", podległym Kremlowi. Znajomość z poznanym wtedy Nikitą Chruszczowem wydatnie pomogła mu w Polsce Ludowej.

Na szczęście o wokalistę upomniały się wówczas inne przybytki sztuki. W łódzkim Teatrze Muzycznym kreował Tewjego Mleczarza w polskiej prapremierze „Skrzypka na dachu". W teatrze Syrena przypomniał przeboje z równie klasycznych musicali: „Południowego Pacyfiku" czy „My Fair Lady". Wciąż mam w uszach brawurowo interpretowaną przezeń pieśń „Missisipi" oraz romanse Aleksandra Wertyńskiego („Koniec dnia", „Pomóż mi", „Bajkał"!) z widowiska „W zielonozłotym Singapurze" (kongenialna translacja Jonasza Kofty).

Już w III RP nagrał compact z pieśniami tradycyjnymi i patriotycznymi (m.in. „Boże, coś Polskę", „Rota", „Witaj, majowa jutrzenko", „Kiedy ranne wstają zorze", „Wojenko, wojenko", „O mój rozmarynie") pt. „A to Polska właśnie" – który doczekał się statusu platynowej płyty. Muzykę dzielił jedynie na dobrą i złą, a śpiewał – używając jego słów – zawsze sercem. Trudno przeceniać jego wkład w popularyzację utworów rodzimych. Moniuszki („Znasz li ten kraj", „Trzech budrysów", „Kozak", „Dziad i baba") w szczególności.

Jako emeryt mógł więcej czasu spędzać przed kamerą. Już wcześniej zetknął się z Wojciechem Hasem – przy okazji ekranizacji „Lalki" Bolesława Prusa – i Andrzejem Wajdą (adaptacja „Ziemi obiecanej" Władysława Reymonta), potem przyszła pora na Jerzego Hoffmana („Znachor" wedle Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, a także „Ogniem i mieczem" na kanwie Henryka Sienkiewicza) oraz Jerzego Gruzę i serial „Pierścień i róża".

Widzowie i słuchacze kochali Ładysza nie tylko za artyzm. Imponował prostolinijnością, bezpretensjonalnością, szczerością, systematycznym śpiewaniem na sumach w stołecznym kościele Najświętszego Zbawiciela... „Dzisiaj zawojowały nasze media: hasło »Róbta, co chceta«, programy typu »Big Brother« [...]. Jak tak dalej pójdzie, to już niedługo w Boga przestaniemy wierzyć" – podsumowywał rzeczywistość. Nie miał w sobie krzty kabotyństwa, fanfaronady czy minoderii. Indagowany o piosenkę aktorską wypalił, że nader często bywa wytłumaczeniem braku głosu. Sopran nomenklaturowy – ochrzcił znaną wokalistkę, kierującą w Teatrze Wielkim komórką podstawowej organizacji partyjnej. Regularnie ćmił cygara, alkohol pijał – jak podkreślał – zarówno z zakąską, jak i bez niej. A kiedy lekarz – w trosce o zdrowie pacjenta – zalecił mu dużo sportu na świeżym powietrzu, wystawił na werandę swojej rezydencji w Otrębusach telewizor, by śledzić transmisje z rozmaitych aren.

O jego specyficznym poczuciu humoru przekonałem się osobiście 34 lata temu. Było tak. Po maturze i immatrykulacji syn Bernarda, a mój klasowy kolega Zbyszek, zorganizował wystawne garden party – finansowane w lwiej części przez jego tatę. Następnego wieczora zatelefonowałem doń z podziękowaniami za wspaniałą gościnę, na co zapytał: „Czy nie uważasz, że czas mówić sobie per ty?".

„Ależ to od pana zależy, panie Bernardzie". „No, to dobranoc tobie" – zdążyłem usłyszeć, zanim król basów odłożył słuchawkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Piotr Gociek

Amerykański gigant streamingowy ujawnił listę swoich najpopularniejszych filmów oryginalnych. Nie jest to obraz najweselszy

McNetflix

Chociaż reputację zbudował – i ją podtrzymuje – na serialach, to Netflix od lat próbuje także konkurować z tradycyjnymi studiami w dziedzinie produkcji filmowej. Robi to z różnym skutkiem. Z jednej strony zdobywał Oscary za takie ambitne filmy jak „Roma" Alfonso Cuaróna czy „Historia małżeńska" Noaha Baumbacha albo produkcje dokumentalne („Icarus", „American Factory"). Z drugiej strony agresywny marketing takich produkcji jak czysto rozrywkowy „Bright" (2017, skrzyżowanie kryminału z fantasy) nie przyniósł aż tak dobrych rezultatów finansowych, jak się spodziewano. A uwagę fanów superprodukcji przyciągała do serwisu przede wszystkim akwizycja tytułów wyprodukowanych przez „stare" Hollywood i najpierw opatrzonych w kinach.

Ujawnione serwisowi Bloomberg przez Netflixa zestawienie 10 najchętniej oglądanych filmowych produkcji własnych pokazuje nie tylko uśrednione preferencje widzów z całego świata, lecz także trendy, których oczekiwać możemy w najbliższych latach. Mówi także wiele o tym, jak zmienia się rynek rozrywki filmowej.

Ważna uwaga techniczna – w jaki sposób Netflix zalicza dany tytuł do kategorii „obejrzane przez użytkownika"? Wystarczy, by film oglądany był przynajmniej przez dwie minuty bez przerwy. Nieco kontrowersyjne założenie, biorąc pod uwagę mechanizm automatycznego odtwarzania rekomendowanych i promowanych przez serwis tytułów. Ile razy zdarzyło się wam, że po skończeniu oglądania pomaszerowaliście do kuchni albo porozmawiać przez telefon, a kiedy wróciliście, na ekranie odtwarzany już był następny film? I uwaga druga – przy zestawianiu wyników

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. ADOBE STOCK

brano pod uwagę wyniki oglądalności jedynie z pierwszych czterech tygodni dystrybucji tytułu. Oznacza to, że każdy z umieszczonych na liście filmów dotarł tak naprawdę do jeszcze większej liczby użytkowników.

Oto pięć najważniejszych wniosków płynących z analizy Top 10 Netflixa.

WIELKIE PRZYSPIESZENIE

Zwróćmy uwagę, że niemal wszystkie najbardziej kasowe premiery serwisu to tytuły z ostatnich kilkunastu miesięcy. Najstarszy – „Nie otwieraj oczu" – z Sandrą Bullock miał premierę w grudniu 2018 r., tuż przed świętami. „Potrójna granica" miała premierę w marcu 2019 r., „Wynajmij sobie chłopaka" – miesiąc później. W pierwszej piątce mamy trzy tytuły z roku 2020 („Tyler Rake: Ocalenie", „Śledztwo Spensera" i „6 Underground"). Netflix tymczasem istnieje jako dystrybutor od 1997 r., a produkcje oryginalne sprzedaje od roku 2013 (w Polsce obecny jest od roku 2016).

Oznacza to, że ekspansja serwisu trwa i wciąż zdobywa on nowych abonentów w krajach całego świata, dzięki czemu najnowsze premiery wykręcają rezultaty, o jakich trzy, cztery lata temu nie można było marzyć. W kwietniu 2020 r. Netflix informował, że ma 193 mln subskrybentów (z tego 73 mln w USA). Kiedy spojrzymy jednak na to, jak radzą sobie konkurenci Netflixa, od Hulu do Amazona czy Apple TV+, zobaczymy, że to szerszy trend. Na dobre zmienia się sposób konsumowania rozrywki filmowej, rośnie znaczenie segmentu domowego, odtworzeń na telewizorach, komputerach, smartfonach. Przynosi to zarobek na tyle duży, że kwoty inwestowane w produkcje własne zaczynają dorównywać pieniądzom wydawanym przez stare Hollywood (serial „Władca Pierścieni" szykowany przez Amazon Studios ma budżet przebijający sumę miliarda dolarów).

No i na koniec – epidemia koronawirusa największym przyjacielem domowej rozrywki. W czasach wielkiego zatrzymania, lockdownu, zawieszania działalności kin zyskiwali, czego można się było spodziewać, specjaliści od dostarczania treści w Internecie. Spójrzmy na prognozowane przez Netflixa wyniki filmu „Bez końca" („The Old Guard"). Sensacyjno-fantastyczna historia o grupce nieśmiertelnych wojowników z Charlize Theron na czele trafiła do serwisu 10 lipca. Według analityków Netflixa w ciągu pierwszego miesiąca dystrybucji bez trudu osiągnie 70 mln wyświetleń, co da filmowi miejsce w Top 10, a być może nawet Top 5.

STAR POWER

Wniosek drugi – gwiazdy mają znaczenie. Spójrzmy na aktorów, dzięki którym oryginalne filmy Netflixa przyciągnęły uwagę subskrybentów. W „Tyler Rake: Ocalenie" był to Chris Hemsworth, czyli gwiazda kinowego uniwersum Marvela (rola lubianego przez fanów Thora), a w ostatnich latach także takich filmów jak „Źle się dzieje w El Royale", „Men in Black: International" czy nowa wersja „Ghostbusters". Krótko mówiąc – pewniak. W „Nie otwieraj oczu" Sandra Bullock, ulubiona amerykańska „girl next door", popularna dzięki niezliczonym komediom romantycznym, laureatka Oscara za rolę w filmie „Wielki Mike", nominowana do Oscara za występ w „Grawitacji".

Mark Wahlberg, nieustannie jeden z najbardziej kasowych aktorów w USA, choć w Europie trudno to zrozumieć, pomógł swą charyzmą przeciętnemu „Śledztwu Spensera", Ryan Reynolds niezmiernie popularny w ostatnich latach dzięki roli w czarnych komediach o komiksowym antybohaterze Deadpoolu sprawił, że widzowie zwrócili uwagę na „6 Underground". I tak dalej: jak letnia rozrywka typu „Zabójczy rejs", to na liście płac specjaliści od rozrywki wielko- i małoekranowej: Adam Sandler w duecie z Jennifer Anniston. A jak coś poważnego, z Martinem Scorsese za sterami, to w pakiecie z nim nazwiska takie jak Robert De Niro, Al Pacino, Joe Pesci. Magnesem w filmie „Potrójna granica" też było aktorskie combo, ale aktorów innej generacji: Ben Affleck, Oscar Isaac, Charlie Hunnam, Pedro Pascal.

Netflix pasożytuje więc na nazwiskach, które zostały wylansowane przez stare hollywoodzkie studia. Ma na to pieniądze, a i gwiazdy nie krzywią się dziś na propozycje z Internetu.

KOPIOWANIE MA PRZYSZŁOŚĆ

Opisany wyżej proceder łączy się z kolejnym – hasłem Netflixa, jeśli chodzi o produkcje filmowe, to mogłoby być: „Znacie? To posłuchajcie". Cztery filmy sensacyjne, trzy komedie (w tym jedna młodzieżowa), dwa filmy fantastyczne (jeden postapo, czyli „Nie otwieraj oczu", oraz jeden horror, czyli „Platforma"). Plus dzieło osobne, czyli „Irlandczyk" Martina Scorsese. Lista najbardziej kasowych filmów Netflixa mogłaby być 10 lat temu listą premier leniwego wakacyjnego sezonu, kiedy to uciekając przed skwarem, widzowie szukają w multipleksach opowiastek lekkich, łatwych i przyjemnych, a w każdym razie do szybkiego zapomnienia.

Osiem z 10 tytułów to klasyczna guma do żucia dla oczu z fabułami opartymi na innych wakacyjnych fabułach, które już kiedyś zarobiły pieniądze. Dziewiątym jest hiszpańska „Plat-

eprasa.pl f7da1498f7

forma", która też oryginalnością nie grzeszy, bo horror ten oparto trochę na „Cube", trochę na „Snowpiercerze". Przynajmniej jednak rzecz została drapieżnie opowiedziana i włącza się (podobnie jak lepszy od niej „Parasite") do dyskusji o stanie współczesnego społeczeństwa.

„Irlandczyk", jak wspomniałem, jest w tym zestawieniu wyjątkiem, sądzę, że jego dobry wynik był efektem nie tyle miłości abonentów Netflixa do mądrego kina, ile raczej przedoscarowej gorączki (10 nominacji!) i wciąż działającego magnetyzmu dawnych aktorskich sław. Martin Scorsese potrzebny był amerykańskiemu gigantowi z tych samych powodów, dla których w roku 2013 zatrudniono do serialu „House of Cards" cenionego twórcę kinowego Davida Finchera. Pokaz siły, dystrybucja prestiżu, uwiarygodnienie w oczach branży, puszczenie oka do własnych klientów.

PLASTIKOWY POTOP

Czy to Martin Scorsese albo David Fincher są przyszłością serwisu? Oczywiście nie. Odegrali już swoją rolę, dziś Netflix jest na tyle silny, że może sam kreować i narzucać trendy. Na tyle potężny, że specjalista od największych hollywoodzkich widowisk, czyli Michael Bay, jest tylko jednym z wielu pracowników przyjmujących robótki zlecone od firmy, która zaczynała jako pocztowa wypożyczalnia płyt DVD.

Netflix już na stałe wpisał się w krajobraz domowej rozrywki, stając się graczem na tyle istotnym, że kto wie, czy po latach historycy nie będą pisać o netfliksyzacji jako podstawowym zjawisku globalizacji popkultury początków XXI stulecia. Sednem tej netfliksyzacji jest nie tyle powszechna dostępność oferowanych tytułów w zaciszu domowego salonu, ile daleko posunięta hamburgeryzacja oferty. Im więcej Netflix produkuje (mowa i o filmach, i o serialach), tym bardziej widać, że nie tylko celuje w gust uśredniony, lecz także jeszcze sam kreuje nową średnią. Do tradycyjnych schematów rozrywki dokłada spory ładunek ideologiczny, bo odpowiednia liczba gejowskich bohaterów i wątków LGBT została już chyba wpisana na dobre do stylebooka produkcyjnego. Wypierając tradycyjną telewizję, zastępuje jej najbardziej zgrane formuły własną ofertą, równie pustą i monotonną, tyle że czasem bardziej kolorową i dostępną od razu (premiery całych sezonów seriali), a nie w odstępach tygodniowych.

Był moment, kiedy z kręgów artystycznych płynęły głosy zachwytu: dzięki Netflixowi uda się złamać monopol wielkich studiów i multipleksów, wreszcie twórcy dzieł ambitnych i nietuzinkowych mogą liczyć na to, że trafią pod strzechy. Dzisiaj ten zachwyt minął. Wstawić do serwisu można wszystko, sztuką jest odnaleźć ciekawą rzecz w morzu plastikowego szajsu, w dodatku wciskanego klientowi przez agresywne algorytmy. Przeszukuję często ofertę Netflixa wedle nieoczywistych słów kluczy – nie uwierzycie, jak wiele ciekawych, często zapomnianych tytułów można odkryć. Tyle że jeśli abonent nie poświęci na to odrobiny wysiłku, to nie trafi na nie nigdy. A poświęcać wysiłku oraz czasu ani nie chce, ani nie musi. Netflix stał się w świecie rozrywki odpowiednikiem sieciówek z tandetnymi ciuchami reklamowanymi jako glamour dla mas, filmowo-telewizyjnym odpowiednikiem H&M czy C&A, największym pod słońcem fast foodem z migającymi obrazkami. Podejrzewaliśmy to od dawna, ale teraz, patrząc na liczby, możemy mieć już pewność.

NAJCHĘTNIEJ OGLĄDANE ORYGINALNE PRODUKCJE FILMOWE NETFLIXA

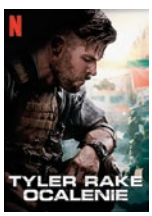

1. ***„Tyler Rake: Ocalenie" („Extraction"),*** *USA 2020, reż. Sam Hargrave, wyst. Chris Hemsworth – 99 mln widzów*

6. ***„Irlandczyk" („The Irishman"),*** *USA 2019, reż. Martin Scorsese, wyst. Robert De Niro – 64 mln widzów*

2. ***„Nie otwieraj oczu" („Bird Box"),*** *USA 2018, reż. Susanne Bier, wyst. Sandra Bullock – 89 mln widzów*

7. ***„Potrójna granica" („Triple Frontier"),*** *USA 2019, reż. J.C. Chandor, wyst. Ben Affleck – 63 mln widzów*

3. ***„Śledztwo Spensera" („Spenser Confidential"),*** *USA 2020, reż. Peter Berg, wyst. Mark Wahlberg – 85 mln widzów*

8. ***„Niewłaściwa Missy" („The Wrong Missy"),*** *USA 2020, reż. Tyler Szpindel, wyst. Lauren Lapkus – 59 mln widzów*

4. ***„6 Underground",*** *USA 2020, reż. Michael Bay, wyst. Ryan Reynolds – 83 mln widzów*

9. ***„Platforma" („El hoyo"),*** *Hiszpania 2019, reż. Galder Gaztelu-Urrutia, wyst. Ivan Massagué – 56 mln widzów*

5. ***„Zabójczy rejs" („Murder Mystery"),*** *USA 2019, reż. Kyle Newacheck, wyst. Adam Sandler – 73 mln widzów*

10. ***„Wynajmij sobie chłopaka" („The Perfect Date"),*** *USA 2019, reż. Chris Nelson, wyst. Noah Centineo – 48 mln widzów*

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG ORLEN

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Afro-Artur i Nimue

★★☆☆☆☆

SEZON 1
„PRZEKLĘTA" („CURSED")
USA 2020, DYSTR. NETFLIX

wyst. Katherine Langford, Gustaf Skarsgård, Devon Terrell

Jak wiadomo, opowieści fantasy nie mogą się obyć bez magii, mieczy i demonów – dlaczego jednak muszą być to demony politycznej poprawności?

„Przeklęta" to serial, który nicuje legendę o królu Arturze, mieczu Ekskaliburze, czarodzieju Merlinie i tajemniczej Nimue, znanej też jako Pani Jeziora. Nic w tym złego, antybaśnie, antybajki, fantazje rewizjonistyczne powstawały i będą powstawać. Nie można jednak przejść obojętnie obok tego wykwitu głupoty i złej woli.

Jest to wersja młodzieżowo-feministyczna, w czym też jeszcze nie ma nic złego. Ale w konkretach kryją się kłopoty. Z tradycji arturiańskiej nie zostało bowiem nic, prócz gadżetów (jak Ekskalibur, który tu odgrywa rolę klucza do panowania nad światem: kto go dzierży, ten ma władzę), resztę wymyślono na nowo, bez wyobraźni. Nimue pochodzi z magicznego ludu, więc ma magiczną moc, lud ten zaś jest obiektem prześladowań ze strony ludzi, szczególnie ze strony Czerwonych Paladynów. Owi osobnicy to zakonnicy Chrystusa, którzy mordują, torturują i gwałcą, szczególną zaś frajdę sprawia im przywiązywanie swoich ofiar do wielkich krzyży i następnie ich palenie. Z niedowierzaniem przeczytałem, jak w niektórych zachodnich recenzjach autorzy wspominają o ciekawym przedstawieniu konfliktu między pogaństwem a chrześcijaństwem. Otóż nie, kochani, nic w tym ciekawego, tu właśnie wkraczamy do krainy fantastyki debilnej.

Stron sporu w magicznym świecie jest więcej, bo pojawiają się znienacka wikingowie (?) oraz wrogie zarówno ludziom, jak i magicznemu ludowi istoty nadprzyrodzone, mamy bitwy, pościgi, pojedynki i głębokie poczucie, że scenarzystom żonglującym tymi wszystkimi motywami nie chodzi zupełnie o nic. Poza wspomnianym już na początku ładunkiem politpoprawności: „Przeklęta" to opowieść o nietolerancji (wobec Nimue), rasizmie (wobec jej ludu) i ohydzie chrześcijaństwa. Żeby uniknąć oskarżeń o nazbyt wybieloną obsadę, dostajemy afro-Artura oraz afro-Morganę, nie muszę przy tym chyba nadmieniać, że wrażliwość rasowa nie obejmuje białych – wszystkie bydlaki z ekranu to białasy, najlepiej z brodami i najlepiej z krzyżem na sztandarze. Zakończenie pozostaje otwarte, więc szykuje się ciąg dalszy. Nie mam wątpliwości, że będzie równie debilny. ©℗

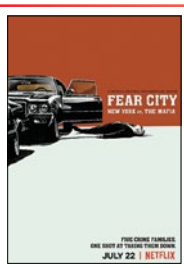

NOWE SERIALE: „MIASTO STRACHU"

Miniseria dokumentalna opowiadająca o największej w dziejach operacji FBI przeciw mafii. Było to wielowątkowe śledztwo, w którym na niespotykaną skalę zastosowano inwigilację. Doprowadziło do wykrycia istnienia Komisji – ciała decyzyjnego składającego się z szefów pięciu nowojorskich rodzin mafijnych – ujawnienia skali nielegalnych operacji (m.in. w budownictwie i związkach zawodowych) oraz skazania bossów. O śledztwie opowiadają m.in. Rudy Giuliani i członkowie jego zespołu prokuratorów, który oskarżał mafiosów. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***„Miasto strachu: Nowy Jork kontra mafia", USA 2020, dokumentalny***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- ***reż. David Lynch „Mulholland Drive", USA 2001, dramat***
- ***reż. Kenneth Branagh „Artemis Fowl", USA 2020, fantastyczny***
- ***reż. Bohdan Karásek „Karel, ja i ty" („Karel, já a ty"), Czechy 2019, komedia***

eprasa.pl f7da1498f7

Zaufaj mocy!

HBO GO

Od roku 1977 wiadomo, że upadek Imperium zaczął się z chwilą zdobycia przez rebeliantów planów Gwiazdy Śmierci. Kto i jak tego dokonał? Lucas nie puścił pary z ust, szczegóły szpiegowskiej operacji wyszły na jaw dopiero, gdy prawa do zarabiania na kosmicznej operze przejęła wytwórnia Disneya. Na szczęście „ŁOTR 1" jest czymś więcej niż tylko dwugodzinnym intro „Nowej nadziei". Kreuje nowych bohaterów (starzy pojawiają się tylko epizodycznie), momentami odchodzi od bombastycznej konwencji cyklu. „Gwiezdne wojny" traktują o dolach i niedolach galaktycznych VIP-ów. Ta opowieść jest bardziej demokratyczna. Trzymając się terminologii militarnej, „ŁOTR 1" jest hołdem złożonym szeregowcom i podoficerom (no dobrze, jeszcze kapitanom). Tym wszystkim, którzy są nawozem Historii, anonimową masą, zauważaną przez strategów tylko w chwili, gdy od jej poświęcenia zależy los bitwy lub kampanii.

★★★★☆☆

REŻ. GARETH EDWARDS
„ŁOTR 1. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE" („ROGUE ONE: A STAR WARS STORY")

wyst. Felicity Jones, Diego Luna, Ben Mendelsohn

Zgodnie z duchem czasów oddziałem straceńców dowodzi odważna do szaleństwa kobieta. Cóż, ciekawszą postacią jest osobnik sfrustrowany tym, że mimo niewątpliwych zasług w szerzeniu zła wciąż jest tylko prostym dyrektorem. Stać go również na celną ripostę:

„– Chcemy zaprowadzić pokój i ład w galaktyce"

– Raczej terror!

– Od czegoś trzeba zacząć". ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DIABEŁ W RAJU

MOJEKINO.PL

★★★★☆☆

REŻ. IVAN KAVANAGH
„NIGDY NIE DOROŚNIEMY" („NEVER GROW OLD")
IRLANDIA 2019, MAYFLY

wyst. Emile Hirsch, Déborah François, John Cusack

W ubogiej mieścinie na szlaku do Kalifornii żył sobie grabarz z rodziną i marzył o lepszym losie. Miejscowy pastor wysoko zawiesił poprzeczkę swym owieczkom: alkohol, hazard i prostytutki nie mają do Garlow wstępu. Pewnej deszczowej nocy pod domem Patricka zjawiają się trzej uzbrojeni jeźdźcy znikąd i wszystko się zmieni. Vis-à-vis kościoła otworzy podwoje saloon, pełniący również funkcje zamtuza i szulerni. Nasz bohater otrzyma zamówienie na „prywatne pogrzeby". Ani się obejrzy, jak zostanie wspólnikiem arcyłotra, który ubiera się na czarno i nigdy nie zdejmuje kapelusza (spoiler: powstrzymuje się też od strzelania kopytkami). John Cusack straciwszy chłopięcą urodę i reputację dyżurnego outsidera Hollywood, zmienił się w aktora poszukującego. Występ w moralitecie, udającym western, to kolejny eksperyment. W pamięci zostaje przede wszystkim błoto, w którym (dosłownie i w przenośni) tonie Garlow.

OSOBOWOŚĆ KAPELUSZA

vod.pl

★★★☆☆☆

REŻ. SAUL DIBB
„KSIĘŻNA" („DUCHESS")
BEST FILM WIELKA BRYTANIA/FRANCJA/USA 2008

wyst. Keira Knightley, Ralph Fiennes, Dominic Cooper

„Księżna" – opowieść o XVIII-wiecznej ikonie stylu i lwicy salonowej – może się podobać amatorom historycznych budowli i efektownych kiecek. Niestety, fabuła, sformatowana w duchu banalnego melodramatu, kuleje. Nastoletnia Georgiana Spencer sądzi, że wychodząc za bogatego lorda Cavendisha, zamieni swe życie w bajkę. William okazuje się jednak gburem traktującym żonę niczym klacz rozpłodową. Zamkniętej w złotej klatce bohaterce pozostają standardowe rozrywki typu hazard, teatr, taniec, flirt i polityka.

Georgiana była brytyjską wersją królowej Marii Antoniny. Wyspy ominął horror rewolucji, więc mogła spokojnie zajmować się modą w przekonaniu, że „suknie i kapelusze wyrażają osobowość kobiety". Keira Knightley jest stworzona do ról kostiumowych, ale Ralph Fiennes trochę się tu marnuje. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „DESTROY ALL HUMANS!"

★★★★☆☆

Rok 1959, na Ziemię w poszukiwaniu DNA, które pozwoli ocalić jego umierającą cywilizację, przybywa Cryptosporidium-137, dla przyjaciół Crypto. Drobny problem polega na tym, że nie da się go pozyskać bez szkody dla Ziemian. Naszemu szaremu protagoniście niespecjalnie to jednak przeszkadza i tak otrzymujemy do rąk kompletny remake gry z PS2, w której w humorystycznym entourage'u zajmujemy się porywaniem krów, niszczeniem amerykańskiej prowincji śmiercionośnym laserem z latającego spodka oraz pozyskiwaniem umysłów niczego nieświadomych ludzi. Udany pastisz konwencji początków SF, ale niestety dosyć szybko się nudzi. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Akcja/TPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Black Forest Games / Koch Media*
- ***PEGI:*** *16+*

eprasa.pl f7da1498f7

Pytał, ostrzegał, tłumaczył...

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Osiemdziesiąt siedem lat przeżył Grzegorz Łatuszyński, w ostatnim czasie walcząc z poważnymi, osłabiającymi go chorobami, by w końcu 27 lipca ulec temu najgroźniejszemu – koronawirusowi. Kilka tygodni wcześniej ten sam wirus pozbawił życia jego żonę, Marylę Siwkowską-Łatuszyńską, z którą razem przez lata prowadzili wydawnictwo Agawa, wydające m.in. Stanisława Rembeka, Zbigniewa i Dawida Bieńkowskich, Jerzego Górzańskiego, Wojciecha Chmielewskiego, Wacława Holewińskiego, ale może przede wszystkim całą długą listę poetów i pisarzy krajów byłej Jugosławii – tłumaczonych na polski przez Grzegorza właśnie, wybitnego znawcę literatury i kultury tego regionu, gdzie zresztą mieszkał przez ponad 10 lat i zawsze, mimo zaawansowanego wieku, z radością tam jeździł. Do swoich przyjaciół: serbskich, chorwackich, bośniackich, macedońskich, słoweńskich…

Urodził się w Zdzięciole, na dzisiejszej Białorusi, tam też chodził do szkoły. W 1946 r. został wysiedlony, tak jak wielu rodaków, do Polski. Maturę zdał w Grudziądzu, następnie – już na resztę swego życia – związał się z Warszawą, gdzie ukończył filologię polską i słowiańską, kontynuując następnie studia slawistyczne na Uniwersytecie w Zagrzebiu. Jakiś czas pracował w ambasadzie polskiej, był też lektorem języka polskiego na Uniwersytecie Belgradzkim. Najbardziej jednak wchłaniał zapachy i smaki Południa, poznawał tamtejszych poetów, najpierw nieśmiało, potem coraz pewniej przyswajając ich utwory polszczyźnie. W efekcie wydał po latach monumentalne antologie poezji serbskiej, chorwackiej i czarnogórskiej, tłumacząc również – znakomicie – poszczególne zbiory wierszy m.in. Andjelka Vuleticia, Vaska Popy, Milosa Crnjanskiego, Desanki Maksimović.

FOT. MICHAŁ DYLUK/FORUM

Oczywiście, dokonywał także przekładów w drugą stronę. Ich zwieńczeniem miała być wielka, dwutomowa, wydana w serbskim Pancevie przez oficynę Mali Nemo, antologia „Stu współczesnych polskich poetów". Zdążył ukazać się tom pierwszy, po którego edycji Dragan Dragojlović, sam świetny poeta, w „Knijzevnych Novinach" stwierdził, że książka ta „będzie czytana i doczytywana, i w swoisty sposób nagrodzi każdego swojego czytelnika". Nagrodzony został też jej autor. Na początku stycznia tego roku Grzegorz Łatuszyński w Ambasadzie Republiki Serbii odebrał przyznany mu przez serbskiego prezydenta Złoty Medal „za nadzwyczajne zasługi w działalności publicznej i kulturalnej". Poprzednio takie odznaczenie polski twórca otrzymał 30 lat temu. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że bardziej był ceniony za granicą niż w Polsce, gdzie przecież dał się poznać nie tylko jako tłumacz, krytyk i edytor, lecz także aktywny działacz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, od roku 2008 do 2011 prezesując Oddziałowi Warszawskiemu SPP.

Głęboko przeżywał zmiany zachodzące i w Polsce, i na Bałkanach, czemu dawał wyraz także w swoich wierszach pomieszczanych w takich tomach jak „Twoja chwila" (2012), „Własną drogą" (2013) czy „Ten żar nie wygasa" (2015). A na przykład w szkicach i wywiadach z „Czarnogórskich Klimatów" (2016) zastanawiał się nad przyszłością Montenegro. Ciekawe, że jego rozmówcy, jak jeden mąż, w wejściu do Europy widzieli same dobrodziejstwa. Autor książki tonował nieco ten, pamiętamy go dobrze i z Polski, entuzjazm, zauważając m.in.: „[…] nie same dobre rzeczy przychodzą z Europy, ale i takie, których byśmy nie chcieli, które są wręcz zagrożeniem dla kultury wysokiej".

„– Czarnogórcy – odpowiadał mu wybitny pisarz i dziennikarz czarnogórski, Ilja Lakusić – są dość konserwatywni, mają swoje wartości i nie gonią za nowinkami. Próbowano tutaj, w Budvie, organizować parady gejowskie, my to nazywamy inaczej, ale się nie udało. Oni je nazywali paradami dumy. A naród to wyśmiał. Bezwstydu nie można przemienić na jakąkolwiek wartość. Nie mieści się to w czarnogórskiej mentalności. To jest drastyczna próba ingerencji w nasze życie, w nasze wartości, w obyczaje.

– To i u nas forsuje się dość siłowo…

– Wy jesteście wielkim krajem. Możecie to przełknąć, ale u nas… mamy tylko 620 tysięcy mieszkańców – to by była katastrofa. To byłaby klęska".

Może i nawet miło było czytać o tym, że jesteśmy wielkim krajem… Tyle że dzisiaj i my czujemy przedsmak podobnej katastrofy. A Grzegorz Łatuszyński, pełen niepokoju, pisał w wierszu: „Poezja była człowiekowi lustrem duszy, / powierniczką i pocieszycielką dyskretną. / Czy w dzisiejszym świecie / jest to już zbędne?". Pocieszał jednak i siebie, i nas, przypominając, że to poezja właśnie „jest duszą narodu". Bardzo chcę wierzyć, że się nie mylił. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Piana złudzeń

W pierwszych klasach podstawówki zwało się to końskimi zalotami. Jedynym sposobem okazywania przez nieokrzesane zwierzątka (którymi są mali chłopcy) zainteresowania płcią przeciwną było ciągnięcie dziewczynek za warkocze albo podstawianie im nóg na korytarzu. Dziewczynki zaś przejawiały swoje zainteresowanie poprzez pokazywanie nam z oddali języka.

Podobnie rozpoczyna się znajomość bohaterów noweli „Gorączka złotych rybek" japońskiej modernistki Kanoko Okamoto (1889–1939), czyli Mataichiego i Masako. Wychowywani w sąsiadujących ze sobą domach przez lata niby mają się ku sobie, ale jednak żyją osobno i nic z tej fascynacji (głównie fascynacji Mataichiego) nie wychodzi. Czekają ich żywoty równoległe, które czasem na krótko się krzyżują. Z biegiem czasu fascynacja zamienia się w miłosną obsesję. Mataichi cierpi katusze, jednocześnie coś go ku Masako przyciąga, ale zarazem odrzuca, śni o niej, marząc o innym życiu, cierpi, widząc, że nigdy się ono nie ziści. Czci boginię swoich snów, pogardza tym, że okazuje się ona nadmiernie zwyczajna, pogardza i sobą za to, że z obsesji wyzwolić się nie może.

Literacką metaforą jego tęsknoty jest zajęcie, któremu się oddaje: hodowla złotych rybek. Nie chodzi przy tym o zwykłe posiadanie i dokarmianie stadka. Mataichi jest hodowcą i naukowcem, który dotknięty zostaje manią wyhodowania idealnej złotej rybki, uosobienia piękna, istoty perfekcyjnej i wyjątkowej. Marzy o tym równie mocno jak o Masako i równie bolesne ponosi porażki. Są chwile, w których doskonale rozumie, dlaczego tak się dzieje: „Wszyscy jesteśmy sfrustrowani i smutni. Pozornie mamy wszystko, ale czegoś ciągle nam brakuje. Nikt nie posiadł wszystkiego, czego pragnie. Wszyscy jesteśmy samotni" – odkrywa bohater. I czuje „przejmujące współczucie wobec siebie i innych".

Marzenie o idealnym związku, perfekcyjnej miłości, najdoskonalszej pod słońcem złotej rybce to oczywiście ułuda, a chwile perfekcji przytrafiają się nam zupełnie nieoczekiwanie, gdy wcale się ich nie spodziewamy (jest i taka lekcja w tej książeczce). Nowela Kanoko Okamoto to literatura wybitna, wyśmienicie pisana i brzmiąca niesłychanie współcześnie, aż trudno uwierzyć, że powstała sto lat temu. Polski czytelnik poznaje ją dzięki zapaleńcom z wydawnictwa Tajfuny, które od niedawna wydaje literaturę japońską. Warto zwrócić uwagę na ich propozycje. ©℗

★★★★★☆

KANOKO OKAMOTO „GORĄCZKA ZŁOTYCH RYBEK" WYDAWNICTWO TAJFUNY 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wznowienie najlepszej spośród późnych powieści autora „Kociej kołyski", edycja w twardej oprawie. Dzieje niedobitków ludzkości po pandemii plus rozważania o ewolucji gatunku i drogach wiodących ku niechybnej zagładzie.

KURT VONNEGUT JR „GALAPAGOS" ZYSK I S-KA

Najnowsza książka wybitnego teologa i biblisty to rozważania o „dziesięciu prostych słowach, od których zależy przyszłość człowieka i społeczeństw". Wykład zilustrowany reprodukcjami wielkich dzieł malarstwa biblijnego.

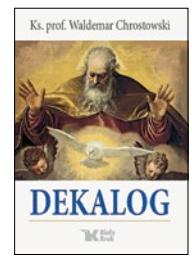

KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI „DEKALOG" BIAŁY KRUK

Krytyka PiS-owskiego rozumu z pozycji wolnorynkowych, przy czym główną część publikacji zajmuje porównanie działań podjętych w celu uwolnienia gospodarki w Nowej Zelandii z zaniechaniami (zdaniem autora) w Polsce.

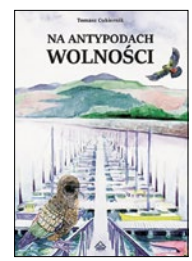

TOMASZ CUKIERNIK „NA ANTYPODACH WOLNOŚCI" WYDAWNICTWO 3DOM

O ryzykownych skutkach kłótni z kotem oraz korzystania z okularów, czyli o tym, jak Zuzanna spotkała Paszczaka, Ryjka i Too-tiki ze świata Muminków. Cudowna klasyka dziecięca z genialnymi ilustracjami autorki. ©℗

poleca Piotr Gociek

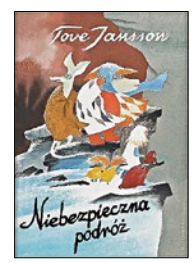

TOVE JANSSON „NIEBEZPIECZNA PODRÓŻ" NASZA KSIĘGARNIA

KOMIKS TYGODNIA: „NIM WSTANIE DZIEŃ"

Powstanie Warszawskie w komiksie. Zbiór krótkich form narysowanych przez Ernesto Gonzalesa do scenariuszy m.in. Grzegorza Janusza i Rafała Skarżyckiego, łączących historyczną refleksję z fantazją, popkulturową lekkość z mocnym przesłaniem. Świetna jest nowelka „Legendy", autorstwa Tomasza Pastuszki, w której w historię powstania wpleciono mitologię warszawską.

AUTORZY RÓŻNI „NIM WSTANIE DZIEŃ" EGMONT 2020

Jeden z komiksów powstał na podstawie teledysku Mariki („Idziemy w noc"), a całość zamyka wiersz Anny Świrszczyńskiej „Ostatnie polskie powstanie". Antologia piękna, smutna i nietuzinkowa. ©℗

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl f7da1498f7

Mela śpiewa Baczyńskiego

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Koncert premierowy z płyty „Astronomia poety. Baczyński" rozpoczął tegoroczne obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Na album składa się 10 kompozycji na podstawie wierszy poety pokolenia Kolumbów, podchorążego AK, żołnierza batalionu „Parasol" Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Za całą koncepcję muzyczną odpowiadają wokalistka Mela Koteluk i Bartek Wąsik, pianista z kwartetu Kwadrofonik. Bartek jest również autorem aranżacji. Teksty także wybierał ten duet. Jak mówią: „Od samego początku przyświecała nam intencja, by pokazać Baczyńskiego jako pacyfistę i mistyka, człowieka zakochanego w życiu. Zdołaliśmy odtworzyć czyste i jasne oblicze Krzysztofa oraz zwrócić uwagę na niezwykłą wrażliwość i uniwersalność jego twórczości. Zdaje się, że jego błyskotliwe spostrzeżenia na temat świata i ludzi wynikały bardziej z wybitnego zmysłu obserwacji i intuicji niż z doświadczenia życiowego, które zostało tak wcześnie przerwane".

„Astronomia poety. Baczyński" to kolejna płyta wydana przez Muzeum Powstania Warszawskiego. Poprzednie to: „Fogg – pieśniarz Warszawy" w wykonaniu zespołu Młynarski-Masecki Jazz Camerata Varsoviensis, „Jestem przestrzeń" Moniki Borzym, „Historie" Andrzeja Smolika, Natalii Grosiak i Miuosha oraz „Placówka '44" w wykonaniu zespołu Voo Voo i jego gości.

A skoro już w atmosferze Powstania i ze słuchawkami na uszach – wydawany przez Instytut Adama Mickiewicza portal culture.pl, we współpracy z MPW, udostępnił w przedrocznicowym tygodniu 10 nowych podcastów po polsku i angielsku opowiadających o niektórych epizodach Powstania Warszawskiego. Idea krótkich nagrań z serii „Unseen Soundwalks" polega na tym, by słuchać ich w lokalizacjach, o których opowiadają – czyli np. w miejscu akcji pod Arsenałem czy pod dawną centralą PKO. Spacer po Warszawie ułatwi aplikacja Echoes, która pokieruje nas do odpowiednich miejsc, ale podcasty są też dostępne na serwisach streamingowych, więc można ich słuchać bez ruszania się z domu. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Australia pozdrawia Afrykę

77-letni Mulatu Astatke jest ojcem ethio-jazzu, wyjątkowej mieszanki popu, nowoczesnego jazzu, tradycyjnej muzyki etiopskiej, latynoskich rytmów, karaibskiego reggae i afro-funku.

Ukończył Berklee College of Music, w 1971 r. nagrywał z Dukiem Ellingtonem, a 18 lat później wydał album „Plays Ethio Jazz", który obecnie na aukcjach kosztuje 150 euro. Prawdziwy renesans jego muzyki nastąpił w tym wieku dzięki filmowi „Broken Flowers" Jima Jarmuscha. Nagrania etiopskiego wibrafonisty samplowali tacy raperzy, jak NAS, Madlib czy Kanye West, a płyty wydały z nim zespoły: amerykański Either/Orchestra i brytyjski The Heliocentrics.

Najnowszy album to wynik współpracy Mulatu z ośmioosobowym kolektywem z Melbourne. To eklektyczna, a zarazem nowocześnie zaaranżowana muzyka. Wyszedłszy od afrykańskich melodii, instrumentaliści przechodzą ku jammowaniu opartemu na jazzowo-funkowych pulsacjach i afrobeatowej rytmice. Rapuje Elf Tranzporter, śpiewa urodzona w Etiopii Enushu Taye, a w poszczególnych utworach można usłyszeć bluesa, soul i reggae. To doskonała muzyka zarówno do tańca, jak i kontemplacji.

Jeśli chodzi o samego Mulatu Astatke, to tym razem skupił się na grze na fortepianie i może dlatego główną rolę na płycie odgrywa Czarny Jezus z Melbourne. ©℗

★★★★★☆

MULATU ASTATKE & THE BLACK JESUS EXPERIENCE
„TO KNOW WITHOUT KNOWING"
AGOGO

★★★★★☆

KAMAAL WILLIAMS
„WU HEN"
WARP

Na drugim albumie klawiszowiec i producent zderza otwartość brytyjskiego nu-jazzu z tradycją ulicznego funku i soul-jazzu. Smyki, harfa, Hancockowskie elektroniczne pulsacje, Coltrane'owski saksofon, żeński wokal i męskie opowieści współgrają ze sobą doskonale.

★★★★☆☆

PRETENDERS
„HATE FOR SALE"
BMG

Chrissie Hynde z Martinem Chambersem, bębniarzem z oryginalnego składu, wskrzeszają stare brzmienie Pretenders. To, co 40 lat temu było objawieniem, dziś jest sympatyczną, nostalgiczną podróżą. Głos Chrissie jest wciąż mocarny, band dudni zacnie, a balladki uwodzą smykami. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

Do kogo trafią środki z Funduszu Trójmorza?

Projekt Trójmorza, w ramach którego współpracować ma ze sobą 12 państw od Bałtyku do Morza Czarnego, to także wielkie inwestycje w infrastrukturę, energetykę czy transport. Ich skala, według raportu firmy analitycznej spot data, może osiągnąć wartość 1,1 bln euro do 2030 r. Rodzi się zatem ważne pytanie: Do kogo trafią te środki?

Piotr Hofman, prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Finansowaniem przedsięwzięć objętych tą geopolityczną inicjatywą zająć ma się m.in. specjalnie powstały do tego celu Fundusz Inwestycyjny Inicjatywy Trójmorza (FIIT), powołany wspólnie przez polski Bank Gospodarstwa Krajowego i rumuński Exim Bank. Do funduszu dołączyć mają także Węgry, Łotwa i Estonia. Celem jest przeznaczenie 5 mld euro na inwestycje o łącznej wartości nawet 15 mld euro. Obecnie FIIT zbiera projekty, w których współfinansowanie może się włączyć.

Warto w tym kontekście zastanowić się nie tylko nad tym, jak z powodzeniem zrealizować planowane inwestycje, lecz także kto będzie je realizował. To zasadnicza sprawa, bo celem wielkich inwestycji nie powinna być jedynie budowa tych czy innych obiektów, ale także wysłanie impulsu do gospodarki mającego napędzać jej stabilny rozwój. A to osiąga się m.in. przez stworzenie odpowiednich warunków do rozwoju przedsiębiorstw. Przy tym nie jest bez znaczenia, jakie to będą przedsiębiorstwa. Ważne, aby były to firmy z wiodącą rolą narodowego kapitału. Czyli w przypadku Polski – aby był to nasz polski kapitał. W przeciwnym wypadku wydatkowane środki znowu trafią do zagranicznych podmiotów, jeszcze bardziej napychając ich portfele.

Stąd odpowiedzialni za realizację inwestycji Trójmorza powinni podjąć wysiłek i zastanowić się nad tą kwestią. W ślad za tymi przemyśleniami pójść zaś muszą konkretne działania. Należy myśleć o tym w kategoriach strategicznych, w związku z tym w sprawę zaangażować się powinno państwo ze swoimi zasobami i regulacjami. Jeśli polski przemysł, budownictwo czy logistyka mają być beneficjentami działań inicjatywy Trójmorza, to muszą być głównymi wykonawcami planowanych projektów. Jeśli tak się nie stanie, wówczas stracimy kolejną szansę na wylanie trwałych i stabilnych fundamentów pod długookresowy wzrost naszej gospodarki.

Warto przypomnieć, że nie mamy najlepszych doświadczeń, jeśli chodzi o wydatkowanie środków z funduszy unijnych. Co prawda powstały długie drogi i piękne mosty, ale nie udało się nam stworzyć silnego sektora np. polskich firm budowlanych. Klapą pod tym względem było także Euro 2012, dzięki któremu nasza budowlanka miała wskoczyć na wyższy level. Efektem były zaś załamanie w sektorze i trwające latami procesy o wypłatę zaległych środków. Nie można dopuść do powtórki tej sytuacji. Stąd mój apel o to, aby do inwestycji w ramach Trójmorza przygotować się holistycznie. Tak aby wydatkowane pieniądze płynęły do naszej gospodarki i budowały polski kapitał narodowy. Ten zaś akumulowany jest głównie w firmach małych i średnich. To one powinny być głównymi beneficjentami szykowanych projektów.

Doświadczenia takich krajów jak Hiszpania pokazują, że jest to możliwe. Mamy zatem kolejną szansę, której już nie możemy zmarnować. Czy ją wykorzystamy? To zależy od polskich władz i instytucji, które będą finansować planowane inwestycje. Tutaj potrzebna jest dobrze przygotowana strategia działania, której głównym wątkiem będzie rozwój nie tylko infrastruktury, lecz także silnych i konkurencyjnych polskich przedsiębiorstw z rodzimym kapitałem. Zanim ruszą koparki, koniecznie trzeba mieć na to pomysł i zacząć go realizować. Oby tak się właśnie stało!

Autor jest prezesem Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl.

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl f7da1498f7

Fałszywa epidemia

Mariusz Błochowiak

Nie ma epidemii ani pandemii koronawirusa. Ani w Polsce, ani w żadnym innym kraju – przekonuje część naukowców

Chociaż niektóre rejony świata mają większe problemy niż inne w sprawie COVID-19, nie wynika to z większej śmiertelności koronawirusa jako takiego, ale z dodatkowych czynników, „podłoża", na które natrafia wirus, np. dużej liczby zakażeń szpitalnych, złego stanu służby zdrowia, paniki, struktury wiekowej społeczeństwa, stanu zdrowia populacji itp. Poza tym dochodzi do fałszowania (zawyżania) statystyk poprzez przypisywanie zgonów z powodu koronawirusa, jeśli test był pozytywny. A testy są zupełnie niewiarygodne, bo nie jest zwalidowane (sprawdzone naukowo), co rzeczywiście badają.

Myślę, że ta kwestia stanie się jasna po lekturze chyba pierwszej, merytorycznej, opierającej się na danych naukowych książki na polskim rynku „Fałszywa pandemia. Krytyka naukowców i lekarzy". Zdaję sobie sprawę, że teza o braku pandemii może brzmieć dla niektórych zupełnie niewiarygodnie i rodzić dysonans poznawczy, ale każdy powinien zadać sobie pytanie, czy wierzy niezależnym i odważnym naukowcom, pomiędzy którymi są również światowej klasy specjaliści, i przedstawianym przez nich publikowanym danym naukowym, czy rządowi, politykom i ich anonimowym „ekspertom".

FAŁSZYWA EPIDEMIA ŚWIŃSKIEJ GRYPY

Tak zwana pandemia koronawirusa to jeden wielki przekręt, który zresztą już widzieliśmy mniej więcej dekadę temu podczas tzw. świńskiej grypy, kiedy to WHO ogłosiła pandemię szóstego stopnia. Była to skandaliczna decyzja z uwagi na brak rzeczywistego zagrożenia. Jakiś czas później wyszło na jaw, że była to jedna „z najłagodniejszych fal grypy w historii" (dr med. Wolfgang Wodarg).

Powołano wówczas komisję śledczą przy Radzie Europy, której przewodniczącym został lekarz i polityk Wolfgang Wodarg. Jak ustalono podczas śledztwa, pod wpływem skorumpowanych uczonych zmieniono wówczas definicję pandemii. Tak relacjonuje to dr Wodarg: „Niezliczeni

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. ADOBE STOCK, OPRAC. GRAF. JAN

profesorowie zasiadający w tych gremiach, reprezentujący sprzeczne interesy, po prostu zmienili definicję pandemii. Wcześniej pandemią nazywano zaraźliwą chorobę z wysoką liczbą zgonów, a tu nagle do jej stwierdzenia wystarczy już tylko fakt, że wirus rozprzestrzenia się po całym świecie. A przecież to, przy naszej dzisiejszej globalnej mobilności, dzieje się każdego roku".

Ponadto rządy niektórych państw zawarły porozumienia z firmami farmaceutycznymi, że jeśli WHO ogłosi pandemię szóstego stopnia, wówczas będą one zobowiązane do zakupu m.in. ich szczepionek. Dziwnym trafem presja na szczepienia wywierana jest również w przypadku SARS-CoV-2.

ŚMIERTELNOŚĆ NA POZIOMIE GRYPY

Śmiertelność danego wirusa określa się jako stosunek liczby zgonów do liczby wszystkich zakażonych tym wirusem. Z badań naukowych wynika, że śmiertelność wirusa SARS-CoV-2 utrzymuje się na poziomie grypy sezonowej i to wcale nie tej najgorszej, z którą mieliśmy do czynienia np. w 2018 r. Śmiertelność SARS-CoV-2 sytuuje się na poziomie 0,02–0,4 proc. (prof. med. John Ioannidis). Dla zobrazowania sytuacji posłużę się niemieckimi statystykami.

Śmiertelność w normalnym sezonie grypowym w Niemczech utrzymuje się na poziomie 0,1–0,2 proc. Jednak czasami występują cięższe fale grypy. I tak w sezonie 1995/1996 w Niemczech z powodu grypy zmarło ponad 30 tys. ludzi, natomiast w sezonach 2002/2003 i 2004/2005 było 15 tys. zgonów z tego powodu. Nie tak dawno, bo w sezonie 2017/2018, zmarło tam ok. 25 tys. ludzi na grypę, co oznacza śmiertelność „znacznie wyższą niż 1 proc.!" (prof. med. Sucharit Bhakdi). Pomimo daleko większej śmiertelności w tamtym sezonie w porównaniu z SARS-CoV-2 nie wprowadzono żadnych obostrzeń i media też się tym tematem nie interesowały.

„Epidemii" SARS-CoV-2 przypisuje się w Niemczech „jedynie" ok. 9 tys. zgonów, co jest najprawdopodobniej przeszacowane z uwagi na to, że śmierć „z powodu" koronawirusa klasyfikuje się często nieprawidłowo, fałszując tym samym dane, osobom, które miały jedną poważną chorobę czy nawet kilka mogących być rzeczywistą przyczyną zgonu.

W Polsce w 2020 r. fala okresowych zgonów przypadających na sezon zimowy była mniejsza niż w latach 2018–2019. Rok 2018 przyniósł znacznie więcej zgonów niż lata następne, a zgony z przypisanym SARS-CoV-2 są statystycznie niezauważalne (Paweł Klimczewski).

BADANIA IGNOROWANE

Można życzliwie założyć, że polski rząd ze swoimi „ekspertami" wystraszył się na początku i uznał, że możemy mieć do czynienia z prawdziwą pandemią. Dmuchając na zimne, wprowadził obostrzenia. Pierwsze restrykcje pojawiły się w naszym kraju 12 marca, a 24 marca wprowadzono stan epidemii i masową kwarantannę.

Tymczasem już 19 marca pojawiły się francuskie badania naukowe o znamiennym tytule „SARS-CoV-2: fear versus data" („SARS-CoV-2: strach kontra dane"), w których badano dwie grupy pacjentów chorych na drogi oddechowe pod kątem obecności czterech zwykłych koronawirusów w porównaniu z SARS-CoV-2. Nie rozróżniano, czy ktoś umarł z powodu któregoś z koronawirusów, czy stwierdzono jedynie jego obecność (co oznacza, że nie był przyczyną śmierci). Uczeni doszli do wniosku, że nie było żadnej znaczącej różnicy w obu grupach, jeśli chodzi o liczbę zmarłych. A zatem nie miało znaczenia, czy ktoś miał normalnego koronawirusa, którym do tej pory nikt się nie interesował, czy nowego „medialnego" wirusa SARS-CoV-2. Żadne późniejsze badanie nie zaprzeczyło tym wynikom.

Czy rządowi „eksperci" nie wiedzieli o tych badaniach? Czy może wiedzieli, ale dla swoich celów rząd postanowił nadal udawać, że mamy do czynienia z bardzo groźnym wirusem, i trzymać ludzi w nieświadomości, powodując jako skutki uboczne obostrzeń straty na zdrowiu, życiu oraz straty gospodarcze?

Tymczasem 17 kwietnia pojawiła się kolejna publikacja epidemiologa prof. Johna Ioannidisa, która miała na celu oszacowanie liczby osób zainfekowanych SARS-CoV-2 w hrabstwie Santa Clara w USA i na tej podstawie wyznaczenie śmiertelności tego wirusa. Okazało się, że jest ona na poziomie grypy sezonowej.

19 maja pojawiła się kolejna publikacja naukowa tego samego autora, w której przeanalizował aż 12 badań (co oznacza, że ustawicznie pojawiały się nowe, kluczowe publikacje naukowe) pod kątem określenia śmiertelności SARS-CoV-2, która okazała się sytuować w przedziale 0,02–0,4 proc., czyli na poziomie grypy sezonowej.

Kolejne badania potwierdzały uzyskane wcześniej wyniki. Jednak nasz rząd i jego „eksperci" nic sobie z tego nie robili i do dziś udają, że mamy do czynienia z groźnym wirusem, traktując ludzi jak swoją własność, z którą można robić, co się chce, według własnego widzimisię. Zupełnie idiotyczny i niepoparty naukowo jako mający zmniejszyć rozprzestrzenianie się wirusa jest nakaz noszenia masek przez całe społeczeństwo.

W niemieckim biuletynie epidemiologicznym nr 17 opublikowanym przez Instytut Roberta Kocha 15 kwietnia przedstawiono, jak zmienia się w czasie tzw. bazowa liczba reprodukcyjna dla Niemiec.

Jest ona miarą tego, jak rozwija się epidemia, a dokładniej ile osób średnio zakaża jedna osoba. Jeśli epidemia wygasa, to wartość tej liczby spada poniżej 1.

eprasa.pl f7da1498f7

W okolicy 23 marca liczba ta spadła do tej właśnie wartości, czyli był to koniec lub początek końca „wielkiej epidemii".

Przypominam, że w Polsce 24 marca wprowadzono stan epidemiologiczny i masową kwarantannę, a później narzucono noszenie masek oraz zakaz wychodzenia nawet do lasu (akurat w Niemczech zalecano w tym czasie spacery po lesie) i różne inne formy utrudniające ludziom codzienne życie.

Tymczasem było już po epidemii. Wszystkie te środki, cały ten lockdown nie miał najmniejszego sensu, bo już było za późno (on oczywiście i tak nie miał sensu, podobnie jak nie ma sensu w przypadku grypy). Niszczenie zdrowia, życia i gospodarki miało miejsce już po epidemii. W Niemczech lockdown został wprowadzony 23 marca, ale nie zmieniło to wartości liczby reprodukcyjnej, co oznacza, że masowa kwarantanna nic nie dała. Ludzie byli pozamykani w domach na próżno, a gospodarka dewastowana zupełnie na darmo.

Nawet gdyby założyć, że szczyt „epidemii" w Polsce nastąpił od jednego tygodnia do dwóch później niż w Niemczech, to i tak „epidemia" zaczynała mieć tendencję spadkową. Jak wspomniałem, biuletyn opublikowano 15 kwietnia, więc wówczas już na pewno bazowa liczba reprodukcyjna w Polsce miała wartość 1 lub znacznie poniżej 1 i wszelkie obostrzenia straciły rację bytu. Jednak rząd i jego „eksperci" nadal szli w zaparte, rujnując ludziom życie.

Wobec tego wszystkiego rodzi się pytanie, dlaczego, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, naukowcy i lekarze w Polsce nie zabierają zdecydowanie głosu w tej sprawie? W Niemczech, gdzie dość dokładnie obserwuję tę sytuację, głośno, zdecydowanie i medialnie protestuje, jak myślę, kilkudziesięciu naukowców i lekarzy. Z własnej inicjatywy nagrywają filmy wideo i umieszczają je na platformie na YouTube, a ich oglądalność sięga nawet milionów wyświetleń. Wygłaszają również przemówienia na coraz bardziej licznych demonstracjach obywateli, którzy protestują przeciwko bezsensownym rządowym obostrzeniom.

Na tym tle Polska jawi się jako niepoważny kraj, w którym politycy mają pełną kontrolę nad całkowicie zdezorientowanymi i zmanipulowanymi obywatelami. Niestety pranie mózgów prowadzą nie tylko media mainstreamowe, lecz także w przytłaczającej większości katolickie i tzw. prawicowe. Powtarzają, chyba nic nie rozumiejąc, mainstreamowy bełkot. Poza tym kto płaci, ten wymaga, a kto oczekuje rządowych pieniędzy, ten musi się odpowiednio wykazywać. Niestety, odbywa się to kosztem konkretnych ludzi i społeczeństwa jako całości.

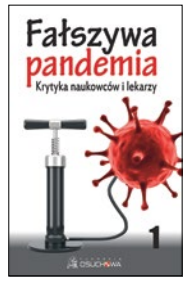

„FAŁSZYWA PANDEMIA. KRYTYKA NAUKOWCÓW I LEKARZY"
PRACA ZBIOROWA, FUNDACJA OSUCHOWA 2020

W Polsce nie ma ani nie było żadnej merytorycznej debaty na temat sytuacji związanej z koronawirusem. Wprost przeciwnie, Ministerstwo Zdrowia knebluje usta lekarzom, zakazując wypowiadania się na ten temat, co należy uznać za skandal, bo są to osoby, które mają obowiązek mówić dla dobra współobywateli.

Naukowcy i lekarze, poza nielicznymi wyjątkami i w przeciwieństwie do swoich kolegów choćby z Niemiec, zawiedli. W tym miejscu warto przypomnieć, że są oni opłacani z pieniędzy podatników, a nie polityków, i dlatego winni są prawdę swoim rodakom.

„Epidemia" pokazała, że również szeroko rozumiane elity intelektualne w Polsce zawiodły, milcząc w obliczu rządowej i medialnej propagandy z jednej strony z uwagi na różnorakie korzyści, a z drugiej również dlatego, że nie posiadają umiejętności statystycznego i naukowego myślenia na podstawowym poziomie.

Profesor Stefan Hockertz, naukowiec, immunolog i toksykolog, były dyrektor i profesor Instytutu Eksperymentalnej i Klinicznej Toksykologii na Uniwersytecie Medycznym w Hamburg-Eppendorf, próbuje wyjaśnić fenomen milczenia elit: „Głoszenie apokalipsy jest obecnie głównym tematem mainstreamu. Młodzi naukowcy dobrze robią, że nie komentują tej sytuacji, ponieważ to zagraża ich karierze. Taki jest nasz system naukowy [niemiecki – przyp. tłum.], a także system w medycynie, który jest bardzo zhierarchizowany i gdzie powinno się być bardzo ostrożnym, wyrażając odmienne zdanie. Wielu naukowców na uniwersytetach może martwić się o fundusze na badania, jeśli nie będą teraz »powtarzać« tej samej piosenki, którą się teraz głośno śpiewa na świecie". Na pytanie, czego życzyłby sobie od innych kolegów i innych naukowców, prof. Stefan Hockertz odpowiada: „Życzyłbym sobie tego, co mówią mi w osobistych rozmowach: »To, co się tutaj dzieje, jest całkowicie wyolbrzymione«. Nie możemy tego zrozumieć. Powodujemy tym znacznie większe szkody uboczne, niż chronimy ludność (stosując lockdown). Nigdy nie spotkałem się z tym, żeby ktoś powiedział, że to wszystko jest w porządku, co się teraz wyprawia. Nigdy nie słyszałem żadnej innej opinii – ani toksykologów, ani w rozmowach z immunologami, z lekarzami. Ciągle słyszę, że środki, takie jak zakaz wychodzenia z domu, idą zdecydowanie za daleko i nie mają nic wspólnego z rozsądną oceną ryzyka. Nie mamy już możliwości zgromadzeń. Nie możemy się swobodnie poruszać. Unieważniamy konstytucję prawem niższego rzędu – ustawą o ochronie przed zakażeniem".

Natomiast wspomniany dr Wodarg dostrzega wiele przyczyn milczenia naukowców i lekarzy: „Przypomina mi to bajkę o królu, który nie miał na sobie ubrania i jedynie małe dziecko zawołało: »Król jest nagi!«. Pozostali, ci dworacy kręcący się wokół rządu, wraz z tymi, których rząd pyta o radę, bo sam przecież nie może mieć o tym pojęcia, to nie są specjaliści. Oni w tym wszystkim współdziałają, podlizując się władzy. Teraz także wielu naukowców nadskakuje politykom. Naukowcy chcą uchodzić dla polityków za ważnych, gdyż potrzebują pieniędzy dla swoich instytutów. Naukowcy, którzy płyną z głównym nurtem, też chcą coś z tego mieć. »My też możemy pomóc, mamy to czy tamto, mamy aplikację, posiadamy program do przetwarzania danych, możemy zrobić to czy tamto…« – zapewniają. Jest też bardzo wielu, którzy deklarują: »My też chcemy pomóc«. Znaczy to, że pragną zarobić dzięki temu, zostać zauważonymi. W gruncie rzeczy brakuje nam tego skromnego podejścia, by po prostu zapytać: »Po czym rozpoznaliście, że to jest niebezpieczne? Jak to wyglądało przedtem? Czy nie mieliśmy tego już w ubiegłym roku? I czy to w ogóle jest coś nowego?«. Tak, brakuje tych pytań i, zaiste, król jest nagi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem fizyki, pracował naukowo w Instytucie Maxa Plancka w Moguncji oraz instytucie badawczym SINTEF w Oslo.

eprasa.pl f7da1498f7

Piękno i moc jadą w parze

SIMPLY SAFELY FOR LESS

rentis
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl f7da1498f7

Krzysztof Masłoń

Indeks lektur

Świat idzie do przodu, a nasze lektury zatrzymały się na przełomie XIX i XX w. Dość gloryfikowania Polski szlacheckiej, imperialistycznej i rasistowskiej!

Niedawno polonistka z Sochaczewa nazwiskiem Fiołek, wstrząśnięta do głębi zabójstwem czarnoskórego George'a Floyda w Minneapolis, zażądała usunięcia z lektur w polskich szkołach „W pustyni i w puszczy" Henryka Sienkiewicza. Nie sprecyzowała wprawdzie, co jedno z drugim ma wspólnego, jednak wpisała się w ogólnoświatowy ruch przewartościowania przeszłości, obalania pomników i wyrzucania na śmietnik historii książek fałszywych, zgubnych dla edukacji i wychowania młodych pokoleń. Takich pozycji w literaturze polskiej, i to pozycji uznawanych za klasyczne, mamy – niestety – więcej. Jak wiadomo, zarażają one nietolerancyjnością, propagowaniem wyzysku klas uciskanych, czyli mówiąc wprost – niewolnictwa, rasizmem, najczęściej zaś w piśmiennictwie naszym jakże rozpowszechnionym, a datującym się od „Postylli" Mikołaja Reja – antysemityzmem.

Tę z konieczności skróconą listę utworów, które powinny trafić do indeksu ksiąg zakazanych, zacząć można od Zygmunta Krasińskiego i jego „Nie-Boskiej komedii". Dość przypomnieć sobie słowa Przechrzty z tego dramatu: „Bracia moi podli, bracia moi mściwi, bracia kochani, ssijmy karty Talmudu jako pierś mleczną, pierś żywotną, z której

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl

szkodliwych

siła i miód płynie dla nas, dla nich gorycz i trucizna".

A Chór Przechrztów dopowiada: „Jehowa pan nasz, a nikt inny. – On nas porozrzucał wszędzie. On nami, gdyby splotami niezmiernej gadziny, oplótł świat czcicielów Krzyża, panów naszych, tłumnych, głupich, niepiśmiennych. – Po trzykroć pluńmy na zgubę im – po trzykroć przekleństwo im". I zaraz dorzuca, by nie było wątpliwości: „Wolność ludzi prawo nasze – dobro ludu cel nasz – uwierzyli synowie chrześcijan w synów Kajfasza – Przed wiekami wroga umęczyli ojcowie nasi – my go na nowo dziś umęczym i nie zmartwychwstanie więcej".

Mimo wszystkich rewolucji wszczynanych, oczywiście, w imię wolności ten przeklęty Krzyż „wróg nasz podcięty, zbutwiały" – jak powiada Przechrzta, co i raz wtrącający do swoich kwestii „aj waj" – wciąż nie daje o sobie zapomnieć i ciągle gromadzi wokół siebie tych wszystkich „tłumnych, głupich, niepiśmiennych". No, ręce opadają, ale naprawdę nie ma powodu, by antysemicki pamflet Krasińskiego, hrabiego zresztą, czytały kolejne pokolenia otumanianych młodych Lechitów, którym wmawia się w szkołach, że to arcydzieło. Ba, były czasy, że autora tej, rzeczywiście nie-boskiej, „Komedii" nazywano wieszczem. Trzecim wprawdzie, ale zawsze. Wstyd.

GETTO ŻEROMSKIEGO

Hołubi też polska szkoła innego głosiciela poglądów antysemickich – Stefana Żeromskiego. Sporządzony przez niego w osławionym „Przedwiośniu" opis dzielnicy żydowskiej w Warszawie woła o pomstę do nieba. Przecież to miasto nazywane było ponoć Paryżem Północy, a jego wielokulturowość, do której tak dziś tęskno postępowej części społeczeństwa polskiego, stanowiła ozdobę warszawskiej stołeczności. Tymczasem Stefan Żeromski, niedoszły laureat Nagrody Nobla, do czego na szczęście nie dopuścili niemieccy strażnicy europejskiego ładu, tak widział to – używał, niestety, tego określenia – getto:

„Ulice te mają wygląd srogo niepowabny. Kamienice wzniesione przez

f7da1498f7

Żydów i do nich należące mają cechę wielkomiejskiej tandety, bezwstydnej ordynarności i haniebnej brzydoty. Wojna odarła je z olejnych lub klejowych pomalowań. Malowanie na olejno poskręcało się w rurki i zwoje i wygląda na powierzchni tych domów jak niechlujne pejsy na niechlujnym Izraelicie. Wnętrza domów, podwórza są odarte nie tylko z olejnej czy klejowej powłoki, lecz obłupione z tynku, który kawałami i płatami poodpadał. Świeci nagi ceglany mur, lecz i on jest oślizgły od brudu, pełen wyrw, plam, zmaz, zacieków i wstrętnych zapaprań, które nikogo z mieszkańców nie rażą. Jakże potworne są tam kloaki, śmietniki, ścieki, zlewy, rynsztoki i same bruki! Większość dziedzińców jest ciemna, poprzegradzana, zastawiona, pełna pak, odpadków, rumowia i rupiecia, strzępów i gałganów. Nieopisana jest melancholia tych dziedzińców, głuchy jest smutek okien wiecznie patrzących w smrodliwe i obmierzłe zaułki, w odarte i pozaciekane mury, w sienie i piwnice wyziewające zgniliznę".

Czyżby tak było naprawdę? To o co chodzi potencjalnym beneficjentom słynnej już ustawy 447? O cały ten syf? Ale czytajmy dalej ten tekst, nie z „Der Stürmera" rodem, a z powieści wybranej przez Prezydenta RP i Jego Małżonkę do Narodowego Czytania. I to kiedy! Dwa lata temu, w 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości! Ten straszny Żeromski opisywał w niej typy „nie znane nigdzie na kuli ziemskiej, w łachmanach tak wyświechtanych, iż składały się jakby z zeskorupiałej pozłoty tłuszczu – łazili na wpół nadzy przekupnie, a na wpół nadzy żebracy w tej rzece ludzkiej stali na uboczu i pochylali się monotonnym gestem, jak badyle bezsilne na polu, zaklinając o datek w imię Boga. Całe to zbiegowisko sprawiało wrażenie soboru potępieńców opętanych od diabła, o coś twarzą w twarz zaciekle walczących".

„Był tam nadmiar – czytamy dalej – nędzarzy-łachmaniarzy, który zużywał ruchliwość przyrodzoną rasy żydowskiej na oszukiwanie się wzajemne, na pracowitą kłótnię o ochłapy jadła, o śledzie, o skrawki mięsa, a nic, literalnie nic nie czynił dla zarobku godziwego, stałego i dobrze płatnego w fabrykach i warsztatach. Wielu, oczywiście, pracowało w tych ulicach nad siły jako tragarze, woźnice, pomocnicy, subiekci, i ci mieli nawet zewnętrzny wyraz inny, normalny, ludzki. Przeciętny jednak typ – to była karykatura ludzkiej postaci. Zgarbieni, pokrzywieni, obrośli, brodaci, niechlujni, śmieszni bezgranicznie w swych płytkich czapeczkach i długich, brudnych chałatach do pięt, wałęsali się i zalewali ulice, brodzili, wchodzili i wychodzili, gadali, kłócili się, nic właściwie nie robiąc". Aż bohater całego tego skandalicznego „Przedwiośnia" – Cezary Baryka – „przyszedł do przeświadczenia ogólnego, iż Żydzi, zamieszkujący dzielnicę, w której mu przebywać wypadło, są zbiorowiskiem ruchliwych i gadatliwych próżniaków".

W innym miejscu „Lalki" z ust tego samego Szumana dowiadujemy się, że Żydzi „to genialna rasa, ale podłe charaktery"

BLAGA, SZACHERKA I TANDETA

Za najwybitniejszą powieść polską wszech czasów uchodzi, prawem kaduka, „Lalka" Bolesława Prusa. I to bezprzykładnie antysemickie dzieło propagował – poprzez Narodowe Czytanie – Prezydent Duda wraz z Małżonką. „Lalkę" obrabia się zresztą od lat na wszelkie możliwe strony na egzaminach maturalnych, dwukrotnie ją sfilmowano, a literaturoznawcy udają, że nie dostrzegają jej antyżydowskości. I pomyśleć, że autora nazwano „Sercem serc"!

A kto pisał, że „Żydzi wszystkich trzymają za łeb", że nawet „ci, którzy niedawno podziwiali ich pracę, wytrwałość i zdolności, dziś widzą tylko wyzysk i szachrajstwo", że „tak nas duszą, tak nas ze wszystkich miejsc wysadzają, tak nas wykupują, że trudno poradzić z nimi. Już my ich nie przeszachrujemy, to darmo, ale jak przyjdzie na gołe łby i pięści, zobaczymy, kto kogo przetrzyma". Nie kto inny jak Wokulski, którego bliska znajomość z młodym Szlangbaumem dowodzić ma jego rzekomego filosemityzmu, mądrzy się tak oto: „[…] mamy dziś Żydów: wytrwałych, cierpliwych, podstępnych, solidarnych, sprytnych i po mistrzowsku władających jedyną bronią, jaka im pozostała – pieniędzmi. Tępiąc wszystko, co lepsze, zrobiliśmy dobór sztuczny i wypielęgnowaliśmy najgorszych". Cóż dopiero powiedzieć o starym pierdole Rzeckim czy jawnym antysemicie, subiekcie Lisieckim, któremu w sklepie, gdzie zatrudniono właśnie przedstawiciela narodu wybranego, zalatywać zaczyna czosnkiem i cebulą! W tej arcypolskiej ponoć powieści nawet Żydzi mówią o innych Żydach, że to parchy, łagodząc wprawdzie tę kategoryczną opinię, jak doktor Szuman: „… oni są parchy. Ale ich system jest wielki: on triumfuje, kiedy wasz bankrutuje". W innym miejscu „Lalki" z ust tego samego Szumana dowiadujemy się, że Żydzi „to genialna rasa, ale podłe charaktery". A Rzecki wyrokuje, że u Żydów „wszystko stoi na bladze, szacherce i tandecie".

A w szkołach furt, na okrągło – jak w piosence Jacka Kaczmarskiego: „Rzeckiemu śni się Bonaparte, Wokulski kocha Izabelę". A najważniejszy jest inny wers tego songu, o tym, że „Szlangbaum szlacheckie weksle liczy". Bez dwóch zdań, Kaczmarskiego też należy wyrugować ze szkół – razem z Prusem – nie zważając na jego pochodzenie. Władze miasta Warszawy pokazały już, że to nie takie trudne, odbierając bardowi Solidarności ulicę (obok Polskiego Radia) i przywracając jej dawnego patrona – Zygmunta Modzelewskiego, komunistę i stalinowskiego aparatczyka, ojczyma Karola Modzelewskiego. Tej jakże słusznej decyzji towarzyszyła druga, o powrocie ulicy Lecha Kaczyńskiego do budzącego jakże żywe uczucia patriotyczne miana: Armii Ludowej.

ZAKŁAMYWANIE HISTORII

Nawiasem mówiąc, co warto zadedykować wszystkim młodym, wykształconym i z wielkich ośrodków, obrzydliwego epitetu „parch" nie wymyślił oszalały „prawicowy ekstremista" Rafał A. Ziemkiewicz, bo w swoich dziełach używał go bez umiaru i Bolesław Prus, i – niestety – nagrodzony Noblem – Bóg raczy wiedzieć dlaczego – Władysław St. Reymont, którego „Chłopów" polska szkoła także kultywuje na listach lektur. A w powieści tej Żydów wyzywa się i od „parchów", i od „żółtków". W Lipcach, gdzie toczy się akcja utworu, na „żółtków niechrzczonych" pomstuje niemal całe tamtejsze chłopstwo, cóż z tego, że ciemne. Tylko dla urozmaicenia któryś z gospodarzy nazwie czasem Żyda „kobylim synem".

eprasa.pl f7da1498f7

„Żółtki" mogą nieco dziwić, gdyż od lat kojarzą nam się raczej z Azjatami, tak właśnie pogardliwie nazywanymi przez Amerykanów w czasach, gdy Stany Zjednoczone wojowały a to z Japonią, to znów z Koreą czy Wietnamem. Działo się to jednak w epoce wybitnie niepoprawnej politycznie, kiedy jeszcze czarnoskórych Afroamerykanów znano jako Negrów. Nam również pozostały relikty z przeszłości w postaci choćby rymowanej historyjki dla dzieci o Murzynku Bambo, który to wdzięczny, ale absolutnie nie do przyjęcia wierszyk spłynął spod pióra Juliana Tuwima.

A co z fatalnym Sienkiewiczem, którego „W pustyni i w puszczy" ze swoim wątkiem Kalego zdaniem, jak się zdaje nie tylko Katarzyny Fiołek, zasługuje na miano powieści rasistowskiej? Naturalnie historia Stasia i Nel trafi niebawem na przemiał. Ale co począć z „Trylogią", w której zaczytywały się pokolenia Polaków, a jest ona wybitnie szkodliwa, zakłamująca historię, w złym świetle bowiem przedstawiająca masy chłopskie (czytaj: niewolników) i ciemiężonych przez panów Kozaków (czytaj: Ukraińców)? Jeśli chodzi o Żydów, to oni akurat odgrywają tu role znikome. W „Ogniem i mieczem" Zagłoba, naturalnie, zwraca się do karczmarza per „parchu", a w „Potopie" marzy o tym, jak to byłoby pięknie, gdyby Rzędzian został podskarbim i „żydowinów podatkami cisnął", ale to epizody. Doktor Alina Cała z Żydowskiego Instytutu Historycznego, pisząc o „Postaci Żyda w literaturze polskiej", stwierdziła wręcz, że „autor »Trylogii« nie przedstawił ani jednej postaci żydowskiej"; „widać nie uznał ich na tyle godnych – konkluduje – by włączyć w heroiczne dzieje dawnej Polski". To prawda, rodzi się jednak kolejne pytanie. Czy lepiej byłoby dla Sienkiewicza, gdyby takie postaci do swoich utworów wprowadził i pisał o nich niekoniecznie w superlatywach, co raczej pewne, czy też by pominął je milczeniem? Wygląda na to, że tak czy inaczej, postąpiłby źle, zresztą na tego powieściopisarza surowy wyrok ponowoczesności już zapadł.

SZLOCH PO SIENKIEWICZU

Nie miała Rzeczpospolita kolonii, kolonizowała jednak – jak nauczają teoretycy postkolonializmu z łamów „Gazety Wyborczej" – mniejszości, gnębiła chłopstwo, w pogardzie mając Żydów. Z tych wszystkich grzechów ciężkich literatura polska, jak dotąd, się nie wyspowiadała. Pokładamy jednak nadzieję w najwybitniejszych autorach obecnej doby z laureatką Nagrody Nobla Olgą Tokarczuk na czele. Bez wątpienia jej „Księgi Jakubowe" z jakimże polotem i jak pięknie obrazujące kluczowe dla złożonych dziejów naszych zagadnienie frankistów, XVIII-wiecznej żydowskiej grupy religijnej, heretyckiej wobec judaizmu, zajmie w kanonie literatury polskiej poczesne miejsce przed tymi wszystkimi Sienkiewiczami, Prusami, Żeromskimi i Reymontami. A historia Jakuba Franka i jego zwolenników jest o tyle jeszcze istotna, że zdaniem takich autorytetów jak prof. Jadwiga Mauer to z frankistów wywodziła się Barbara z Majewskich, matka największego polskiego poety, Adama Mickiewicza. A ten ostatni, jako żywo, w literackim kanonie pozostać musi, przede wszystkim jako twórca „Składu zasad" z jego postulatem najważniejszym: „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu. Równe we wszystkim prawo" i, rzecz jasna, jako autor narodowej epopei „Pan Tadeusz" z wzorowo zaprezentowaną postacią cymbalisty Jankiela. Choć żeby nie było za pięknie, to lekcje specjalne poświęcone na wyjaśnienie wersu o „dziecku przez Żydów kłutym igiełkami" winny być przeprowadzane w liceach jako obowiązkowe.

Nie miała Rzeczpospolita kolonii, kolonizowała jednak – jak nauczają teoretycy postkolonializmu z łamów „Gazety Wyborczej" – mniejszości, gnębiła chłopstwo, w pogardzie mając Żydów

Nie zapominajmy również o możliwości skorzystania w edukacji szkolnej z utworów tak zdolnych pisarzy jak np. Manuela Gretkowska czy Jacek Dehnel. Przy tym, na co warto zwrócić uwagę, książki tej pierwszej wykorzystać warto na lekcjach anatomii (budowa narządów rodnych ze szczególnym uwzględnieniem łechtaczki), a tego drugiego w nauczaniu wiedzy o społeczeństwie i o życiu w rodzinie, oczywiście rodzinie nowoczesnej funkcjonującej za pan brat z LGBT.

Świat idzie do przodu, a nasze lektury zatrzymały się na przełomie XIX i XX w. Jeśli już koniecznie musimy podpierać się w szkole literaturą historyczną, to wróćmy do tej, która walczyła o równość, pochylała się nad ciemiężonym ludem, brała w obronę tych, których zmuszano do niewolniczej pracy. W czasach w końcu nie tak odległych obowiązkowymi lekturami w naszych placówkach oświatowych była „Ojczyzna" Wandy Wasilewskiej, „Kordian i cham" Leona Kruczkowskiego i wiele innych podobnych, jakże wartościowych i niesłusznie zapomnianych dzieł. Dość gloryfikowania Polski szlacheckiej, imperialistycznej i rasistowskiej!

Nauka literatury ogniskuje się na poezji, prozie rodzimej i tu powinno nastąpić największe przewietrzenie mocno archaicznych i zakurzonych klasyków. Ale nie zapominajmy o utworach literatury powszechnej. Nie tylko o Shylocku z „Kupca weneckiego" Szekspira i Faginie z „Olivera Twista" Dickensa. Spalenia na stosie „Przeminęło z wiatrem" domagają się ponowocześni obywatele Stanów Zjednoczonych. Grubo wcześniej Afroamerykanie doprowadzili do wyrugowania nie tylko ze szkół, lecz także z dyskursu publicznego „Chaty wuja Toma" Harriet Beecher Stowe i świat przyjął to ze zrozumieniem. Prawidłowo oceniony został złowrogi piewca kolonializmu i imperializmu Rudyard Kipling. Ale co robi jeszcze wśród młodzieżowych lektur jego „Księga dżungli"? Ukazane w tej książce stosunki między przedstawicielami poszczególnych gatunków zwierząt są w końcu dalekie od tych, jakie uważamy za jedynie słuszne.

Czeka nas niełatwe zadanie. Polski ciemnogród bronić będzie przecież lektur swojej młodości, zasłaniać się będzie wartościami patriotycznymi, odwoływać do historii i tradycji. Zaleje się łzami po Sienkiewiczu (autorze, co przypomnimy jeszcze, imperialnego dziełka pt. „Sachem"), po Prusie („Placówka" – i antyniemiecka, i antyżydowska), po Reymoncie („Ziemia obiecana"!), po Żeromskim (słów szkoda), po całej tej literaturze funta kłaków dziś niewartej. A won z tym wszystkim! Choćby i za Don.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Bohaterki ’44

Stanisław Cat-Mackiewicz napisał kiedyś, że Polska jest krajem bohaterskich kobiet. Słowa te przypomniałem sobie, gdy czytałem nową książkę Agnieszki Cubały „Kobiety ’44”. Opisane w niej historie w pełnej rozciągłości potwierdzają opinię Mackiewicza.

Znakomita popularyzatorka wiedzy o Powstaniu Warszawskim tym razem przedstawiła losy wielu dzielnych Polek, które przeszły przez piekło sierpniowej insurekcji. Zarówno żołnierek Armii Krajowej – sanitariuszek i łączniczek – jak i cywilek. Zwykłych mieszkanek stolicy, które nagle znalazły się w oku cyklonu. I wykazywały się często nie mniejszym poświęceniem niż dziewczęta z AK.

Ta książka to nie bujdy. To prawdziwa historia. Znalazły się w niej opisy wielkiego bohaterstwa, solidarności i patriotyzmu. Ale również opisy wielkich ludzkich tragedii, traum i niewyobrażalnych wręcz cierpień. Agnieszka Cubała porusza tematy, o których przez lata nie wolno było głośno mówić.

„Najbardziej spektakularnym przykładem zaniedbań i swoistej zmowy milczenia – pisze – stał się temat gwałtów dokonywanych na warszawiankach na Ochocie, Woli, Starym Mieście czy Czerniakowie. W niektórych publikacjach, nawet kilkadziesiąt lat po powstaniu, trudno było doszukać się słowa »gwałt« – zastąpiono je określeniem »bestialstwo«. A opis dramatu, którego doświadczyły tysiące kobiet, ograniczał się czasami do jednego ogólnikowego zdania. Ale czy należy się temu tak bardzo dziwić? Przecież w porwanej sukience zgwałconej dziewczyny, w jej łzach, krzywdzie, poniżeniu i cierpieniu nie ma miejsca na patos. Nikt tu nie mówi o bohaterstwie ani męstwie. Nie ma na czym zbudować legendy. Pomnika również nie ma komu postawić”.

Oto jedna z opowieści zawartych w „Kobietach ’44”. Młoda sanitariuszka Jadwiga Podrygałło „Szczeniak” przeniosła własnego ojca, rannego w głowę, do powstańczego szpitala. Była przy tym drobna i lekka, a jej ojciec słusznego wzrostu. W szpitalu usłyszała zaś:

„– Ty też jesteś ranna.

– Ja?

Podają mi lusterko, a ja mam »jatkę« na policzku, nie mam dwóch zębów, a u lewej dłoni wisi naderwany palec. Dopiero jak to zobaczyłam, poczułam ból i zemdlałam”.

Takich historii w książce znalazły się setki. Podczas czytania duma miesza się z rozpaczą. ©℗

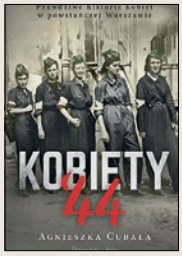

★★★★★☆

AGNIESZKA CUBAŁA „KOBIETY ’44” PRÓSZYŃSKI I S-KA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nadmorski festiwal

Najpopularniejszą imprezą muzyczną epoki PRL był bez wątpienia festiwal piosenki w Sopocie. W sierpniu każdego roku przyciągał przed odbiorniki radiowe i telewizyjne miliony Polaków, którzy na gorąco komentowali jego przebieg w kawiarniach, biurach czy stołówkach zakładowych. Zdarzało się nawet, że dyskusje przybierały gwałtowny charakter.

Pierwsza edycja miała miejsce w 1961 r., początkowo festiwal odbywał się w hali Stoczni Gdańskiej, później imprezę przeniesiono do Opery Leśnej (przed wojną wystawiano tam opery Wagnera!). Festiwal miał być międzynarodowy, zatem obok przedstawicieli krajów socjalistycznych zapraszano także piosenkarzy z Zachodu. Byli to jednak wykonawcy, których nazwisk nie znali nawet specjaliści od branży muzycznej, jednak w Polsce wzbudzali emocje, chociaż najczęściej z powodów pozamuzycznych. Dobrym tego przykładem był występ ognistej Hiszpanki, Conchity Bautisty (1969), który na długo zapadł w pamięci męskiej części widowni. Natomiast Monique Leyrac z Kanady, która wygrała piątą edycję festiwalu, odbywającą się w dniach 5–8 sierpnia 1965 r., została zupełnie zapomniana. Ale Kanadyjka miała suknię znacznie dłuższą niż Hiszpanka…

Nagrody otrzymywali głównie przybysze zza żelaznej kurtyny, nie mogło jednak zabraknąć wyróżnień dla reprezentantów ZSRS (Tamara Miansarowa za utwór „Zawsze niech będzie słońce” oraz Ałła Pugaczowa i Lew Leszczenko). Pugaczowa zresztą wprawiła organizatorów w osłupienie, gdy wchodząc na scenę, przeżegnała się, a następnie śmiało zaprezentowała bardzo odważne rozcięcie sukni.

Nadmorski festiwal wylansował w Polsce pokaźną grupę wykonawców z bloku wschodniego, dzięki występom w Sopocie popularność osiągnęli: Helena Vondráčková, Karel Gott czy Zsuzsa Koncz. Do ciekawostek należał Dzień Polski, podczas którego obcokrajowcy wykonywali przeboje znad Wisły. Czasami przynosiło to humorystyczne efekty, jak „Zegarmistrz światła” w wykonaniu Węgrów z Locomotiv GT czy też „Dmuchawce, latawce, wiatr” śpiewane łamaną polszczyzną przez pewną niezwykle urodziwą Czeszkę. Oczywiście żadna z interpretacji krajowych hitów nie zyskała nigdy popularności poza granicami naszego kraju.

Duża impreza musiała obfitować w nieplanowane wydarzenia, czasami jednak zdarzały się prawdziwe dramaty. Na przykład francuska piosenkarka Nicole złamała podczas koncertu nogę.

„Była żywa jak wulkan – wspominał dyrektor BART Eugeniusz Terlecki. – I wbiegła z takim impetem, że pośliznęła się. Wyniesiono ją ranną, ale śpiewającą”… ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

JUŻ 10 SIERPNIA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

SPECJALNY DODATEK W 100. ROCZNICĘ BITWY WARSZAWSKIEJ

Partnerzy dodatku:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

LOTOS

eprasa.pl f7da1498f7

Maciej Pieczyński

Niewdzięczni Polacy, zamiast wspominać wyzwolenie od faszyzmu, wolą celebrować rocznicę swojej... napaści na Rosję. Tak w skrócie wygląda rosyjska narracja na temat Bitwy Warszawskiej. Jeszcze inaczej postrzegają to Ukraińcy

Jak Polacy na Rosję napadli

Świadomość imperialna, przekazywana z pokolenia na pokolenie w tym kraju, nie pasuje do twardych realiów współczesnego świata" – gdyby zapytać statystycznego polskiego czytelnika, o jaki kraj chodzi, zapewne wskazałby na Rosję. Tylko... autorem tej wypowiedzi jest Rosjanin. Dmitrij Nowikow, wiceprzewodniczący komitetu spraw międzynarodowych Dumy Państwowej, polityk Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, z wykształcenia historyk, „imperialną świadomość" przypisuje Polsce, której dzieje postrzega jako jeden wielki „Drang nach Osten". Pisze o tym w mającym częściowo formę wywiadu felietonie dla portalu Gazeta Parlamentarna. Nowikow ubolewa, że Polacy celebrują Narodowe Święto Niepodległości 11 listopada. A powinni 28 sierpnia, czyli w rocznicę anulowania traktatów rozbiorowych przez Lenina (również w 1918 r.). W jego opinii Polska odrodziła się po zaborach nie wbrew, a z błogosławieństwem Rosji Sowieckiej. Logicznie rzecz biorąc, jeśli bolszewicy uznali rozbiory za nieważne, to Piłsudski miał nie tylko prawo, lecz także wręcz obowiązek zająć na wschodzie tereny do granicy sprzed 1772 r. Jednak Nowikow właśnie na ten temat ironizuje: „Jeszcze państwo polskie nie pojawiło się na świecie, a już chciało naprawić »historyczną niesprawiedliwość« i przywrócić granice sprzed rozbiorów". Ofensywę polską na wschodzie opisuje tak, jakby chodziło o agresję na obce terytoria: „Już w styczniu 1919 r. polska armia wtargnęła na Litwę i Białoruś. W kwietniu zdobywa Wilno, następnie Mińsk. W maju Polacy (w sojuszu z Petlurą) biorą Kijów".

LENIN TO POKÓJ, PIŁSUDSKI – WOJNA

„Polska ludność Litwy i Białorusi stworzyła system samoobrony [...], który zwrócił się o pomoc do Warszawy. To pozwoliło Piłsudskiemu uzasadnić swoje ekspansjonistyczne plany hasłem obrony Polaków" – tak o pierwszych miesiącach wojny pisze z kolei Michaił Mieltiuchow, uznany rosyjski historyk, autor książki o wojnach polsko-sowieckich. Jego zdaniem koncepcja federacyjna Piłsudskiego była tylko przykrywką dla polskiej ekspansji. Oczywiście marsz Armii Czerwonej na Zachód z ekspansją nic wspólnego nie miał. Mieltiuchow pisze o anulowaniu rozbiorów przez bolszewików i uznaniu przez nich niepodległości Polski, a jednocześnie nazywa Polaków „opętanymi na punkcie powrotu do granic sprzed 1772 r.". Z jego książki wynika, że Lenin cały czas dążył do pokoju, Piłsudski zaś – do wojny. Nawet przedłużanie rozmów pokojowych w 1919 r. (co pozwoliło czerwonym dobić białych w wojnie domowej) historyk interpretuje jako zasłonę dymną – Polacy, zamiast od razu oddać Kresy Wschodnie i schować się za Bugiem, jego zdaniem pozorowali negocjacje, by zyskać czas na przygotowanie napaści na Rosję.

„W 1920 r. Polska prowadziła wojnę agresywną, wykorzystując słabość Rosji Sowieckiej [...]. A przecież Rosja Sowiecka praktycznie pomogła odbudować niepodległość Polski" – komentuje historyk Michaił Miagkow, dyrektor Rosyjskiego Stowarzyszenia Wojskowo-Historycznego, w rozmowie z państwową agencją RIA Nowosti. Z jego narracji wynika, że bolszewicy w 1920 r. wyzwolili ziemie ukraińskie i białoruskie od „polskiego agresora". A traktat ryski to „grabieżczy dokument", wymierzony przeciwko Rosji (choć w rzeczywistości Lenin powinien się cieszyć z jego postanowień, co przyznają wolni od propagandowych prosowieckich i prorosyjskich klisz historycy).

Dmitrij Nowikow, tak jak większość wypowiadających się na ten temat rosyj-

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. ADOBE STOCK

skich polityków, publicystów, historyków, za „sprawiedliwość dziejową" uznaje linię Curzona. Trudno się dziwić, że powoływał się na nią Stalin pod koniec drugiej wojny światowej, uzasadniając zabór Kresów Wschodnich. W końcu to Brytyjczycy zaproponowali granicę na Bugu, a Rosjanie, zwykle tak krytyczni wobec Zachodu, chętnie na autorytet tego samego Zachodu się powołują w sporach z Polską. Z wypowiedzi rosyjskich komentatorów na ten temat można wyciągnąć wniosek, że w 1920 r. to Warszawa nie chciała linii Curzona, ponieważ marzyła o ponownym podboju ziem wschodnich, których mieszkańcy nienawidzą polskich panów i marzą o wyzwoleniu przez Moskwę. Tymczasem, jak wiadomo, to bolszewicy odrzucili propozycję „etnicznych granic", ponieważ chcieli „po trupie białej Polski" iść na Zachód. O tym nie dowiemy się ani od Nowikowa, ani od Mieltiuchowa. Ten ostatni pisze, co prawda, o odrzuceniu linii Curzona, ale interpretuje to jako słuszny krok w kierunku podważenia „niesprawiedliwego" systemu wersalskiego, nie dostrzegając w krasnoarmiejcach Tuchaczewskiego agresorów. Perfekcyjnie posługuje się eufemizmami, oględnie opisując przyczyny, dla których „miłująca pokój" Armia Czerwona znalazła się pod Warszawą: „Ze swojej strony kierownictwo sowieckie, zderzywszy się z niemożliwością ustalenia pokojowych relacji z Polską, nie mogło nie brać pod uwagę ewentualności poszerzenia działań wojennych". Działania wojenne tak się „poszerzyły", że zatrzymały się pod Warszawą. O „trupie białej Polski" znowu ani słowa.

PETLURA I BANDERA

W zasadzie nic dziwnego. W końcu, zgodnie z rosyjską narracją, to Polska rozpętała wojnę z bolszewikami. Polscy, zachodni historycy są mniej więcej zgodni, że obie strony dążyły do konfliktu o tyle, iż celem zarówno Moskwy, jak i Warszawy było zajęcie terenów, które w ramach rozbiorów odebrał Rzeczypospolitej Petersburg. Tak czy inaczej, nie wgłębiając się w zawiłości historyczne, trudno przypisać winę Piłsudskiemu, szczególnie po wspomnianym anulowaniu traktatów rozbiorowych.

Tymczasem Rosjanie mniej więcej zgodnie mówią i piszą o „polskiej agresji" na ziemie litewskie, białoruskie i ukraińskie. Z tej perspektywy Sowieci w 1920 r. planowali „wyzwolić" Lwów, choć przecież to miasto nigdy wcześniej nie należało do Rosji – miało znaleźć się w jej granicach na mocy propozycji Curzona, którą, przypomnijmy, Lenin odrzucił. Według rosyjskich historyków i publicystów prawdziwym początkiem wojny była… napaść Polski na Rosję wiosną 1920 r. A dokładniej – wyprawa kijowska wojsk Piłsudskiego i Petlury. Chyba najsłynniejszy (jeden z nielicznych) przykładów sojuszu polsko-ukraińskiego przeciw Rosji. „Od dziś w naszych relacjach będziemy akcentować to, co nas łączy. Na przykład Bitwę Warszawską, której stulecie świętujemy w sierpniu. Generalnie, w tym roku planujemy przeprowadzić wiele wspólnych przedsięwzięć. Wierzę, że jednym z nich będzie wizyta prezydenta Dudy na Ukrainie" – mówił Wołodymyr Zełenski podczas styczniowej, wspólnej z Andrzejem Dudą, konferencji prasowej. Polski prezydent zaproponował wówczas swojemu ukraińskiemu odpowiednikowi, aby „wspólnie uczcili pamięć żołnierzy ukraińskich i polskich, którzy w 1920 r. walczyli z nawałą bolszewicką".

Obchody „100-lecia wyzwolenia Kijowa przez żołnierzy Wojska Polskiego i Ukraińskiej Republiki Ludowej" odbyły się skromnie, w Warszawie, z udziałem m.in. wicemarszałek Sejmu Małgorza-

eprasa.pl f7da1498f7

ty Gosiewskiej i ambasadora Ukrainy w Polsce Andrija Deszczyci. Pozostaje mieć nadzieję, że 15 sierpnia na najwyższym szczeblu Duda i Zełenski podkreślą wagę polsko--ukraińskiego sojuszu przeciw Moskwie i jego ponadczasową aktualność.

Zastąpienie Bandery Petlurą w panteonie bohaterów narodowych naszego południowo-wschodniego sąsiada – to niespełnione dotąd polskie marzenie. Sądząc po badaniach socjologicznych i publikacjach prasowych, Petlura jest na Ukrainie niewiele mniej popularny od Bandery, choć w kulturze masowej to przywódca OUN jest postacią o wiele bardziej rozpoznawalną. Pierwszy pomnik Petlury na Ukrainie stanął dopiero trzy lata temu. Obaj służą jako symbole walki z Moskwą, choć z nich dwóch tylko Petlura naprawdę walczył z bolszewikami. Inna sprawa, że przegrał. Jeszcze inna – że podpisując ugodę z Polakami, oddał im Lwów.

Paradoksalnie, Ukraińcy rzadko o tym wspominają, ale jeśli już się zdarzy – mówił o tym np. polityk partii Sługa Narodu, Maksym Bużański – to zaraz temat podchwytują rosyjskie media, próbując zdyskredytować jeden z niewielu w historii przykładów sojuszu Warszawy i Kijowa przeciwko Moskwie. Według publicysty Władimira Korniłowa współcześni banderowcy powinni potępiać Petlurę za oddanie Lwowa Polakom. „Kijów cieszy się ze swojej okupacji" – pisze Korniłow na portalu agencji RIA Nowosti, komentując zaproszenie dla Zełenskiego na obchody 100-lecia Bitwy Warszawskiej. Petlura przegrał ze wszystkimi – z bolszewikami, z białymi Rosjanami, dlatego był zmuszony sprzymierzyć się z Polską na jej warunkach. Ta teza nie odbiega od historycznej prawdy, jednak w ustach rosyjskich komentatorów nabiera szczególnego znaczenia. „Rzekoma pomoc, którą Piłsudski zaoferował Petlurze, była tylko przykrywką dla okupacji Ukrainy przez Polskę" – twierdzi Korniłow. Przypomina też, że obecne granice Ukrainy pokrywają się z granicami Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Czyli – tak naprawdę Zełenski, zamiast czcić sługusa Polaków Petlurę, powinien być wdzięczny Stalinowi za to, że zjednoczył pod sowieckim panowaniem całą Ukrainę. Zresztą Rosjanie często próbują relatywizować ówczesną sytuację. Przekonują mianowicie, że Petlura walczył nie tyle z Rosją, ile ze swoimi rodakami – bo przecież teoretycznie istniała sowiecka Ukraina. O tym, że nie miała ona nic wspólnego z niepodległym państwem, już nie wspominają tak chętnie.

Dlaczego jednak Rosjanie przedstawiają wyprawę kijowską jako polską napaść na Rosję? Nie tylko dlatego, że chcą się wybielić i usprawiedliwić, iż sami szturmowali Warszawę, daleko przekraczając tak przez nich rzekomo szanowaną linię Curzona. Powody są głębsze. Wyprawa kijowska rzeczywiście doprowadziła do wzrostu nastrojów patriotycznych w Rosji. Jak pisze prof. Andrzej Nowak, do sierpnia 1920 r. w szeregi Armii Czerwonej wstąpiło 314 tys. generałów, oficerów, podoficerów. Trzy lata po rewolucji. Dwa lata po tym, jak bolszewicy zamordowali cara. W czasie jeszcze niezakończonej krwawej wojny białych z czerwonymi. A jednak woleli „bronić Rosji", choćby sowieckiej. Tak to zresztą przedstawia dziś rosyjska propaganda, coraz śmielej łącząca kult caratu z kultem „czerwonego cara", który pokonując Hitlera w 1945 r., zapewnił czerwonej, ale jednak Rosji status wszechświatowego mocarstwa.

RUŚ KIJOWSKA

Z tej perspektywy wyprawa kijowska Piłsudskiego była tylko jednym z wielu aktów wielowiekowej agresji Zachodu przeciw Rosji/Rusi/Moskwie. W XIII w. Szwedzi, pobici przez Aleksandra Newskiego. W 1612 r. polscy okupanci przegonieni z Kremla. W 1812 r. pokonany Napoleon. W 1920 r. – Kijów „wyzwolony" spod władzy Piłsudskiego. A potem Hitler i druga (po napoleońskiej) wielka wojna ojczyźniana. A dlaczego ten Kijów taki ważny? Nie tylko dlatego, że bez Ukrainy Rosja (biała czy czerwona – w planie geopolityki kolor nie ma tu znaczenia) nie byłaby imperium. Przede wszystkim dlatego, że Kijów to „macierz grodów ruskich". Rosjanie, podobnie jak Ukraińcy, wywodzą swoje korzenie ze średniowiecznego państwa o nazwie Ruś Kijowska, którego dalekim odblaskiem było, okrzepłe dopiero w XV w., państwo moskiewskie. Dlatego wyprawa kijowska przedstawiona została jako napaść na Rosję.

Rosjanie w ciekawy sposób przedstawiają rolę Stalina w wojnie polsko--bolszewickiej. Jak wiadomo, późniejszy „czerwony car" był komisarzem Frontu Południowo-Zachodniego. Tuchaczewski oskarżał Stalina, że ten z zazdrości nie chciał mu pomóc w zdobyciu Warszawy. Uparł się, by zdobyć Lwów i osiągnąć tym samym osobisty sukces – co do tego nie mają raczej wątpliwości również polscy historycy. W latach 90. rosyjscy badacze, chcąc umniejszyć wagę sukcesu Polaków, o klęskę pod Warszawą obwiniali właśnie Stalina. Dzisiaj próbują wybielać jego rolę.

Dmitrij Nowikow twierdzi, że Stalin w pojedynkę występował przeciwko planom „marszu na Warszawę". Jest to wersja niezgodna z ustaleniami polskich historyków, ale pasująca do aktualnej narracji Kremla, zgodnie z którą „czerwony car" wraca do łask jako pogromca Hitlera, najpotężniejszego z licznych „zachodnich agresorów", na przestrzeni wieków próbujących podbić Rosję. Nowikow powołuje się na artykuł Stalina, opublikowany w „Prawdzie" w maju 1920 r. Autor przekonuje w nim, że o ile na wschód od rzeki Bug Armia Czerwona może liczyć na przychylność miejscowych chłopów, o tyle „na terenie Polski właściwej z Polakami trudno będzie walczyć". Artykuł nosi tytuł „Nowy pochód ententy" – a więc również dla Stalina „napaść" Piłsudskiego na Rosję była tylko kolejnym aktem agresji Zachodu na Moskwę…

Polska jednak nie tylko napadła na Rosję. Polacy okazali się zbrodniarzami. Rosyjscy historycy i publicyści chętnie rozpisują się o mordach na sowieckich jeńcach w 1920 r., zapominając przy tym o barbarzyństwie czerwonoarmistów, szczególnie z owianej złą sławą Konarmii. Wysoką śmiertelność w obozach jenieckich przypisują celowemu działaniu, sugerując często, że właśnie zemstą za to był Katyń. Zbrodnia popełniona z zemsty brzmi wręcz szlachetnie… Tym groźniejsze dla pamięci historycznej są więc próby zrównania sowieckich jeńców, zmarłych z głodu i chorób, z polskimi jeńcami, zamordowanymi strzałem w tył głowy. A jednak taka narracja jest rozpowszechniona.

Wreszcie, Rosjanie szczerze ubolewają, że Polacy wolą pamiętać wojnę 1920 r. niż „wyzwolenie" 1944 r. Nie czas tu i miejsce, by tłumaczyć, że w drugim przypadku to ponowne zniewolenie – nasi wschodni sąsiedzi takiego argumentu nie przyjmują. „Bitwa Warszawska o historię: pogrom nazizmu przegrywa z wojną polsko-sowiecką" – głosi tytuł artykułu opublikowanego na portalu Baltnews. Autor pisze o planach budowy pomnika Bitwy Warszawskiej: „Chociaż pomnik ten nie stanie się raczej źródłem szczególnych emocji na poziomie relacji państwowych, to należy oczekiwać powrotu retoryki wojny historycznej i konfrontacji ze strony polskiej klasy politycznej". Oczywiście, tak jak w 1920 r., to Polska jest stroną agresywną…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

ŁUKASZENKO LEGŁ

Gdyby koronawirus mógł prowadzić swoją listę ośmieszenia, po prezydencie Brazylii i premierze Wielkiej Brytanii mógłby na nią wpisać Aleksandra Łukaszenkę. Białoruski dyktator publicznie śmiał się z zarazy, twierdząc, że ochroną przed COVID-19 są traktor i praca. Polecał też wyroby spirytusowe (nie tylko do odkażania rąk). W ubiegłym tygodniu poinformował, że jest chory na koronawirusa.

TURYŚCI TAK, WIERNI – NIE

Władze Katalonii zapowiedziały ukaranie archidiecezji Barcelony za złamanie przepisów sanitarnych. Bo na mszy św. w bazylice Sagrada Família za ofiary pandemii przekroczono dopuszczalny limit 10 osób (było 460, co stanowiło w sumie ok. 23 proc. wiernych, którzy mogą się tam zmieścić na nabożeństwie). Te same władze wcześniej poprosiły kościół lokalny o otwarcie tej samej bazyliki dla turystów, zachowując możliwość 50 proc. limitu zwiedzających, co daje wpuszczanie 1,7 tys. osób do wnętrza świątyni. Turyści cały czas mogą wchodzić.

TURECKIE ZAPROSZENIE DLA PAPIEŻA

Prezydent Turcji Recep Erdoğan ma tupet. Najpierw zdecydowano tam, że świątynia Hagia Sophia – założona jako chrześcijański kościół – zostanie przekształcona w meczet (sprzeciw wyraziły Światowa Rada Kościołów i Cerkiew prawosławna). Erdoğan podpisał już stosowny dekret. A potem na uroczystość przekształcenia zaproszono… papieża Franciszka. Reakcji głowy Kościoła do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie było. Wcześniej sygnalizowano, że Franciszek planami uczynienia meczetu w Hagia Sophia był „bardzo zasmucony".

FAŁSZYWY WNUK HOESSA

Rainer Hoess potępiał głośno w mediach zbrodnie swojego dziadka Rudolfa, zaprzyjaźniał się z ofiarami niemieckich zbrodniarzy. Był bohaterem kilku filmów dokumentalnych dotyczących zagłady. Dziennikarze „Israel Hajom" ujawnili teraz, że to zwykły oszust – skazywany wcześniej za oszustwa i groźby aż 13 razy. W więzieniu spędził 1,5 roku, a ostatni wyrok wobec niego zapadł w 2016 r. Dzięki swemu niecnemu pomysłowi na korzenie się za winy rzekomego przodka oszukiwał ludzi i zbierał od nich pożyczki na dokończenie ważnego filmu lub książki. Te oczywiście nie powstawały. W czerwcu stanął przed niemieckim sądem za defraudację 17 tys. euro, które dostał na rzekomy film o swojej przyjaźni z Evą Mozes Kor, ofiarą eksperymentów doktora Mengele. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Pożegnanie z wolnością

Ameryka! Ojczyzna wolności. Szkoda, że już tylko w podręcznikach historii. Mieszkańcy kraju pierwszej poprawki, która gwarantuje wolność wypowiedzi, z roku na rok czują się coraz bardziej zniewoleni.

Już 62 proc. Amerykanów obawia się swobodnie mówić o swych poglądach politycznych, bo ktoś mógłby się poczuć urażony. Odsetek obywateli USA stosujących autocenzurę wzrósł od 2017 r. o cztery punkty procentowe. Według sondażu dla Instytutu Cato swobodnie wypowiadać boją się zarówno zwolennicy Partii Demokratycznej (52 proc.), jak i wyborcy niezależni (59 proc.), ale najczęściej w język gryźć się muszą sympatycy Partii Republikańskiej – aż 77 proc. z nich czuje, że publicznie lepiej milczeć. Badanie pokazało, że jedyną grupą, która swobodnie wyraża poglądy, są zagorzali lewicowi liberałowie (sześciu na 10 cieszy się z wolności słowa). Nic dziwnego. Ofensywa lewactwa zmieniła reguły dyskursu publicznego nie tylko w USA. Zwolennicy ideologii LGBT+ sądzą, że mogą decydować, kto jest godzien dyskusji, a kogo należy medialnie zlinczować lub wykasować z życia publicznego. Że mają prawo do agresji, wulgarnego publicznego „manifestowania odmienności" oraz bezczeszczenia symboli religijnych i narodowych. Radykałowie LGBT+ bez oporu obrażają osoby hołdujące tradycyjnym wartościom i zamykają usta tym, którzy wciąż nie chcą zgodzić się na homomałżeństwa czy adopcje dzieci przez homopary. Niech jednak ktoś wspomni o Karcie praw rodziny lub strefie wolnej od ideologii LGBT, a zostanie odsądzony od czci i wiary lub karnie pozbawiony dochodów. Homoterroryści chcą bowiem siłą doprowadzić do realizacji jedynej poprawnej i nowoczesnej wizji świata. Na barbarzyństwie nielicznych radykałów cierpi większość społeczeństwa. Niezależnie od orientacji. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

Klęska manipulantów

Piotr Włoczyk

Szesnastolatek z katolickiej szkoły popełnił dwie niewybaczalne zbrodnie: poszedł na Marsz dla Życia i miał na głowie czapkę Trumpa. Największe amerykańskie media zrobiły z niego rasistę. Ostatecznie jednak to on jest górą: zmusił medialnych gigantów do ugody

270 mln dol. od CNN, 250 mln dol. od „The Washington Post" – takiej fortuny zażądali rodzice Nicka Sandmanna, nieśmiałego nastolatka z Kentucky, który wbrew swojej woli został przez największe amerykańskie media wywleczony na sam środek amerykańskiego sporu politycznego. Lewicowi politycy, publicyści i celebryci publicznie z niego szydzili, nazywali go „rasistą", oskarżali o stosowanie przemocy wobec Nathana Phillipsa, Amerykanina indiańskiego pochodzenia, „weterana z Wietnamu".

Krótkie nagranie, na którym widać „konfrontację" Sandmanna i Phillipsa, było szeroko omawiane przez lewicowe media jako przykład wykolejenia młodych wyborców Trumpa. Gdy jednak do sieci trafiły inne nagrania, pokazujące cały kontekst tej sprawy, nagle okazało się, że w przekazie serwowanym przez wiele dni nic się nie zgadza.

PO CO KOMU FAKTY?

Jako pierwsza, jeszcze w styczniu, na ugodę z rodzicami Sandmanna poszła CNN. Niestety, nie ujawniono najciekawszego aspektu umowy – sumy, którą stacja telewizyjna wypłaciła rodzinie nastolatka. Pod koniec lipca podobną ugodę zawarł z Sandmannem, który właśnie skończył 18 lat, wydawca „The Washington Post". Nawiasem mówiąc, 250 mln dol., których żądał nastolatek, to suma, jaką w 2013 r. wydał Jeff Bezos, założyciel Amazona, by kupić ten waszyngtoński dziennik.

„Jesteśmy zadowoleni, że udało nam się osiągnąć porozumienie na temat spraw poruszonych w tym pozwie" – powiedział rzecznik gazety. Niestety, również w tym przypadku obie strony odmawiają odpowiedzi na pytania o wypłaconą kwotę.

„Jestem pewien, że ten chłopak dostał dziesiątki milionów dolarów. To pokazuje, jak liberalne media mainstreamowe czują się władne, by obrzucać błotem każdego, kogo uważają za albo konserwatystę, albo wspierającego Trumpa" – powiedział na antenie Fox News Gregg Jarrett, znany amerykański konserwatywny publicysta. I dodał: „Nicholas Sandmann stał się głównym celem. Jego jedyną zbrodnią było założenie czapeczki »MAGA«. Dlatego trzeba go było zohydzić, zrobić z niego demona. Oskarżyli go o rasizm i prowokowanie konfrontacji, kiedy rzeczywistość wyglądała dokładnie odwrotnie. Nagrania wideo to pokazały. To on był ofiarą prześladowania i ataku o podłożu rasowym. Ale te media kompletnie nie interesują się faktami".

Sandmann z pewnością nie dostał kwot, których żądał, ale nawet gdyby w każdym przypadku otrzymał choćby 10 proc., to do końca życia nie musi się już martwić o sprawy materialne. Tym bardziej że wszystko wskazuje na to, iż to nie koniec dużych wypłat.

„Zawarliśmy ugodę z WAPO [„The Washington Post" – przyp. red.] i CNN. Ta walka jeszcze się nie skończyła. Dwa mam już z głowy, zostało jeszcze sześć" – napisał na Twitterze sam zainteresowany po ogłoszeniu zawarcia ugody z waszyngtońskim dziennikiem. Rodzice Sandmanna pozwali też m.in. ABC News, CBS News i „The New York Times". Można założyć, że reszta pozwanych mediów również będzie chciała uniknąć procesów niemożliwych do wygrania i wypłaci nastolatkowi sowite odszkodowania. Pod wygraną Nicka Sandmanna podpina się też sam Donald Trump, pokazując tę sprawę jako koronny dowód na skrajną stronniczość lewicowych mediów w USA, które nie cofną się przed niczym, by zaszkodzić obecnemu gospodarzowi Białego Domu. Trump dopinguje Sandmanna do dalszej walki z mainstreamowymi mediami, zwracając się do niego na Twitterze słowami: „Dawaj dalej, Nick!".

AWANTURA POD MAUZOLEUM

Słynne nagranie pochodzi ze stycznia zeszłego roku. Nick Sandmann wraz z kolegami z katolickiej szkoły Covington

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

w Kentucky uczestniczył w Marszu dla Życia, organizowanym co roku w Waszyngtonie. Uczniowie mieli się spotkać po wszystkim na schodach Mauzoleum Lincolna i pójść razem do czekającego na nich autobusu. Kilkadziesiąt metrów dalej pięciu tzw. Czarnych Hebrajskich Izraelitów (ang. Black Hebrew Israelites – sekta łącząca elementy chrześcijaństwa i judaizmu) zaczęło się w wulgarny sposób zwracać do młodzieży z Kentucky. Czarni mężczyźni krzyczeli do nich m.in. „Pie…lone białasy", a także: „Co to do cholery jest? Kółeczko pokoju? Nie będzie żadnego pokoju dopóty, dopóki nie poleje się krew".

Agresorzy zaatakowali słownie również uczestników odbywającego się równolegle z Marszem dla Życia Marszu Rdzennych Amerykanów. W pewnym momencie jeden z rdzennych Amerykanów podszedł ze swoim bębenkiem do grupy nastolatków, stając naprzeciw Nicka Sandmanna.

Po wszystkim Phillips opowiadał w lewicowych mediach swoją wersję wydarzeń: „Tam stała grupa ponad 200 młodych, białych, agresywnie nastawionych mężczyzn. Stali naprzeciw czterech czarnych osób. Doszło w końcu do sytuacji, gdy pstryknięcie palca mogło sprawić, że ci chłopcy rzuciliby się na nich. Kiedy podszedłem do tego tłumu i ich potencjalnych ofiar, cała ta nienawiść skupiła się na mnie. Widziałem wtedy na twarzach miny, które widziałem podczas linczów...". Z innych nagrań jasno wynika, że to nieprawda. To młodzież z katolickiej szkoły była atakowana werbalnie. Okazało się też, że Phillips, który przez kilka dni przedstawiany był w mediach jako weteran z Wietnamu (są nagrania pokazujące, jak wcześniej wielokrotnie tak o sobie mówił), w rzeczywistości nigdy nie służył poza granicami USA.

Traf chciał, że Sandmann stał na stopniu, więc wydawał się wyższy od Phillipsa. W lewicowych mediach w kółko pokazywany był fragment nagrania, na którym chłopak przez dłuższy moment patrzy na rdzennego Amerykanina grającego na bębenku, uśmiechając się momentami. Uśmiech, odebrany jako kpina, w połączeniu z czerwoną czapeczką „Make America Great Again" i udziałem w Marszu dla Życia stał się wymarzonym tematem dla mediów niechętnych Donaldowi Trumpowi. Sandmann na kilka dni trafił w samo oko politycznego cyklonu.

TRUMP MUSI ODEJŚĆ

Na antenie NBC prowadzący wiadomości zapowiedział materiał następującymi słowami: „Uczniowie zaczepiają rdzennego Amerykanina, weterana z Wietnamu". W CNN dziennikarze stacji komentowali to m.in. w ten sposób: „Dla mnie wygląda to tak, że ten młody człowiek szydzi z rdzennego Amerykanina, weterana z Wietnamu", „Ten chłopak podjął decyzję, by rozpocząć konfrontację. To nie była dobra decyzja".

W sprawie wypowiedzieli się też czołowi politycy Partii Demokratycznej. Znana kongresmenka Ihlan Omar napisała na Twitterze: „Ci chłopcy protestowali przeciw prawu kobiety do wyboru i krzyczeli: »Jeżeli sprawia ci to przyjemność, to nie jest gwałt«. Napastowali pięciu czarnych mężczyzn, zanim otoczyli Phillipsa, i rozpoczęli rasistowskie przyśpiewki". Kolejne nagrania pokazały, że słowa o „przyjemności" z gwałtu wykrzyczeli Czarni Hebrajscy Izraelici, a w czasie całej konfrontacji uczniowie zachowywali się nadspodziewanie spokojnie, odkrzykując co najwyżej: „Dlaczego nas zaczepiacie?".

Nie zabrakło też komentarzy wzywających wprost do agresji. Rodzina Sandmanna odebrała wiele gróźb, również ostrzeżeń przed podłożeniem bomby. Agresja płynęła też ze strony czołowych lewicowych intelektualistów. „Poważne pytanie. Czy widzieliście kiedykolwiek twarz bardziej zasługującą na cios niż twarz tego chłopaka?" – napisał na Twitterze Reza Aslan, znany amerykański religioznawca, autor głośnej książki „Zelota: Życie i czasy Jezusa z Nazaretu".

Sandmann stał się na moment głównym obiektem kpin po liberalnej stronie amerykańskiej sceny politycznej. Słynny komik Bill Maher tym razem pokusił się o mało wyszukany komentarz, nazywając nastolatka w swoim oglądanym przez miliony Amerykanów programie po prostu „dupkiem".

Puentą niech będą słowa, które padły niedawno w popularnym amerykańskim talk-show „The View". „Dlaczego od razu wydajemy wyrok, a potem musimy się z tego wycofywać? Dlaczego cały czas popełniamy ten sam błąd?" – pytała Whoopie Goldberg, znana amerykańska aktorka. „Bo desperacko staramy się usunąć Trumpa z Białego Domu" – odpowiedziała jej szczerze inna zaproszona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Maria Kądzielska

„Prezydent Moon to przestraszony pies" – oto słowa Kim Jo Dzong, najważniejszej kobiety w jednym z najokrutniejszych reżimów na świecie. Kim jest koreańska lady Makbet?

Kim Dzong Un i jego siostra Kim Jo Dzong grają ze światem w dobrego i złego policjanta

FOT. POOL/GETTY IMAGES

Lady Kim

Pod koniec czerwca działacze na rzecz praw człowieka w Korei Południowej użyli balonów, aby przesłać na drugą stronę granicy antyrządowe ulotki, sprzeciwiające się nieludzkiemu traktowaniu mieszkańców przez rząd Korei Północnej. W odpowiedzi Kim Jo Dzong nazwała ich „szumowinami" i „kundlami", co zostało uwiecznione na nagraniu telewizyjnym. Zarzuciła również prezydentowi Moon Jae-in, że jest zbyt słaby, aby zatrzymać własnych obywateli przed takimi akcjami, i że „włożył głowę w pętlę amerykańskiego niewolnictwa". Ostrzegła przed działaniem odwetowym i zagroziła zniszczeniem Międzyrządowego Biura Łącznikowego utworzonego w 2018 r. w celu ułatwienia komunikacji między Północą a Południem (okazało się, że Jo Dzong nie rzuca słów na wiatr – biuro zostało zniszczone). Zagroziła także wkroczeniem żołnierzy do zdemilitaryzowanego regionu przygranicznego. „Wydaje mi się, że to najwyższy czas, aby zerwać z władzami Korei Południowej" – ogłosiła publicznie. Do tego jednak nie doszło, bo Kim Dzong Un zatrzymał śmiałe plany siostry. Jeśli jednak niedawno duża część opinii publicznej była zadowolona z pogłosek o śmierci koreańskiego przywódcy, to obecnie nasuwa się pytanie, czy z dwójki wybuchowego rodzeństwa on nie jest jednak stabilniejszy.

SZWAJCARSKA BALETNICA

Szczupła, o wręcz dziewczęcej urodzie, 32-letnia Jo Dzong jest jedną z niewielu kobiet, którym udało się dojść do szczytów władzy w koreańskim reżimie i na nich utrzymać. Jest najmłodszą córką Kim Dzong Ila, a tym samym wnuczką Kim Ir Sena, założyciela dynastii Kimów. Dzieciństwo spędziła w rezydencji swojej matki Ko Yong Hui w Pjongjangu. Poza rzeczywistością północnokoreańską bliżej poznała jedynie Szwajcarię, gdzie w latach 1996–2000 wraz z rodzeństwem chodziła do szkoły Liebefeld Steinhölzli w Brnie. Posługiwała się wtedy pseudonimem Park Mi Hyang. Interesowała się w szczególności baletem. Było to jednak 20 lat temu. Po powrocie do Pjongjangu ukończyła studia informatyczne. Niektóre źródła podają, że mogła odbyć staż w jednej z instytucji finansowych w Europie Zachodniej. Prawdopodobnie w 2015 r. poślubiła syna przewodniczącego prezydium Najwyższego Zgromadzenia Ludowego – Ch'oe Ryong Hae. Ma z nim jedno dziecko.

Obecnie jest szefową Departamentu Propagandy i Agitacji, osobą znaną ze swojego pełnego wsparcia dla polityki brata. Zadebiutowała na międzynarodowej scenie politycznej podczas zimowych igrzysk olimpijskich w Pjongczangu w Korei Południowej, jako członkini delegacji północnokoreańskiej. To wówczas oczy wszystkich komentatorów zwróciły się w jej stronę. Bo w zdominowanym przez mężczyzn reżimie północnokoreańskim obecność kobiety jest ewenementem. W końcu Kim Dzong Un ma żonę – Ri Sol Ju, która nie odgrywa jednak żadnej znaczącej roli politycznej, prócz tytułu pierwszej damy. Również starsza siostra – Kim Sŏl-Song – została

eprasa.pl f7da1498f7

odsunięta w polityczny cień po śmierci ojca Kim Dzong Ila. Była ulubienicą poprzedniego przywódcy Korei. Podobnie jak on ukończyła studia na Uniwersytecie im. Kim Ir Sena w Pjongjangu na wydziale ekonomicznym. Od końca lat 90. była odpowiedzialna za układanie harmonogramów ochrony dla swojego ojca. Towarzyszyła mu podczas podróży po Korei Północnej. Dziś jest odpowiedzialna za kwestie literackie i praktycznie nie pojawia się w przestrzeni publicznej.

Kim Dzong Un objął władzę w 2012 r. po śmierci swojego ojca, zostając pierwszym sekretarzem Partii Pracy Korei. W 2013 r. rozprawił się z wujem Jang Sŏng T'aek, którego odsunął od wszystkich stanowisk, aresztował, a w końcu skazał na śmierć i stracił. Następnie kazał wymordować całą jego rodzinę, łącznie z kobietami i dziećmi. Z kolei najstarszego przyrodniego brata – Kim Dzong Nama – zamordowano w 2017 r. w Kuala Lumpur, najprawdopodobniej na zlecenie Pjongjangu. Inni krewni albo przebywają na wygnaniu, albo są odsunięci od kręgów władzy. W klanie Kimów, podobnie jak w „Grze o tron", najbrutalniejsze rozgrywki odbywają się pod wspólnym dachem.

ODDANA SIOSTRA

Tym bardziej dziwi rosnąca rola najmłodszej siostry. Jo Dzong bierze udział wraz z Kimem we wszystkich krajowych i zagranicznych wyjazdach, w tym w szczytach w Hanoi i Singapurze, gdzie odbyło się spotkanie z prezydentem USA Donaldem Trumpem. Była również obecna przy spotkaniach z prezydentem Moonem i przywódcą Chin Xi Jingpingiem. W ciągu ostatnich dwóch lat jej pozycja zarówno wewnątrz kraju, jak i na arenie międzynarodowej mocno wzrosła. Na relacjach ze szczytu w Singapurze w 2018 r. widać, jak Kim Jo Dzong w ostatniej chwili podmienia pióro, którym starszy brat miał podpisać wspólną deklarację z prezydentem USA. Po wizycie w Hanoi zaś wszystkie media rozpisywały się, jak siostra czekała z popielniczką, aż brat zakończy palić papierosa, aby uniknąć pozostawienia śladów DNA.

Jednak dopiero w marcu tego roku po raz pierwszy lady Kim wydała formalne oświadczenie pod własnym nazwiskiem. Ośmieszyła wtedy prezydenta Moona, nazywając go „psychicznie upośledzonym" i „przestraszonym psem". Potem to ona publicznie przyznała, że prezydent Trump wysłał list do jej brata, oferując pomoc w radzeniu sobie z pandemią koronawirusa. Obecnie prowadzi również Departament Zjednoczonego Frontu, który odpowiada za relację z Koreą Południową. Czy Kim Dzong Un nie zaczyna wykorzystywać siostry do przekazywania światu niewygodnych wiadomości, których on sam nie mógłby głośno wypowiedzieć?

Jo Dzong nieformalnie odgrywa rolę rzeczniczki swojego brata, szefa sztabu i doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego. Krótko po tym, jak tej wiosny Kim Dzong Un zniknął z przestrzeni publicznej – budząc pogłoski, że może być ciężko chory, a nawet martwy – to siostra stała się twarzą reżimu. Co jest powodem takiego wzrostu roli politycznej Jo Dzong? Spośród wszystkich członków swojej rodziny przywódca Korei Północnej musi z pewnością właśnie ją darzyć największym zaufaniem. Chodziły nawet plotki o romansie między rodzeństwem, ale są to raczej jedynie sensacyjne spekulacje. W końcu poza granice Korei Północnej przedostają się jedynie te wiadomości, o których decyduje ich przywódca (oprócz relacji uciekinierów). Niewątpliwie zatem Dzong Un chce wypromować swoją siostrę i daje jej coraz większą swobodę działania. Może rzeczywiście przywódca Korei Północnej martwi się o zdrowie, a tym samym dokonuje namaszczenia siostry na swojego następcę? Uważa się, że obecny przywódca Korei ma syna, lecz ma on być zbyt młody, aby samodzielnie rządzić.

MĘSKA GRA

Analitycy wskazują jednak, że nie jest to takie pewne w zdominowanym przez mężczyzn północnokoreańskim reżimie. Wschodnia lady Makbet będzie prawdopodobnie musiała rywalizować z Kim Pyong Ilem, przyrodnim bratem swojego ojca. Kim Jong Il (ojciec Kima Dzong Una) i Kim Pyong Il walczyli o przejęcie władzy. Pyong Il przegrał i opuścił Koreę na wiele lat, sprawując funkcje dyplomatyczne w Europie. Pełnił funkcję ambasadora na Węgrzech, w Bułgarii, Finlandii, Polsce i Czechach. Do Warszawy przybył w 1998 r. i pozostał tu aż do 2015 r. Dwoje jego dzieci – syn Kim In Kang oraz córka Kim Ŭng Sŏng – skończyło studia w Polsce. W listopadzie zeszłego roku dyplomata przeszedł na emeryturę i powrócił do Pjongjangu. Może akurat w idealnym momencie, aby chociaż wpłynąć na swojego rozwydrzonego bratanka? W końcu jest synem Kim Ir Sena.

Możemy jedynie spekulować, czy gdyby władzę przejął Pyong Il, to otworzy on Koreę Północną na resztę świata. Jest to człowiek dobrze wykształcony – studiował na Malcie i w Moskwie, a we wschodnich Niemczech ukończył kurs pilotażu samolotów ultralekkich. Większość swojego dojrzałego życia spędził w Europie Zachodniej, obserwując transformację ustrojową, m.in. w Polsce. Tymczasem Kim Jo Dzong jest głęboko zanurzona w rzeczywistości koreańskiej. Co prawda mówi biegle w językach angielskim i francuskim, ale przynajmniej jej ostatnie wypowiedzi medialne są dalekie od dyplomatycznych. Lady Kim rośnie w oczach opinii publicznej jako agresywna i bezkompromisowa. Skoro balony doprowadziły ją do takiej furii, jak zareaguje na poważniejsze sytuacje? Rodzeństwo Kimów na razie gra na arenie międzynarodowej w dobrego i złego policjanta. Jo Dzong rzuca śmiałe groźby, Dzong Un je temperuje. Zobaczymy, jak długo takie przepychanki będą ich bawić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

Jacek Krzemiński

Po wybuchu pandemii kurs złotego mocno spadł. Boleśnie odczuli to frankowicze i importerzy, ale nie tylko. Wzrosły też ceny wynajmu powierzchni w galeriach handlowych, biurowcach czy magazynach – bo za nie w większości płaci się w euro. Dlaczego?

W Polsce kapitał zagraniczny i firmy zagraniczne cieszą się od lat licznymi przywilejami. Pod wieloma względami są lepiej traktowane u nas niż polskie firmy (choć powinno być na odwrót – tak jak w krajach zachodnich czy Chinach). Przejawem tego zjawiska były m.in. rządowe granty inwestycyjne – przyznawane, głównie na budowę fabryk, niemal wyłącznie inwestorom zagranicznym. Inny przykład to tzw. opłaty interchange, czyli te pobierane od sklepów czy zakładów usługowych za zakupy dokonywane kartami – przez zagranicznych operatorów tych kart. W Polsce owe opłaty były do niedawna jednymi z najwyższych w Europie, dużo wyższe od unijnej średniej i kilkakrotnie większe niż w wielu krajach zachodnich. Na szczęście decyzją parlamentu udało się to zmienić, ale przez wiele lat byliśmy przez operatorów kart strzyżeni jak owce.

Kolejny przykład to właśnie czynsze pobierane przez właścicieli tzw. nieruchomości komercyjnych. W Polsce (tak jak w innych europejskich krajach postkomunistycznych) za wynajem powierzchni w zdecydowanej większości nowoczesnych (tych budowanych po 1990 r.) obiektów komercyjnych – biurowców, centrów i galerii handlowych, centrów magazynowych i logistycznych – trzeba od lat płacić w euro. Jakie są tego skutki? Jeśli kurs złotego w stosunku do euro spada, to wtedy najemcy muszą płacić za wynajem więcej. Teraz jest to duży problem, bo z jednej strony w wyniku koronakryzysu złoty poważnie osłabł, co oznacza, że koszty wynajmu biur czy lokali w galeriach handlowych mocno wzrosły. Z drugiej zaś strony wiele firm jest dziś w bardzo trudnej sytuacji, walczy o przetrwanie, zmaga się z dużym spadkiem przychodów (szczególnie dotyczy to sklepów czy punktów usługowych w centrach handlowych, w których klientów jest dużo mniej niż przed pandemią). Każdy wzrost kosztów jest więc dla nich tragiczną wiadomością. Zwłaszcza w przypadku czynszów, bo stawki za wynajem powierzchni w galeriach handlowych, nowoczesnych biurowcach czy centrach logistycznych są w Polsce bardzo wysokie i dla wielu firm koszty tego wynajmu to jeden z ich głównych wydatków. Pochłania 20 proc., a niekiedy nawet 35–40 proc. (jak np. w przypadku pralni) ich przychodów. Każda więc zwyżka czynszu ma duże znaczenie i przekłada się też na ceny, nie tylko w sklepach. Jeszcze na początku stycznia tego roku 1 euro kosztowało 4,23 zł, a już w marcu 4,55 zł, czyli o ponad 7 proc. więcej. Ostatnio złoty trochę się umocnił, ale według wielu ekonomistów znów się osłabi, na dodatek

eprasa.pl f7da1498f7

Polska strefa euro

FOT. ADOBE STOCK

bardziej niż w ostatnich miesiącach i na dłużej – dopóty, dopóki nie minie recesja.

ZWIĘKSZANIE PROBLEMÓW

I problem właśnie w tym, że złoty poważnie słabnie, zwłaszcza podczas kryzysów gospodarczych, które jednocześnie oznaczają gorsze czasy dla większości firm. Jeśli wynajmują one swe biura, powierzchnie sklepowe czy magazynowe w euro, to ich problemy się potęgują. To było dla nich szczególnie bolesne po wybuchu kryzysu finansowego z 2008 r., gdy złoty w ciągu kilku miesięcy potaniał wobec euro aż o 45 proc. – z 3,2 zł do 4,6 zł. O tyle zdrożały więc też czynsze. W następnych latach kurs złotego wobec euro był bardzo niestabilny, raz po raz gwałtownie spadał lub wzrastał. Pod koniec 2010 r. spadł poniżej 4 zł, by w 2011 r. – na skutek kryzysu zadłużeniowego w strefie euro – ponownie wystrzelić do 4,5 zł. Rok później zmniejszył się do 4,1 zł. W kolejnych latach znów potrafił gwałtownie wystrzelić w górę lub gwałtownie spaść – głównie w ślad za wahaniami światowej koniunktury gospodarczej. Przez cały ten okres utrzymywał się jednak na dużo wyższym poziomie (między 4,05 a 4,45 zł) niż przed kryzysem finansowym z 2008 r. To zaś oznacza, że za wynajem powierzchni w galeriach handlowych, biurowcach czy centrach magazynowych trzeba było płacić dużo więcej niż wcześniej. I stąd m.in. zapewne biorą się dziś głosy, że czynsze w takich obiektach są w Polsce zawyżone w porównaniu z zachodnią Europą. Paweł Skwarczowski, dyrektor ds. operacyjnych sieci pralniczej EBS, mówi, że w naszym kraju czynsze za wynajem powierzchni w centrach handlowych pochłaniają w przypadku pralni nawet 35–40 proc. ich przychodów, podczas gdy np. we Francji – 20 proc., czyli dwukrotnie mniej.

OBCE INWESTYCJE

Jak doszło do tego, że czynsze w nowo budowanych biurowcach, centrach i galeriach handlowych czy kompleksach logistyczno-magazynowych są u nas naliczane nie w złotych, ale właśnie w euro? Mimo że np. w krajach zachodnich te czynsze nalicza się w miejscowej walucie. Przyczyna jest bardzo prozaiczna. Ponad 90 proc. tych obiektów jest budowana w Polsce przez firmy zagraniczne, które zaciągają na ten cel kredyty za granicą, na ogół w zachodniej Europie. Zaciągają je więc zwykle w euro, więc trzeba je też spłacać w euro. Z tego powodu wprowadzają też czynsze w euro, bo tak jest dla nich wygodniej i korzystniej.

– W Polsce budynki komercyjne są produktem inwestycyjnym głównie dla zagranicznych funduszy, które operują środkami w euro, dlatego czynsze są w tej walucie – mówi Arkadiusz Rudzki, wiceprezes ds. wynajmu i sprzedaży w spółce biurowej na Europę Środkowo-Wschodnią koncernu Skanska. – W przeciwieństwie do innych państw w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, takich jak Czechy i Węgry, nie mamy praktycznie lokalnych inwestorów instytucjonalnych i ok. 95 proc. rynku zdominowane jest przez międzynarodowych graczy operujących w strefie euro.

Tak samo tłumaczą to inni przedstawiciele sektora nieruchomości komercyjnych i eksperci. – Rynek inwestycyjny nieruchomości komercyjnych w Polsce jest zdominowany przez zagraniczny kapitał, który przy inwestowaniu w pro-

eprasa.pl f7da1498f7

jekty nieruchomościowe wspomaga się finansowaniem zaciągniętym w euro – mówi Michał Wachowicz, senior investment surveyor, Capital Markets, w polskim oddziale Cushman & Wakefield, jednej z największych na świecie firm zajmujących się rynkiem nieruchomości komercyjnych. – Dlatego właśnie czynsze za wynajem powierzchni komercyjnych są wyrażane najczęściej w euro.

Problem w tym, że właściciele biurowców czy centrów handlowych ryzyko kursowe (czyli ryzyko osłabienia złotego) przerzucają na słabszą stronę, czyli na najemcę. Oni jednak tłumaczą, że naliczanie czynszów w euro jest dla najemców w sumie korzystne, m.in. dlatego, że czynsze są waloryzowane o wskaźnik inflacji, która jest niższa w strefie euro niż w Polsce. Radosław Knap, dyrektor generalny Polskiej Rady Centrów Handlowych, dodaje, że koszty kredytowania w euro są niższe niż w złotym. – Dzięki temu także czynsze w euro mogą być niższe w dłuższej perspektywie – przekonuje. Ale w tym właśnie tkwi haczyk: że mogą być, a nie muszą, a w rzeczywistości, jeśli ów tańszy kredyt, zaciągnięty w euro, oznacza dla inwestora większy zysk, to on nie zrezygnuje z niego, jeśli nie zostanie do tego zmuszony. I tak to też postrzegają sami najemcy, którzy nie zgadzają się z opinią, że czynsze w euro są dla nich korzystne – wbrew zapewnieniom przedstawicieli właścicieli galerii handlowych czy biurowców. – Co do kosztów najmu, z oczywistych względów, w obecnej sytuacji dla najemców znacznie bardziej opłacalne byłyby rozliczenia w walucie krajowej – mówi Sławomir Łoboda, wiceprezes firmy LPP (będącej właścicielem takich marek jak Reserved czy Cropp) i członek rady nadzorczej Związku Polskich Pracodawców Handlu i Usług, zrzeszającego najemców lokali w centrach i galeriach handlowych.

PRESJA BANKÓW

Właściciele takich obiektów czy biurowców i centrów logistycznych używają jednak na swoją obronę jeszcze jednego argumentu. Tłumaczą się, że do pobierania w Polsce czynszów w euro zmuszają ich zagraniczne banki, które nie chcą im udzielać kredytów na budowę tych obiektów w złotych i wymagają (jeśli mają swe centrale w krajach w strefie euro), by nie tylko kredyt, lecz także czynsze były w euro.

– Czynsze w zdecydowanej większości nieruchomości komercyjnych w Polsce, w tym w centrach handlowych, biurowcach czy centrach logistycznych, naliczane są w walucie odpowiadającej kredytowaniu danej nieruchomości – wyjaśnia Radosław Knap z Polskiej Rady Centrów Handlowych. – Wymogi bankowe sprawiają, że deweloper, biorąc kredyt na finansowanie nieruchomości w bankach z krajów strefy euro, ustala czynsze w umowach najmu w euro, jako walucie spłaty.

Potwierdza to Michał Wachowicz z Cushman & Wakefield: – Projekty z czynszami wyrażonymi w złotych zazwyczaj nie są rozpatrywane przez instytucjonalnych inwestorów jako pożądany produkt inwestycyjny ze względu na wewnętrzne regulacje lub/i wytyczne banków finansujących dany projekt.

Dlaczego zagraniczne banki tak postępują? Bo dla nich też jest to bezpieczniejsze – euro jest dużo stabilniejszą walutą niż złoty, więc one z kolei przerzucają ryzyko kursowe na kredytobiorców. Żeby ograniczyć własne ryzyko związane z udzieleniem kredytu. Tak czy owak sprowadza się to wszystko do tego, że kapitał zagraniczny, wędrując do Polski, narzuca nam swoje warunki, każe nam grać na swoich zasadach, nawet jeśli są one korzystne tylko dla niego. A kolejne polskie rządy na to się godziły, bardzo zabiegając o przyciągnięcie tego kapitału. Godziły się, bo inwestorzy zagraniczni dawali do zrozumienia, że jeślibyśmy na to się nie zgodzili, toby do nas nie przyszli. I tak, niestety, jest do dziś. – Gdybyśmy zmienili obecną sytuację i ustalili, że wszystkie czynsze za najem powierzchni komercyjnych w Polsce powinny być denominowane w złotówkach, skutkowałoby to utratą zainteresowania polskim rynkiem ze strony zagranicznych inwestorów, a co za tym idzie – utratą płynności kapitału w sektorze nieruchomości komercyjnych – uważa Michał Wachowicz z Cushman & Wakefield.

Nasz kraj przez lata zabiegał o zagraniczny kapitał głównie dlatego, że miał za mało własnego. Dziś już tak nie jest

KONIEC SPECJALNYCH WARUNKÓW?

Czy tak rzeczywiście by się stało? Tomasz Janik, prezes Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, uważa, że Polska jest już tak atrakcyjnym rynkiem dla zagranicznych inwestorów, iż nie musi już im tworzyć specjalnych warunków, obsypywać przywilejami, oferować różnych zachęt, by ich przyciągnąć. Poza tym nasz kraj przez lata zabiegał o zagraniczny kapitał głównie dlatego, że miał za mało własnego. Dziś już tak nie jest. A mimo to inwestorzy zagraniczni są wciąż u nas uprzywilejowani. To kolejny tego przykład. Umowy najmu powierzchni w centrach handlowych nie są korzystne dla najemców nie tylko ze względu na czynsze w euro, lecz także – jak wskazuje Paweł Skwarczowski z sieci pralniczej EBS – na inne zapisy w tychże umowach, w których również nie ma równowagi stron, w których właściciel nieruchomości ma dużo lepsze warunki niż najemca (szczególnie gdy to mała firma). I dziś, w warunkach pandemii, część właścicieli centrów handlowych to wykorzystuje, nie chcąc zgodzić się na postulowane przez ich najemców obniżenie czynszów proporcjonalnie do spadków obrotów w tych centrach.

Skwarczowski sądzi jednak, że obecna sytuacja jest szansą na ucywilizowanie stosunków między najemcami powierzchni w galeriach handlowych a ich właścicielami. Bo pandemia i związane z nią obostrzenia tak negatywnie wpływają na gospodarkę, że właścicielom tych obiektów grozi to, iż za chwilę nie będzie miał ich kto wynajmować. Że tak jak w Stanach Zjednoczonych będą i u nas dziesiątki centrów handlowych, które zbankrutowały i zostały zamknięte.

To samo może dotyczyć biurowców i centrów logistycznych. Za sprawą pandemii wiele firm uświadomiło sobie, że duża część ich pracowników może na stałe pracować zdalnie i w związku z tym da się zmniejszyć powierzchnię wynajmowanych biur, a w ślad za tym zaoszczędzić dużo pieniędzy. To dlatego dziesiątki firm wypowiada dziś umowy na biura, zmienia je na mniejsze.

Właściciele centrów handlowych, biurowców czy magazynów jadą na tym samym wózku, co ich najemcy. I wielu z nich zaczyna to w końcu rozumieć. Ale to nie wystarczy, by czynsze w tych obiektach zaczęły być naliczane w złotych zamiast w euro. Do tego potrzebne byłyby wymuszające taką zmianę regulacje prawne, ustawowe. Tak jak było w przypadku zawyżonych opłat interchange.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f7da1498f7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Najdroższa choroba świata?

Jak wiadomo, nawet to – a może zwłaszcza to – co bywa określane mianem bezcennego, zazwyczaj ma swoją cenę. Przeważnie bardzo wysoką cenę. Tak jak bezcenne zdrowie i bezcenne życie, choć tam, gdzie w grę wchodzą ludzkie zdrowie i życie, używanie argumentów z katalogu finansowych przychodzi z największym trudem. I w taki też sposób – z niechęcią – jest przyjmowane. Bo na ratowanie zdrowia i życia ludzi pieniądze „muszą się znaleźć". I najczęściej debaty na ten temat właśnie na tym się kończą, bo ich uczestnicy po dojściu do takiej konkluzji zwykle nie mają już ochoty szukać odpowiedzi na kolejne pytanie, które w tym miejscu podpowiada logika: A z czyjej kieszeni pieniądze te mają pochodzić? Kto ma za to zapłacić?

Tym razem, w związku z walką z COVID-19, która już pochłonęła fortunę, od dyskusji tej nie da się uciec, zwłaszcza gdy napłynie więcej danych o ogromnych rachunkach do zapłaty, które w związku z tym każdy z nas już dostał i jeszcze dostanie – tracąc pracę i płacę albo zarabiając mniej z powodu obniżek pensji, a także płacąc wyższe podatki, bez których nie da się spłacić długów zaciągniętych na bój z koronawirusem.

Głos w tej debacie zabrał niedawno ekonomista prof. Witold M. Orłowski, który na łamach „Rzeczpospolitej", w artykule pod wszystko mówiącym tytułem: „Najdroższa choroba w dziejach świata", pokusił się o próbę wycenienia, ile do tej pory kosztowało uratowanie jednego życia z powodu COVID-19.

Czyniąc na wstępie wiele stosownych zastrzeżeń, za podstawę swych wyliczeń przyjął – z jednej strony – szacunki sporządzone przez uczonych z Imperial College w Londynie, którzy na podstawie przyjętego modelu badawczego doszli do wniosku, że zastosowane w walce z COVID-19 wielotygodniowe lockdowny, unieruchomienie sporej części gospodarek i instytucji publicznych doprowadziły do uratowania w Europie życia ponad 3 mln ludzi.

Z drugiej strony, oceniając koszty owego lockdownu, z powodu braku – na razie – innych danych, prof. Orłowski postanowił oprzeć się na spodziewanym wzroście długu publicznego państw UE, który jest szacowany na 20 punktów procentowych, czyli 3,5 bln euro.

Po przyjęciu obu założeń nie było już trudno obliczyć, że dla budżetu państw Unii koszt uratowania jednego życia z powodu COVID-19 wyniósł do tej pory 1,1 mln euro. Suma ta robi szczególnie duże wrażenie, gdy się ją zestawi z całorocznymi wydatkami na służbę zdrowia, które średnio w krajach UE wynoszą… 30 tys. euro na mieszkańca.

No i teraz trzeba postawić pytanie o to, czy obywatele i podatnicy państw UE, a także pozostałych państw, na pewno chcą ponosić takie wydatki w przypadku kolejnej fali COVID-19 lub pojawienia się innej paskudnej choroby, czy jednak wolą ich nie ponosić, licząc się z ryzykiem wzrostu liczby chorych i zmarłych. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Okopy bedo

Nie bedzie kabaretu, bedzie chór! Tego właśnie od nas najbardziej wymaga w tej chwili społeczeństwo" – oznajmił mieszkańcom bloku przy ul. Alternatywy 4 jego gospodarz, Stanisław Anioł, w 7. odcinku serialu Barei.

„Nie bedzie pomnika, nie bedzie muzeum, bedo okopy!" – mógłby zarządzić filmowy Stanisław Anioł, gdyby zajmował ważne stanowisko w polskim rządzie. Właściwie miałby nawet kompetencje, bo przecież w Pułtusku był szefem wydziału kultury.

Rząd został całkowicie zaskoczony tym, że w tym właśnie roku przypada 100. rocznica Bitwy Warszawskiej

Zima, jak wiadomo, lubiła kiedyś zaskakiwać drogowców. Teraz zaskakuje rzadko, bo rzadko się pojawia, ale tym bardziej. Rząd zaś został całkowicie zaskoczony tym, że w tym właśnie roku przypada 100. rocznica Bitwy Warszawskiej. Cóż, trudno się dziwić, dodanie liczby 100 do 1920 to wyższa matematyka.

W 2017 r. minister Michał Dworczyk ogłaszał z pompą, że rozpoczyna się budowa Muzeum Bitwy Warszawskiej, a otwarcie będzie w sierpniu tego roku. Chciałbym się dowiedzieć, kiedy dokładnie, bo koniecznie pragnę być na inauguracji. Podziwiam rząd, że potrafi budować tak duży obiekt tak bardzo w ukryciu, zapewne aby zrobić nam wszystkim niespodziankę, bo przecież sierpień już się zaczął, muzeum musi być zatem właściwie gotowe – a tymczasem nikt nie wie, gdzie stanęło. Obyśmy się dowiedzieli przed 15 sierpnia.

Zachodzę też w głowę, co z pomnikiem Bitwy Warszawskiej, tym skręconym klocem na pl. Na Rozdrożu. Nad symboliką skręconego kloca zastanawiam się, od kiedy ogłoszono, że ten właśnie projekt wygrywa, ale dotąd jej nie pojąłem. Widocznie jestem za głupi. I w tym przypadku rząd dokonał iście copperfieldowskiego zabiegu, bo kloc przecież już powinien być gotowy, a jakoś go nie widać. Czary, panie, czyste czary!

Za to wiadomo, że w ramach upamiętnienia bitwy na Stadionie Narodowym powstaną okopy. Okopy, jak wiadomo, trzeba wykopać, a potem prawdopodobnie trzeba będzie zakopać. I tu mam taki racjonalizatorski pomysł, żeby te okopy wykopywał, a potem zakopywał cały rząd. Ręcznie, rzecz jasna. To da rządowi zajęcie na być może nawet na kilka tygodni, w czasie których nie będzie miał czasu zajmować się ułatwianiem nam życia, wymyślaniem nowych niskich podatków i podobnymi kwestiami. No i godnie upamiętnimy Bitwę Warszawską. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

Walczymy o wieś

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, ministrem rolnictwa
rozmawia Łukasz Zboralski

ŁUKASZ ZBORALSKI: PiS króluje w małych miejscowościach, na wsiach. Prezydent Duda dzięki takim wyborcom wygrał. Dlaczego?

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Ponieważ to jest człowiek – i to jest powszechna opinia – który wstydu nam przez te pięć lat nie przyniósł. A za poprzednich prezydentów nie zawsze mogliśmy być dumni z ich zachowań. To jest także ocena ponad czterech lat rządów PiS i realizacji programu partii. Andrzej Duda przecież mówi, że jest eksponentem tej polityki, który doradza w niej, a czasem ją koryguje. Także tę, którą realizujemy na obszarach wiejskich – a ja jestem jednym z jej współautorów. Rolnictwo jest takim działem, gdzie problemy były, są i będą, ale rolnicy zauważają, że my staramy się te problemy rozwiązywać, reagować szybko na różne nieszczęścia, takie jak susze czy inne kataklizmy. Widzą, że walczymy o wizerunek polskiej wsi i o pozycję polskiego rolnictwa na arenie międzynarodowej, m.in. twardo negocjując w Brukseli.

Druga tura wyborów prezydenckich była de facto plebiscytem przeciw Andrzejowi Dudzie oraz PiS. Przeciw byli wszyscy, którzy mieli jakiekolwiek żale czy do prezesa Kaczyńskiego, czy do lokalnych działaczy, oraz ci, którzy zostali odcięci od jakiegoś koryta – biznesowego, podatkowego, VAT-owskiego, plus służby, dawny aparat komunistycznej bezpieki. Jednak prezydent wygrał dzięki silnemu wsparciu polskiej wsi, głównie dzięki rolnikom – 81 proc. z nich zgłosowało na Andrzeja Dudę. Uważam, że ten dobry wybór pozwoli nam dalej realizować wszystkie plany, w tym budowę bezpiecznej, zamożnej i szczęśliwej wsi.

Wyniki wyborcze PSL pokazują, że wieś się od ludowców odwróciła. Jakie są tego powody?

Nie wystarczy już coś obiecywać. PSL w obietnicach było tak dobre, że trudno było je dogonić. Jednak gdy dochodziło do ich realizacji, okazywało się, że nie jest partią rolników troszczącą się o jakość życia na wsi, tylko dbającą o liczbę etatów dla własnych działaczy – w samorządach terytorialnych, ale

FOT. WOJTEK JARGIEŁO/PAP

eprasa.pl f7da1498f7

też w różnych instytucjach w ramach koalicji rządowych. Rolnicy widzieli, że oni rządzili osiem lat i m.in. zostawili agencję płatniczą w stanie agonalnym. Właściwie niewiele brakowało, żebyśmy nie mogli wypłacić w 2015 r. nawet dopłat bezpośrednich.

W tamtym roku była też potężna susza i Sawicki grzmiał z trybuny, że rząd wyasygnował dla rolników 450 mln zł wsparcia – bo jak to mówił „minister Rostowski, geniusz finansów i biznesu": „piniędzy nie ma i nie będzie". A w 2018 r. przy podobnym poziomie suszy wypłaciliśmy 2,2 mld zł pomocy, która się wsi należała. W 2019 r. było to 2,3 mld zł. W tym roku były wprawdzie problemy, rwały się terminy, bo pojawił się COVID-19, ale pieniądze, choć z opóźnieniem wywołanym pandemią, rolnikom nie przepadły. Rolnicy to widzą. No i stąd wybór Dudy oraz okazanie PSL braku zaufania.

Skoro jest poparcie wsi, rolnicy lubią PiS, to dlaczego przy spekulacjach medialnych dotyczących rekonstrukcji rządu po wakacjach pada pana nazwisko?

Powiem szczerze, że nie powoduje to u mnie palpitacji serca. Jestem ministrem, bo jako współodpowiedzialny za politykę PiS zostałem do tego zaproszony. Czuję się odpowiedzialnym politykiem i twardo walczę, żeby interesy wsi chronić – ale w mądry sposób, nie tylko rozdawnictwem pieniędzy – i przebudowywać wieś. Nie chcę przesadzać, ale cieszę się, że w jakiś sposób pomogłem przy kolejnych wyborach w ostatnich dwóch latach, także w elekcji prezydenta najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Może to wyświechtany slogan, ale bycie ministrem to pewien etap, zmiany w rządzie zachodzą, są rekonstrukcje wynikające z nowych sytuacji, np. szukania koalicjanta. Jeśli więc będzie decyzja premiera czy partii, że mam zostać przesunięty do jakichś innych zadań, to zajmę się czymś innym.

W tym kontekście – pana dymisji – mówi się o możliwej koalicji z PSL. Uważa pan to za możliwe?

W polityce nigdy się nie mówi „Nigdy". Zdziwi się pan, ale ja mam wielu przyjaciół w PSL. Nie zionę do nich wrogością. Byłem kiedyś szefem Krajowej Rady Izb Rolniczych i zostałem wybrany m.in. głosami PSL. Musieli się z tego potem przed swoimi władzami – przed Kalinowskim, Siekierskim i innymi – tłumaczyć, ale uznali, że warto powierzyć mi kierowanie tą największą organizacją rolniczą w Polsce, choć nigdy w PSL nie byłem, a jako człowiek Solidarności wielokrotnie pokazywałem cynizm i polityczne cwaniactwo tej partii, która z rolnikami nie ma nic wspólnego.

Chcę wierzyć, że PSL oprócz pilnowania stołków dla własnych działaczy rozumie, na czym polegają zmiany w rolnictwie, jak należy negocjować warunki w UE. Przypomnę, że przed 2014 r. te negocjacje przecież przegrało. Czy był to „okup" za pozycję Tuska w Brukseli? Nie wiem, ale wiem, że zrezygnowaliśmy z należnych Polsce pieniędzy, gdy łatwiej było to wynegocjować – nie było COVID-19, brexitu, sprawy imigrantów. Mam nadzieję, że w PSL jakaś refleksja na ten temat zachodzi. Jeśli ludowcy chcieliby brać udział w budowaniu lepszego życia na wsi, to ja się tylko z tego mogę cieszyć.

Chcecie utrzymać jak najwięcej małych, rodzinnych gospodarstw. Pan sam ma takie 14-hektarowe. Jaka jest więc perspektywa dla małych rolników, którzy nie prowadzą produkcji zwierzęcej?

W Polsce mamy złożoną strukturę gospodarstw. Są mniejsze – kilku-, kilkunastohektarowe – i ok. 3,5 tys. dużych, mających powierzchnię powyżej 300 ha, a często i kilka tysięcy. Te duże są jedynie w krajach, które po 1945 r. dostały się pod but Sowietów i są pewnego rodzaju wynaturzeniem rolnictwa europejskiego. W krajach Europy Zachodniej takich wielkich gospodarstw nie ma.

Uważam jednak, że powinny pozostać wszystkie. Chociaż musi być pewnego rodzaju rozdzielenie funkcji. Wielkie gospodarstwa, produkując duże ilości stosunkowo taniej żywności, głównie zasilają wielki przemysł przetwórczy i to, co eksportujemy za granicę. Mniejsze gospodarstwa muszą szukać pomysłu na siebie. My w tym pomagamy. Wprowadziliśmy – i to traktuję jako moje „dziecko" – ułatwienie w sprzedaży bezpośredniej. Mały gospodarz nie powinien sprzedawać pośrednikom. Dlatego ułatwiliśmy sprzedaż konsumentom, restauracjom, sklepom, na bazarki. Teraz wprowadzamy ułatwienia w postaci portali – np. polski e-bazarek, który prowadzą ośrodki doradztwa rolniczego.

Wprowadziliśmy też rolniczy handel detaliczny – rolnik może sprzedawać

eprasa.pl f7da1498f7

nie tylko produkty nieprzetworzone. Czyli nie tylko jabłka, lecz także sok z jabłek; nie tylko ogórki, lecz także np. kiszone ogórki, sałatkę, sery, jogurty, wędliny itd.

Przed wejściem do UE oraz po akcesji lobby przetwórców i pośredników sprowadziło rolników do roli producentów tanich surowców, a sprzedaż surowców może, co najwyżej, opłacać się ogromnym gospodarstwom, a nie tym mniejszym. Przez 16 lat członkostwa w UE tylko wielkie zakłady miały zajmować się ubojem zwierząt. A my pozwoliliśmy także rolnikom ubijać zwierzęta, które hodują, oczywiście w odpowiedni sposób, z wiedzą i troską, z możliwością świadczenia na niewielką skalę także usług sąsiadom, hodowcom zwierząt.

Mniejsze gospodarstwa powinny naturalnie ciążyć ku rolnictwu ekologicznemu. Kiedyś nie miały kanałów dystrybucji, dotarcia do konsumentów w dużych miastach, którzy są tym zainteresowani najbardziej. Teraz zainteresowanie handlu jest coraz większe, a sprzedaż także m.in. umożliwiają Internet i usługi kurierskie.

Mniejsze gospodarstwa, te, które chcemy zachować, nie zawsze mogą dać odpowiednie dochody całej rodzinie. Nie jest też jednak przecież niczym złym, że dochody z gospodarstwa przypadają np. jednej osobie tam pracującej, a pozostali dorośli członkowie rodziny mają inną pracę. Jednak rodzina wspólnie żyje w swoim siedlisku – i bardzo dobrze, rodziny trzeba wspierać, najlepiej wielopokoleniowe, bo nie ma lepszego sposobu na wychowanie niż to, że dzieci widzą, w jaki sposób rodzice traktują pokolenie dziadków – a dochody pochodzą z różnych źródeł. Na tym polega wielofunkcyjny rozwój obszarów wiejskich i to, co robi PiS, przyciągając inwestycje na wieś. Czyli w gospodarstwie może pracować np. ojciec, a żona może pracować w handlu, w szkole, w pobliskim zakładzie. I to samo dorastające dzieci.

Dla każdego jest jakaś szansa, ale to nie znaczy, że każdemu wszystko będzie podane na tacy. To wymaga też pewnej aktywności, zaradności. Chociaż środki unijne osłabiły zaradność wielu rolników i widać trochę roszczeniowości, to ja sądzę, że wśród zdecydowanej większości rolników zaradność i przedsiębiorczość przetrwały. Widać to m.in. w rozwoju handlu rolniczego, który rozwija już kilkanaście tysięcy gospodarstw.

Omawiając problem owoców miękkich, zaproponował pan nauczycielom ruszenie na pola podczas wakacji i zarabianie przy zbiorach...

Apel o pomoc rolnikom przy zbiorach, skierowany do tych, którzy mają czas i chęci, został przez media, szczególnie RMF FM, po prostu zmanipulowany. Wydawał mi się czymś ważnym, rozsądnym i szlachetnym, szczególnie wobec ograniczenia z powodu pandemii liczby osób, które mogłyby przyjechać do pracy zza wschodniej granicy. Mówiłem, żeby ludzie, którzy mają trochę czasu w wakacje, bo nie spędzą urlopu w Chorwacji, studenci itd., rozważyli w ramach solidarności z rolnikami pomoc w zbiorach. Tak apelowali m.in. premier Johnson w Wielkiej Brytanii czy ministrowie w innych krajach. U nas najbardziej obrazili się nauczyciele. Szef ZNP domagał się wręcz przeprosin. A za co?! Nauczyciele często wyjeżdżają podczas wakacji do pracy do Niemiec czy Holandii i jakoś im korona z głowy nie spada.

To oburzenie zaszkodziło samym nauczycielom i ich wizerunkowi w oczach znacznej części społeczeństwa. Ludzie, którzy wykonują takie prace jak rolnicy czy robotnicy, poczuli się upokorzeni. Ci, którzy mają trochę lepsze wykształcenie albo najczęściej tylko się tak wydaje, m.in. nauczyciele, potraktowali rolników i pracujących fizycznie jako kogoś gorszego.

To w ogóle jest element szerszy problemu grup społecznych, którym się wydaje, że są klasą średnią, elitą i lekceważąco podchodzą do wykonujących także dla nich i na ich rzecz, jak im się wydaje, prostsze zawody. W tym kontekście zawód rolnika dziś, szczególnie w gospodarstwie towarowym, wymagający umiejętności obsługi wyjątkowo skomplikowanych maszyn i precyzyjnego korzystania np. z danych satelitarnych, wiedzy na temat środków chemicznych, biologii to jest jedna z trudniejszych profesji. Wydaje mi się, że znaczna część tzw. elit nie poradziłaby sobie z prowadzeniem gospodarstwa.

Jednak zbiór owoców miękkich, do którego brakuje pracowników, mówi chyba o tym, że staliśmy się zamożniejszym krajem. Czy teraz taka produkcja będzie przesuwać się poza Polskę? Na przykład na Ukrainę?

Dotknął pan problemu pracowników, jednego z najistotniejszych, który będzie miał duży wpływ na polskie rolnictwo. Ludzi do pracy zaczyna brakować. W Europie tych pracowników coraz bardziej brakuje i kraje ich sobie „wyrywają" – Ukraińców, Białorusinów i obywateli Mołdawii. Coraz częściej patrzą też na Azję Wschodnią. To, że w Europie Zachodniej zaniknęły kierunki pracochłonne, nie wynikało z tego, że nie umieli uprawiać np. truskawek czy malin, tylko dlatego, że zabrakło ludzi do pracy. Prawdopodobnie ten etap mamy przed sobą.

I jak temu zaradzić?

Jesteśmy krajem granicznym i mamy pracowników z Ukrainy, ludzi najczęściej pracowitych, mówiących podobnym językiem, chrześcijan. Chcemy uregulować umową międzyrządową jakieś większe gwarancje dla tych pracowników, żeby mogli co roku przyjeżdżać. Jednak na dłuższą metę to nie wystarczy.

Cyfryzacja i innowacyjność mogą nam pomóc. Roboty do zbiorów, automaty, które mogą zastąpić człowieka. Hodowla ma też ogromne znaczenie – odmiany roślin, które pozwalają na zbiór mechaniczny. Czeka nas wielka rewolucja techniczna. Mamy wielkie oczekiwania wobec uczelni i placówek naukowo-badawczych.

Z hodowlą świń mamy inny problem. Niesłychanie dużo wieprzowiny importujemy. A przecież schabowy to nasze danie narodowe. Czy nie powinniśmy odbudować pogłowia tych zwierząt i czy ma pan na to jakiś plan?

Polacy lubią wieprzowinę i jest ona naszym narodowym mięsem. Natomiast wyspecjalizowały się w tym duże gospodarstwa mające tysiące, ba, dziesiątki tysięcy świń. Głównie Duńczycy, którzy u siebie prowadzą produkcję tuczników na taką skalę, że powoduje to zatrucie gleby i środowiska, zaczęli szukać miejsca, gdzie się z tym przenieść. I trafiło na Polskę. Kilkanaście lat temu, gdy ta ekspansja się zaczynała, ówczesne polskie władze nie były w stanie tego zatrzymać. No i mamy dziś chorą strukturę. Produkcja mięsa wieprzowego w Polsce w dużej mierze polega obecnie na tuczeniu prosiąt i warchlaków sprowadzanych głównie z Danii, czasem z Niemiec. Pierwszy zdefiniował to Janusz Wojciechowski, a ja to po-

eprasa.pl f7da1498f7

twierdzam – co to jest za rolnictwo i kto dopuścił do tego, że w Polsce może być wielka ferma, uciążliwa dla okolicznych mieszkańców, zatruwająca glebę, wody, w której tuczy się duńskie prosięta za pomocą paszy zawierającej soję modyfikowaną genetycznie z Ameryki, na której pracują Ukraińcy, a której właściciel domaga się, by polski rząd załatwił mu eksport mięsa do Chin?

Z takim rolnictwem trzeba walczyć. To jest rolnictwo toksyczne. Naprawiając pewne błędy, chcemy w następnym okresie nowych ram finansowych UE postawić bardziej na rozwój w oparciu o polską produkcję prosiąt, wzmocnić produkcję loch i warchlaków w naszych gospodarstwach. W tym kierunku zmierzamy, ale są oczywiście opory. Jeśli powstały firmy, których jedynym sensem istnienia w Polsce było sprzedawanie amerykańskiej soi – a jej sprzedaje się rocznie za 4 mld zł – to co, poddadzą się bez walki? A firmy, które przerabiają i tuczą duńskie prosiaki? Będą się biernie przyglądały, jak Polacy chcą ten dochodowy dla nich biznes ograniczać? Będą protestowały. Do tego dochodzą od razu głosy innych krajów, które bronią swoich inwestorów. Jest walka o rynek. My jednak, szanując innych i szanując wspólny rynek UE, który nam też wiele daje, chcemy na konkurencyjnych zasadach współpracować, a nie godzić się na dyktaty.

Powołał pan pełnomocnika ds. ochrony zwierząt. Może więc wróci jeszcze sprawa zakazu hodowli zwierząt futerkowych w Polsce? Czy to zamknięta dyskusja już na zawsze?

Nic nie jest zamknięte na zawsze. Osobiście uważam, że każdy gatunek zwierząt można hodować i człowiek ma prawo z tego gatunku robić użytek. To jest biblijne prawo czynienia sobie ziemi poddaną i przekonanie, że człowiek jest panem stworzenia. Oczywiście trzeba zwierzęta hodować tak, żeby żyły w adekwatnych do swoich wymagań warunkach.

A pełnomocnika powołałem, bo jest ostry spór między rolnikami, nazywającymi organizacje prozwierzęce „ekoterrorystami", rolnikami, którzy uważają, że dbają o swoje zwierzęta, i czują się szykanowani i zastraszani przez organizacje ekologiczne uzurpujące sobie prawo do odbierania zwierząt. I to tylko dlatego, że im się wydaje, iż zwierzę źle wygląda. Mają jakieś swoje legitymacje, mundury. Właściciele zwierząt w Polsce są jedyną grupą społeczną, której nie policja, nie jakaś służba państwowa, ale inny obywatel może zabrać własność – psa, kota, krowę. To jest niedopuszczalne.

Żeby to przeciąć i doprowadzić do porozumienia, powołałem pełnomocnika ds. ochrony zwierząt. To człowiek, który nie będzie posądzony o sprzyjanie żadnej ze stron. Ma zebrać informacje i przeanalizować wzajemne zarzuty oraz zaproponować zmiany prawne, które wzmocnią dobrostan zwierząt utrzymywanych w gospodarstwach, ale także w domach, oraz zapewnią, że maltretowane, zaniedbane zwierzę zabrane mogłoby być przez organizację upoważnioną przez państwo i to przez osobę mającą potwierdzoną, certyfikowaną wiedzę o biologii poszczególnych gatunków zwierząt gospodarskich i towarzyszących.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PRENUMERATA ROCZNA
PAKIETU TYGODNIK DO RZECZY I MIESIĘCZNIK HISTORIA DO RZECZY, W PREZENCIE KSIĄŻKA:
EWA ORNACKA „WROBIONY W DOŻYWOCIE – SPRAWA ARKADIUSZA KRASKI"

Cena: 239zł
Oszczędność: 380 zł

+ e-wydanie

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
NOWY NUMER KONTA: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

Prenumerata na rok 2020 w cenach roku 2019
ZAMÓW JUŻ TERAZ

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 TELEFON: 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl f7da1498f7

Życie seksualne

Wojciech Cejrowski

Jak to robią Indianie? Dla Indian to temat o wiele mniej wstydliwy niż dla nas. Właściwie wcale. No, ale oni nie bardzo mają warunki, żeby się wstydzić

FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

Po pierwsze stale chodzą nago – biusty na wierzchu, a przepaska biodrowa zasłania niewiele, tylko z przodu, i tylko pod warunkiem, że nie ma wiatru. Ich stosunek do widoku nagiego ciała jest przez to... rajski – pamiętają państwo? Zanim Ewa zerwała zakazane jabłko, ona i Adam nie zdawali sobie sprawy, że są nadzy, w ogóle nie było tej kwestii, bo taka była norma i nikt się niczym nie podniecał. Indianie pod tym względem żyją w stanie rajskim, czyli nieskażonym wiedzą o wstydzie. Są jak dwulatki na pustej plaży życia.

Po drugie Indianie mieszkają we wspólnych szałasach – ogromnych wielorodzinnych maloki albo shabono, czyli zadaszonej konstrukcji osłoniętej tylko z jednej strony, a z drugiej otwartej na plac centralny. Cała wioska śpi, pracuje, uprawia miłość pod wspólnym dachem, na oczach i uszach innych rodzin. Wszyscy wszystko widzą i słyszą. Czasami także komentują (głośno i ze śmiechem).

W tych warunkach Indianin od dziecka traktuje akt fizyczny jako zupełnie normalną, niesensacyjną część życia. Podobnie jak my traktujemy czyjeś chrapanie albo dłubanie w uchu. Jeżeli ktoś chrapie szczególnie głośno, to można na ten temat pożartować, ale żarty kończą się z chwilą, gdy przywykliśmy już do głośnego chrapania – wszystko kiedyś powszednieje (nawet to, że ta indiańska para w hamaku robi to zawsze bardzo zamaszyście i wszystkich budzi).

***

A jak jest w Europie? Czy stopniowo upodabniamy się do Indian? Cofamy w rozwoju?

Publiczne pokazy na golasa odbywają się w zasadzie bez żenady (na plażach, na rozkładówkach, w TV...). Biust na wierzchu to już nie jest sensacja, a ubranie wcale nie musi niczego zasłaniać – patrz stringi. Czym one różnią się od indiańskiej przepaski? Tym, że na stringi zużyto mniej materiału.

Życie seksualne cywilizowanych przestało być tematem wstydliwym – rozmawiamy o tym głośno i ze szczegółami. Telewizja pokazuje show, w których ludzie na oczach milionów uprawiają miłość z obcym człowiekiem poznanym przed chwilą. A do tego reklama pigułek na potencję, która leci z radia w środku dnia, gdy wiozę moich chrześniaków samochodem i oni wtedy pytają, co to jest „potencja". Gdyby to były dzieci indiańskie, toby nie pytały, a tak… Co robić? Mam skłamać, że chodzi o nawóz do tulipana?

Dziczejemy kulturowo. I to nie jest powrót do raju, bo nie da się wrócić do poziomu dwulatka, który jeszcze nic nie wie, nie rozumie i dlatego się nie wstydzi.

eprasa.pl f7da1498f7

dzikich

Brak wstydu i bezwstyd to dwa osobne zjawiska.

***

W świecie dzikich plemion nie ma miejsca na prywatność – cokolwiek się robi, robi się to na oczach wspólnoty. Porównanie indiańskiego świata do raju to nie przesada – u Indian nie ma przestrzeni na grzech. Nie da się popełnić cudzołóstwa we wspólnym domu. Kazirodztwo, sodomia, pedofilia... Wszystkie te brzydkie rzeczy nie przydarzają się, gdy inni patrzą. Ojcowie patrzą na swoje córki, żony na mężów, wódz pilnuje ogólnego ładu, a szaman pilnuje wodza. Szamana zaś pilnują wszyscy, bo jego obowiązuje ścisły celibat – gdyby go złamał, straciłby swoją Moc. Indiańscy pacjenci pilnują więc, by szaman się… nie wyczerpał ani nie… rozładował. Ma być naładowany, bo wtedy dobrze leczy, a o to chodzi z szamanami.

***

Indianie miewają po kilka żon. To kwestia przetrwania populacji

eprasa.pl f7da1498f7

– mężczyźni w dżungli często giną lub znikają. Dżungla zabija, gdy się po niej kręcisz, a faceci wychodzą do dżungli częściej i dalej niż ich żony. I tu pojawia się kwestia statystyczna: proporcje płci w populacji dzikich są zaburzone i dlatego jeden mężczyzna po prostu, no… musi… „wzbudzać synów w biodrach wielu kobiet" – inaczej plemię wyginie.

Wódz ma w tej kwestii (wzbudzania) szczególne przywileje: po pierwsze sam wybiera swoje żony (a nie jest swatany), po drugie ma prawo wziąć sobie tyle kobiet, ile tylko chce, pod warunkiem że będzie je potem w stanie utrzymać – wraz z dziećmi! Wybiera więc wszystkie najlepsze śliwki z wioskowego koszyczka. Takie jest prawo wodza, a reszta wojowników musi się obejść smakiem.

Ha! Ale… W przeciwieństwie do naszych wodzów u Indian za przywileje płaci się obowiązkiem, a nawet przymusem. Prawo równowagi. Otóż wódz, gdy już sobie nabrał najsłodszych śliwek, musi się także ożenić ze wszystkimi samotnymi pannami, których nikt inny nie chciał brać i… zostały porzucone na dnie wioskowego koszyczka. Wziąłeś słodkie, bierz i kwaśne, robaczywe, parchate lub suche i twarde. Prawo równowagi.

Nie koniec na tym – wódz często „zbiera" wdowy po poległych wojownikach i musi się nimi zaopiekować. Musi przejąć różne stare, wredne, brzydkie, po bracie, po koledze – żony sieroty. To taki odpowiednik naszego państwa opiekuńczego i zasiłków dla samotnych matek. Z tym że w systemie indiańskim nie wystarczy nakarmić – trzeba jeszcze, wbrew sobie, ale jakoś… „wzbudzać synów w ich biodrach".

***

Skoro ktoś ma wiele żon, to się nimi dzieli chętniej niż taki, który ma tylko jedną.

Są więc sytuacje, gdy wódz proponuje mi którąś ze swoich kobiet. Co wtedy?

Wodzowi nie wypada odmawiać. Nigdy!

On ma twarz wymalowaną na czerwono, patyk w nosie, a w dodatku zamiast majtek nosi podłużną tykwę nałożoną na swojego pinga. Gdy ktoś taki częstuje cię swoją żoną, odmawiać byłoby nieroztropnie.

Odmowa mogłaby go zdenerwować. A wtedy mógłby zdjąć tykwę, umazać swojego pinga tym samym czerwonym barwnikiem, którym w czasie pokoju naciera wyłącznie twarz, i ruszyć przeciw tobie – na honorowy pojedynek. Wówczas nie masz najmniejszych szans. Wystarczy, że rzuci w ciebie włócznią ostrą jak kawałek szkła, wystarczy, że... W zasadzie cokolwiek zrobi, nie masz szans.

Dlatego wodzowi NIGDY się nie odmawia.

No i tu mamy kłopot. Gościnny wódz pożycza mi jedną ze swoich żon: „Żebyś nocą nie marzł, gringo". Co wtedy robić?

Uniku w rodzaju: „wprawdzie spali w jednym łóżku, ale do niczego nie

doszło", nie sposób zastosować – żona wodza pakuje się z tobą do hamaka, a w hamaku, jak to w hamaku, niepodobna odsunąć się na swoją stronę i udawać, że człowiek był tak zmęczony, iż momentalnie zasnął. W hamaku cały czas jest się razem. Ciasno przytuleni, a ona znacząco oczekująca... No i wódz, który co chwila pyta w ciemności:

– Jak tam pinga-pinga, gringo? Dobrze?

Cóż więc robić? Odmówić wprost nie możesz, musisz się jakoś elegancko wykręcić…

Ja to robię zupełnie zwyczajnie – wymawiam się względami religijnymi. Indianie znają celibat, bo mają go u swojego szamana.

Zawsze znajdzie się jakiś sposób – gwarantuję! To kwestia motywacji, a w tych okolicznościach motywacja jest bardzo wysoka, bo… Zastanówmy się wspólnie – z której puli żon wódz dobiera towarzyszkę dla ciebie? Z której puli ty byś zaproponował jemu, gdybyś był wodzem? Z tego koszyczka dorodnych słodziuśkich śliweczek, które sam sobie odłożyłeś? Nie sądzę. Raczej z tego drugiego, przymusowego i obowiązkowego, którego sam nie chcesz. Gwarantuję – i wiem, co mówię, gdy to mówię – wódz zawsze proponuje śliwki-robaczywki, więc motywację ma się najwyższą z dostępnych.

Jednocześnie jednak odmówić jest trudno, bo trzeba to zrobić tak, by się nie obraził – on jest tu wodzem i ma zaplecze w postaci władzy, tradycji i wojowników.

Miałem taką sytuację z ekipą „Boso". Kręciliśmy w dżungli, wódz był zachwycony, że trafiło do niego pięciu facetów – po jednej suchej śliwce dla każdego. Z kolei ci faceci nie byli zachwyceni i szeptali do mnie:

– Szef, ratuj! Mamy żony, nie mamy ochoty, widziałeś te Indianki, które on nam proponuje?!

Szef (czyli ja) odwrócił się w swoim hamaku na drugi boczek i będąc teraz twarzą do wodza, powiedział:

– Wodzu, oni nie mogą pinga-pinga z twoimi żonami. Bardzo dziękujemy za ten szczodry i łaskawy podarunek, ale ja im już wcześniej nakazałem zachować Moc. RZEKŁEM, a sam wódz wie, że gdy się powie RZEKŁEM, nie można tego cofnąć.

Wódz natychmiast zrozumiał, odwrócił się na swój drugi boczek, mruknął po indiańsku coś w rodzaju naszego „Nie ma sprawy, spoko" i zasnął, a pięć śliwek bez jednego słowa protestu rozeszło się do swoich hamaków.

– Szef... – szepnęli moi z ekipy. – Jak pan to zrobił?

– RZEKŁEM. To coś w rodzaju wyroku ostatniej instancji i tylko wódz może używać tego słowa. Ono ma moc i jest nieodwracalne. W jego oczach ja jestem wodzem szanownych panów i mam nad wami władzę. Podobnie jak on ma władzę powiedzieć to samo swoim ludziom… lub wam. To jego teren. Gdyby on wam powiedział: „RZEKŁEM" w sprawie tych żon, tobyście musieli „pingować" do rana, no ale ja byłem pierwszy, więc zrozumiał i się odczepił. Kiedyś jeden taki wredniejszy wódz powiedział jedno wredne „RZEKŁEM" w nieodpowiedniej chwili i zepsuł mi całą wyprawę.

Ale to już osobna historia na inną okazję. Może za tydzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ZA TYDZIEŃ KOLEJNY ODCINEK CYKLU

eprasa.pl f7da1498f7

eprasa.pl f7da1498f7

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Witoldem Owczarkiem, dermatologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Leczmy w ciąży

KATARZYNA PINKOSZ: Łuszczyca wciąż kojarzy się z problemami dotyczącymi skóry. To jednak nie tylko skóra choruje?

PROF. WITOLD OWCZAREK: To choroba całego organizmu, ogólnoustrojowy stan zapalny uszkadza również inne narządy. Jest wiele zaburzeń i chorób współistniejących z łuszczycą, m.in. łuszczycowe zapalenie stawów i zespół metaboliczny. Osoby chore na łuszczycę mają zwiększone ryzyko rozwoju chorób serca, udaru mózgu i depresji. Oczywiście, łuszczyca może mieć różne nasilenie: od łagodnego – taki przebieg ma ok. 80 proc. pacjentów – do bardzo ciężkiego.

Chorują głównie osoby młode, często kobiety. Czy łuszczyca jest przeciwwskazaniem do zajścia w ciążę?

Faktycznie łuszczyca to choroba ludzi młodych, zwykle ujawnia się przed 40. rokiem życia – ok. 70 proc. chorych ma pierwsze zmiany w tym okresie. Sama choroba nie jest przeciwwskazaniem do zajścia w ciążę. Problemem mogą być niektóre leki stosowane w ciężkiej postaci łuszczycy: część z nich jest przeciwwskazana w okresie ciąży i karmienia piersią lub nie mają rejestracji w takich wskazaniach.

Jednym z warunków programu lekowego „Leczenie umiarkowanej i ciężkiej postaci łuszczycy plackowatej" jest stosowanie skutecznej antykoncepcji. Wyklucza to dziś z leczenia kobiety w okresie ciąży, a to czasem jest konieczne?

Kobiety zakwalifikowane do tego programu lekowego mają obowiązek stosowania skutecznej antykoncepcji, gdy korzystają z tej terapii, także przez pewien czas po jej zakończeniu. Oznacza to, że kobieta, która chce zajść w ciążę, musi wcześniej przerwać leczenie. Nie jest to zgodne z wytycznymi międzynarodowymi, które dopuszczają stosowanie niektórych leków również podczas ciąży, jeśli oczywiście jest to konieczne ze względu na zaawansowanie łuszczycy. W wielu przypadkach leczenie biologiczne może być bezpiecznie kontynuowane podczas ciąży, szczególnie cząsteczkami, które mają zmodyfikowaną strukturę i nie przenikają przez łożysko. Międzynarodowe wytyczne dopuszczają stosowanie w ciąży leków biologicznych blokujących TNF-alfa. W zależności od konkretnego leku można go stosować do pewnego okresu ciąży. W Polsce jednak w ramach programu lekowego aktualnie nie jest to możliwe.

eprasa.pl f7da1498f7

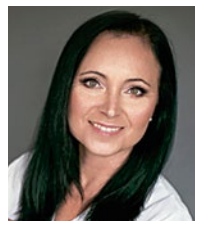

Dagmara Samselska, przewodnicząca Unii Stowarzyszeń Chorych na Łuszczycę

Indywidualizacja, nieprzerywanie terapii i wsparcie psychologa

Dla nas ważna jest indywidualizacja leczenia. Dzisiaj chory na ciężką postać łuszczycy, jeśli nie spełnia ściśle określonych warunków, nie otrzymuje leczenia. Przykładem są m.in. kobiety planujące powiększenie rodziny i kobiety w ciąży. Kobieta, która chce zajść w ciążę, musi przerwać leczenie biologiczne. Może to spowodować nasilenie objawów. Niedawno zgłosiła się do nas pacjentka, u której łuszczyca bardzo nasiliła się w połogu, miała zmiany na brodawkach, trudno jej było karmić. Ze względu na dobro dziecko przetrzymała, nie zdecydowała się na odstawienie dziecka od piersi i podjęcie leczenia.

Z jednej strony czekamy na lek, który może być podawany w okresie ciąży i karmienia, a z drugiej strony Amerykańska Akademia Dermatologii oraz inne towarzystwa dermatologiczne, reumatologiczne na świecie wypowiadają się, że w okresie ciąży w niektórych przypadkach można przyjmować leki anty-TNF-alfa. Obecnie obowiązujący program lekowy powinien zostać zmieniony, w wytycznych towarzystw naukowych pojawia się już możliwość ich stosowania w okresie ciąży i karmienia piersią, jeśli to jest potrzebne. Lekarz może rozważyć potencjalne ryzyko i korzyści dla pacjentki. Jeśli łuszczyca jest agresywna, wówczas odstawienie leczenia to duże ryzyko, że choroba szybko nawróci, a podwyższony stan zapalny towarzyszący łuszczycy utrudnia też zajście w ciążę.

Druga ważna dla pacjentów rzecz to nieprzerywanie terapii, jeśli jest ona skuteczna. Obecnie leki w programach lekowych mogą być stosowane maksymalnie przez dwa lata. Przerwanie leczenia powoduje, że choroba może powrócić, natomiast każda wznowa i powtórne zastosowanie leczenia powodują, iż jest ono mniej skuteczne.
Chorym na łuszczycę potrzebne jest też wsparcie psychologiczne od momentu diagnozy. Ponad 60 proc. pacjentów z łuszczycą ma depresję, dlatego niezbędna jest dla nich pomoc psychologa.

Czy są preparaty biologiczne, które kobiety mogą przyjmować w trakcie ciąży?

Tak, w Polsce są one również dostępne, jednak nie w programie leczenia umiarkowanej i ciężkiej postaci łuszczycy plackowatej. Bezpiecznymi lekami, które można stosować w ciąży, są leki blokujące TNF-alfa, a wśród nich certolizumab pegol. Nie przechodzi on przez barierę łożyska, ponieważ ma modyfikowaną cząsteczkę. Jest polecany kobietom planującym ciążę lub będącym w ciąży. Planując leczenie młodej kobiety mającej ciężką postać łuszczycy, zawsze musimy pytać o jej plany macierzyńskie. Jeśli na razie nie planuje ciąży, to możemy jej zaproponować inny lek biologiczny, jeśli jednak w najbliższym czasie chciałaby zajść w ciążę, to byłaby dla niej terapia z wyboru.

To terapia bezpieczna dla niej i dziecka?

Wszystkie leki mogą mieć działania niepożądane, jednak ten jest najbezpieczniejszy i rekomendowany na świecie. Pozostałe nie mają rejestracji u kobiet w ciąży i takich jednoznacznych rekomendacji, choć niektóre mogą być stosowane w ciąży, dlatego w leczeniu łuszczycy – podobnie jak innych chorób – bardzo ważna jest indywidualizacja leczenia. Lekarz powinien móc zadecydować, czy w danym przypadku leczenie kobiety w ciąży jest wskazane.

Jak długo takie leczenie biologiczne powinno być stosowane?

Dopóty, dopóki jest efektywne. W Polsce programy lekowe zawierają ograniczenia do dwóch lat. Nie wszyscy chorzy będą stale potrzebowali takiej terapii, jednak powinni ją otrzymywać dopóty, dopóki jest to konieczne. Łuszczyca to choroba immunologiczna, stan zapalny może być przewlekły, jest grupa chorych, która potrzebuje ciągłej terapii, i nie powinno się jej przerywać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Witold Owczarek – kieruje Kliniką Dermatologii Wojskowego Instytutu Medycznego.

Fakty o łuszczycy:

- Szacuje się, że na łuszczycę cierpi nawet 2–3 proc. populacji w Polsce.
- To choroba autoimmunologiczna; nie jest zakaźna, nie można się nią zarazić, nie jest skutkiem zaniedbań higienicznych.
- U 30 proc. pacjentów choroba atakuje też stawy. Chorzy na łuszczycę są bardziej obciążeni ryzykiem depresji, chorób układu krążenia, cukrzycy, otyłości, zespołu metabolicznego.
- Oprócz dostępu do optymalnego leczenia ważne jest, by chorzy byli pod opieką referencyjnych ośrodków, w których mieliby zapewnioną kompleksową opiekę m.in. dermatologa, psychologa, reumatologa, kardiologa, dietetyka.

eprasa.pl f7da1498f7

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Królewicz, który stracił tron

Dlaczego Jakub Sobieski, syn pogromcy Turków, nie został koronowany jako Jakub I, król Polski? Przecież był najstarszy z dzieci Jana Sobieskiego, a tradycyjne przywiązanie do dynastii sprawiało, że na elekcji zwykle wybierano kolejnych potomków króla. Dlaczego jednak nie został nim Jakub Ludwik Sobieski? Ten, który pierwsze imię otrzymał po dziadku, a drugie – na cześć króla Francji Ludwika XIV, urodził się bowiem w Paryżu 2 listopada 1667 r. Jego matka, Maria Kazimiera, żona hetmana Jana Sobieskiego, przybyła tam, próbując zdobyć wpływy dla profrancuskiego stronnictwa jej męża.

Życie królewicza było pasmem klęsk; zarówno jego, jak i rodziców. Kiedy w 1674 r., po bitwie pod Chocimiem, szlachta obwołała królem Jana Sobieskiego, władca i Marysieńka natychmiast pomyśleli o sukcesji dla Jakuba, zwanego w listach przez ojca „fanfanikiem", zapewne od francuskiego określenia „fanfan" – dziecinka. Król postanowił zapewnić mu tron w prosty sposób – uczynić z niego udzielnego księcia lub władcę graniczącej z Polską lub Litwą krainy. Tak aby oddanie mu korony oznaczało dla szlachty powiększenie terytoriów państwa. Plan wydawał się dobry – w podobny sposób bowiem powoływano w XV w. na tron Polski litewskich książąt – potomków królów Polski, np. Kazimierza Jagiellończyka – aby nie dopuścić do rozerwania unii.

Rodzice rozmyślali o ożenieniu syna z jedną z córek cesarza Leopolda I, która wniosłaby w posagu bogate księstwo, ewentualnie przyszły teść uznałby prawo Jakuba do takowego. Marysieńka starała się zwłaszcza o księstwo brzesko-legnickie. Wszystkie te usiłowania spaliły na panewce. Cesarz nie zgodził się na sukcesję. Dlatego Jan Sobieski zawarł w Jaworowie układ polsko-francuski wymierzony w Habsburgów, a przede wszystkim w Prusy, wyrastające na niebezpiecznego wroga Rzeczypospolitej. Wszyscy słyszeli zapewne o morskiej polityce Sobieskiego, mało kto wie jednak, że rzeczywistym jej celem było osadzenie w Prusach, w charakterze księcia, właśnie Jakuba Ludwika. Plany runęły jednak w gruzy, kiedy Szwecja, mająca stać się sojusznikiem Polski, poniosła klęskę, a dyplomacji francuskiej nie udało się skłonić Turków do zawarcia pokoju z Rzecząpospolitą.

FOT. WIKIPEDIA

Król wyruszający w 1683 r. pod Wiedeń zabrał ze sobą oczywiście Fanfanika, uznawanego oficjalnie za królewicza. Syn towarzyszył mu także w późniejszych wyprawach – ich celem stało się zdobycie Mołdawii i podporządkowanie jej Rzeczypospolitej. Nowym księciem – hospodarem – miał stać się oczywiście Jakub Sobieski.

Niestety, kolejne wyprawy mołdawskie Sobieskiego kończyły się klęskami! Pomimo to król i królowa nie ustawali w wysiłkach: zaplanowali małżeństwo syna z Ludwiką Karoliną Radziwiłłówną, najbogatszą panną w Rzeczypospolitej. Zostało ono jednak udaremnione przez opozycję i dyplomację cesarską. Podobnie jak plany ogłoszenia Jakuba królem za życia ojca zostały storpedowane przez wrogie Sobieskim stronnictwo Sapiehów. Co więcej, doprowadzili oni do uznania, że Jakub Ludwik nie jest oficjalnie królewiczem, gdyż w chwili urodzenia nie był synem króla, bo jego ojciec – Jan Sobieski – był wówczas jeszcze hetmanem polnym koronnym, a nie suwerennym władcą.

Ostatecznie w 1691 r. doprowadzono do ożenku Jakuba z księżniczką Jadwigą Elżbietą Amalią, córką palatyna Renu, która wniosła w wianie księstwo oławskie na Śląsku. Była to ciepła przystań dla Jakuba, który nie ustawał w staraniach o sukcesję. Bez skutku.

Kiedy w 1696 r. zmarł król Jan Sobieski, jego najstarszy syn wdał się w oburzającą współczesnych awanturę z matką, w czasie której wydzierali sobie z rąk pozostawioną fortunę. Zapewne to postępowanie sprawiło, że na elekcji w 1697 r. przepadł w głosowaniu. Jakub Ludwik próbował wówczas wszcząć rokosz przeciwko Augustowi II, a kiedy poniósł klęskę, uszedł do Oławy, nie składając hołdu nowemu królowi. W 1704 r. miał jeszcze szansę na powrót na tron, po zajęciu bowiem Rzeczypospolitej przez Szwedów to właśnie on, a nie Stanisław Leszczyński był wysuwany jako kandydat do korony, której zrzekł się August II Sas. Został jednak schwytany przez Sasów i uwięziony, a dwa lata później, w traktacie z Altranstädt, zmuszony do rezygnacji ze starań o dziedzictwo. Odtąd Jakub Ludwik nie wykazywał już chęci objęcia tronu. Przed śmiercią jednak wydał swoją córkę Marię Klementynę za podobnego jak on desperata i niedoszłego sukcesora – Jakuba Franciszka Stuarta, syna Jakuba II, króla Anglii i Szkocji wypędzonego w 1688 r. z kraju w wyniku podstępnej rebelii protestantów, dziś nazywanej chwalebną rewolucją. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

LEŚNA KUCHNIA MICHAŁA WOSIA

Las od zarania dziejów służył człowiekowi, dostarczając pożywienie. Ostatnie obfite opady deszczu zaowocowały wysypem grzybów w polskich lasach. Dlatego szczególnie zachęcam do korzystania z tego naturalnego dobrodziejstwa. Swój wolny czas spędzam z bliskimi przy wspólnym gotowaniu. Mój przepis na kotleciki z suszonych grzybów to połączenie tradycyjnego smaku z leśnym aromatem grzybów.

Składniki:

- 60 g grzybów suszonych
- 2 podsuszone bułki kajzerki
- 1 średnia cebula
- 1 jajko
- 1 łyżka mąki pszennej
- bułka tarta do panierowania
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Grzyby gotujemy w niewielkiej ilości wody, odcedzamy, wkładamy do miski. Dokładamy pokrojoną bułkę kajzerkę, mieszamy i odstawiamy, aby wchłonęła płyn z grzybów. Cebulę kroimy w piórka i smażymy na złoto, dodajemy do grzybów. Wszystko mielimy w maszynce lub rozdrabniamy blenderem. Do masy dodajemy jajko, mąkę, sól, pieprz i starannie mieszamy. Masa powinna być gęsta. Formujemy małe kotleciki. Smażymy do zarumienienia, podajemy na gorąco do obiadu lub po wystudzeniu jako przekąskę. ©℗

FOT. ARCHIWUM MICHAŁA WOSIA

oprac. raw
Michał Woś jest ministrem środowiska.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Powrót do ogrodu

Chodzę z psem na spacery w okolicach ogrodu botanicznego w Powsinie, bo mieszkam niedaleko. Kilka razy spotkałam starszą panią, która z plecakiem wracała z ogrodu. Zgarbiona wpół, na oko 80+, ale krok bardzo żwawy. – Musi pani bardzo lubić przyrodę, bo widzę tu panią kolejny raz – odważyłam się zagadnąć.

FOT. ADOBE STOCK

– Ja tu pracuję, jestem wolontariuszką – odpowiedziała. I dodała: – Identyfikuję rośliny w sekcji polskich roślin łąkowych.

Odprowadziłam starszą panią do autobusu. Znała nazwy wszystkich mijanych roślin, o każdej coś umiała powiedzieć. Bardzo mi to imponowało, choć przecież był to jej zawód.

Kiedyś nie zastanawiałam się, jak się nazywają rośliny, które mijałam, chodząc po lesie. Przyroda istniała, ale była abstrakcją. Jak prawie każdy znałam nazwy głównych drzew, kilku najbardziej pospolitych ziół – wszystko, co zapamiętałam z dziecinnych nauk mamy i babci. Dąb, lipa, klon, dziewanna, rumianek, piołun.

Aż przyszedł moment, kiedy obudziła się ciekawość. Co to jest? Jak się nazywa? Jak to działa?

To moment, gdy zaczyna się chodzić do ogrodu botanicznego, czytać opisy roślin, gdy ściąga się aplikację Plant snap, żeby się dowiedzieć, co to jest to, co porasta wszelkie dróżki i ma żółte kwiatki. Kiedy zagląda się na stronę Okiem Przyrodnika. Kiedy zaczyna się obserwować ptaki i odkrywa bezmiar własnej niewiedzy o nich oraz przestwór wiedzy do zdobycia. Kiedy już się wie, czym różnią się nawłoć i wrotycz, ale wciąż ma się świadomość, że o przyrodzie nie wie się nic. Kiedy ma się za sobą lekturę książki Petera Wohllebena, ale wciąż ciekawość na temat toczącego się wokół tajemniczego życia roślin (i zwierząt) ma się niezaspokojoną.

U mnie ten moment przyszedł, gdy stałam się właścicielką pierwszego kawałka ziemi. Kiedy przestałam postrzegać deszcz jako „brzydką pogodę", bo przekonałam się, że trawa zasiana na początku maja nie wzeszła, bo przez miesiąc nie spadła kropla deszczu. Kiedy rano rzucałam się do okna, żeby sprawdzać, ile urosły zasadzone byliny, i przekonywałam się, że nie pół metra, jak chciałaby moja wyobraźnia, ale tylko milimetr albo mniej.

Prawie całe życie mieszkam w mieście, jestem typowym mieszczuchem. Ale wychowałam się w ogrodzie. I ten ogród wrócił do mnie, kiedy byłam już dorosła. Na szczęście, chociaż późno, to jednak o sobie przypomniał. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG QLED 55Q80T

Znakomity kontrast, wysoka jasność obrazu w trybie HDR, intuicyjny system Smart TV oraz bardzo dobry dźwięk – to największe zalety jednego z najlepszych tegorocznych modeli telewizorów 4K w ofercie koreańskiego producenta.

Wzornictwo nowego modelu nie odbiega znacząco od designu z ostatnich lat. Szerokość bocznego obramowania jest ograniczona do 1 cm i wygląda bardzo elegancko, jednocześnie ułatwiając zanurzenie się w filmowym świecie. Metalowa podstawka nie jest wzorem piękna, ale przynajmniej wydaje się solidna.

Zastosowany przez południowokoreańskich projektantów wyświetlacz LCD typu VA wyróżniają bardzo dobry kontrast, świetne odwzorowanie kolorów (choć przed profesjonalną kalibracją bywają przesycone albo nieco zbyt blade) oraz rewelacyjna dynamika obrazu. Mimo że to QLED, a nie OLED, dobrze radzi sobie także z wyświetlaniem jasnych obiektów na ciemnym tle. Ten model telewizora powinien też spełnić wymagania fanów sportowych rozgrywek.

Zaletą testowanego telewizora jest również niezły dźwięk. Q80T to bodaj najtańszy na rynku samsung, w którym zainstalowano technologię Object Tracking Sound. Nie tylko brzmi ona dobrze w ustach sprzedawców, lecz także rzeczywiście zapewnia szerszą oraz pełniejszą scenę dźwiękową. Ogólnie brzmienie jest czyste od zniekształceń. Na pochwałę zasługuje także

zaskakująco głęboki bas. Oczywiście, nie jest to efekt kina domowego. Samsung przekonuje więc klientów, aby poza telewizorem dokupili od razu soundbar Q60T. Dzięki technologii Q-Symphony można jednocześnie wykorzystywać głośniczki z telewizora oraz soundbara wspieranego przez subwoofer, co rzeczywiście daje bardzo fajny efekt.

Po stronie plusów trzeba też zapisać: intuicyjny system Smart TV, cztery wejścia HDMI, z których jeden jest w najnowszej wersji 2.1 (4K/120 fps), a inne dedykowane są m.in. miłośnikom gier (z obsługą FreeSync oraz Auto Low Latency Mode). Zapaleni gracze docenią niski input lag oraz tryb Game Motion Plus, który sprawia, że obraz staje się bardziej płynny. Bez najmniejszego problemu można też rzucać na ekran obraz ze smartfonów i z laptopów (również firmy Apple).

Wady? Brakuje niestety systemu Dolby Vision, w którym oferowanych jest jednak więcej treści niż w uparcie promowanym przez Samsunga formacie HDR 10+. Wadą są też stosunkowo wąskie kąty widzenia (pod kątem kolory lekko bledną). Drobnym minusem jest także to, że do telewizora ze średniej półki Samsung dał tylko plastikowy pilot. W ładnym grafitowym kolorze, ale jednak materiał premium to to nie jest.

Mimo tych minusów model QLED Q80T o rozdzielczości 4K to jeden z najlepszych telewizorów roku 2020, który z powodzeniem może walczyć z japońską konkurencją. Testowany model występuje w wersji z przekątną obrazu o wymiarach 49, 55, 65, 75 oraz 85 cali. Najmniejszy z nich kosztuje 4999 zł, a za największy trzeba zapłacić ok. 15 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

MYSZ NA UPAŁY

Każdy prawdziwy gracz wie, że podczas intensywnych rozgrywek w upalne dni nawet intensywnie pracująca klimatyzacja może okazać się niewystarczająca. Dla tych, którzy mają dość spoconych myszek komputerowych, firma Zephyr zaprojektowała model myszy z wbudowanym wentylatorkiem. Mimo własnego systemu chłodzenia mysz waży ponoć tylko 68 g. Oprócz tego gryzoń ma wbudowane przełączniki Omron, konfigurowalne diody RGB oraz sensor Pixart 3389 pozwalający ustawić czułość w przedziale od 100 do 16 tys. dpi. Oferowany na portalu Kickstarter gadżet kosztuje 89 dol., czyli ok. 330 zł. Producent planuje wysyłkę w październiku. ©℗

Jacek Przybylski

KIESZONKOWA... DRUKARKA

Selpic P1 to według jej producenta najmniejsza drukarka na świecie. Z wyglądu przypomina tradycyjny długopis. Według producenta ma jednak tę zaletę, że potrafi drukować tekst, zdjęcia, kody kreskowe czy kody QR. Co więcej, drukować potrafi ponoć nie tylko na papierze, lecz także na drewnie, plastiku, ubraniach, metalu czy tekturowych kubkach. Promowany na portalu Indiegogo gadżet waży 92 g i według deklaracji sprzedawców na jednym ładowaniu może działać do trzech godzin. Cena wynosi 99 dol. (ok. 370 zł). Niewielkie wymienne kartridże kosztują 39 dol. Do wyboru jest osiem kolorów, a deklarowana rozdzielczość druku to 600 dpi. Producent szacuje rozpoczęcie wysyłki na wrzesień.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f7da1498f7

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Z kogo kpią kolejarze?

Moja żona robi teraz program o kolejach. Taki do męskiego kanału. W związku z tym jeździ wiele po Polsce, zagląda na dziwne bocznice i stacyjki, spotyka się z wieloma dziwakami, bo entuzjaści kolejnictwa to bez wątpienia gatunek szczególny, skłonny do wydawania tysięcy dolarów, żeby pojechać na drugą półkulę i przejechać się lokomotywą z lat 50. ubiegłego wieku. Ekscentrycy co się zowie.

Ja jednak tym razem nie o dziwakach, lecz o studentach. A raczej o tym, jak ich postrzegają kolejarze. To może dziwić, ale z ich punktu widzenia młodzi ludzie, zwłaszcza ci z legitymacjami studenckimi, to straszne lebiegi i melepety. W kategorii głupków jeżdżących pociągami stawiają ich na najwyższym stopniu podium. Znacznie wyżej niż zagubionych staruszków, mieszkańców zapadłych wsi czy alkoholików z rozpuszczonymi mózgami. Mówiąc szczerze, kolejarze z braci studenckiej robią sobie jaja i specjalnie jej nie poważają.

Dlaczego? Prawie każdy doświadczony kolejarz miał z grubsza taką historyjkę: przychodzi do niego dziewczyna lat 22 i płaczliwie prosi o pomoc. – Ale co się stało? – dopytuje pracownik kolei. – Bo ja powinnam już wysiąść dwie stacje temu, ale nie mogę, bo drzwi się nie otwierają. Proszę pomóc mi wysiąść z pociągu! – błaga bidula. – A próbowała pani otworzyć drzwi, kiedy pociąg stał na stacji? – docieka kolejarz (często z dziada pradziada). – Nie – odpowiada dziewczyna. I tu następują kpiny: kolejarze wkręcają dzieciaki, że do otwarcia drzwi pociągu potrzebna jest specjalna karta. Albo znajomość kodu. Młodzież łyka to jak pelikany.

Częste są także sytuacje odwrotne. Studenci składają reklamacje, bo nie są w stanie dostać się do pociągu. Drzwi się nie otwierają, więc oni stoją i czekają, aż drzwi się otworzą. One jednak się nie otwierają. Pociąg odjeżdża.

Oczywiście to nie jest wina tych studentów, tylko nasza. Oduczamy dzieci sprawczości. Robimy wszystko za nie, taszczymy ich bagaże na wakacjach, pilnujemy ich telefonów, odrabiamy lekcje, a nawet piszemy bezbłędnie Kangurka, więc nic dziwnego, że myślą, iż wiele rzeczy robi się samo. I dziwi je, że się nie robi.

Więc oni są ofiarami rewolucji wychowawczej, która trwa. A która wynika z tego, że za bardzo kochamy nasze dzieci i z tej miłości aż robimy im krzywdę. Są też ofiarami – czy może lepiej: efektami – innej rewolucji, smartfonowej. Młodym z coraz większym trudem przychodzi odnaleźć się w rzeczywistości, tak to nazwijmy, inżynieryjnej. Wajchy, drążki, a nawet przyciski – to ich przerasta. Tam jednak, gdzie można zadziałać aplikacją, tam, gdzie trzeba podać login i hasło, od których nas trafia szlag, oni czują się jak ryby w wodzie. I gdyby drzwi do pociągu otwierało się zbliżeniowo smartfonem, daliby czadu. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

„Zwierzęta pozaludzkie”

Jest czymś symptomatycznym, że w przypadku ruchów, które identyfikują się jako proekologiczne, ale działają w oparciu o progresywną i zrywającą z antropocentryzmem agendę, podejście naukowe stopniowo zastępuje ideologia. Przykładów wystarczyłoby na pracę doktorską; od niechęci do energetyki jądrowej, przez niezrozumienie i demonizowanie działania modyfikacji genetycznych w żywności, do przedstawiania kominów chłodniczych elektrowni w Bełchatowie – które emitują niemal czystą parę wodną – jako przykładu zatruwania środowiska.

Na wiele z tych rzeczy można machnąć ręką, ale są i takie, które wprowadzone w życie byłyby po prostu katastrofalne. „Nie tylko ludzie ponoszą konsekwencje pandemii. Okrutną cenę za pandemię zapłaciły także zwierzęta pozaludzkie. Zwierzęta wykorzystywane w laboratoriach zostały poddane eutanazji. To kolejny argument za tym, żeby skończyć z testami na zwierzętach” – napisała ostatnio na Twitterze europosłanka Sylwia Spurek. Aby być precyzyjnym, problem, który przedstawiła, dotyczył koronawirusowej konieczności czasowego zamknięcia uczelni lub ograniczenia zakresu ich działania, co przełożyło się na brak możliwości utrzymania kilkuset zwierząt laboratoryjnych, które trzeba było uśpić. Chodzi nie o koty, psy czy małpy, ale o myszy (które stanowią 95 proc. zwierząt laboratoryjnych na świecie) oraz norki amerykańskie. Mimo humanitarnych warunków, w których były trzymane, oraz sposobu pozbawienia ich życia walcząca o „prawa zwierząt” organizacja PETA cały proceder nazwała „szałem zabijania”. Szałem, ponieważ coraz otwarciej przyjmuje się, że np. mysz jest „zwierzęciem pozaludzkim”, a między gryzoniem a homo sapiens nie ma jakościowej różnicy. W konsekwencji antropocentryzm można potraktować jak postkatolicki przeżytek, który przyczynia się do ucisku zwierząt i tyranii człowieka.

Tymczasem bez zwierząt i ich poświęcenia w imię nauki nigdy nie rozprawimy się choćby z pandemią koronawirusa. Dzięki norkom, podatnym na zakażenie SARS-CoV-2, mamy dobry model do testów leków oraz szczepionek. A to tylko wierzchołek góry lodowej. Badania laboratoryjne ssaków dają nieoceniony wgląd w toksykologię czy nowe techniki operacyjne. Myszy pomagają w badaniach behawioralnych, ewolucyjnych, neurologicznych, genetycznych i epigenetycznych. Nie wszystko można zastąpić procedurą in vitro oraz symulacjami komputerowymi. Współczesna medycyna – a pośrednio my wszyscy – zawdzięczamy tym badaniom życie milionów ludzi. I jakkolwiek zwierzęta trzeba traktować z troską, ze współczuciem i maksymalnie ograniczyć ich dyskomfort oraz cierpienie, życie myszy nie jest równe życiu i zdrowiu człowieka. Trudno uwierzyć, że takie rzeczy trzeba w ogóle tłumaczyć. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Siekiera, motyka, bimbru szklanka...

JOANNA SIEDLECKA

Zakazane piosenki" to nie tylko nasz pierwszy, powojenny film fabularny, lecz także pierwszy „półkownik", symbol rozpoczynającego się ideologicznego nadzoru nad kulturą. Premiera filmu o piosenkach okupowanej Warszawy odbyła się 8 stycznia 1947 r. Okazał się wielkim sukcesem, został przyjęty entuzjastycznie. Do kin waliły tłumy, oglądały go dziennie tysiące widzów, którzy płakali i śpiewali razem z aktorami – przed wejściem rozdawano broszurkę ze słowami piosenek, choć większość widzów znała je na pamięć. Przed kinami rozgrywały się dantejskie sceny – ci, dla których nie wystarczyło biletów, siłą szturmowali drzwi albo je wyłamywali, musiała interweniować milicja.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Władza i krytyka miały jednak o filmie zupełnie inne zdanie. Zaatakowała go łódzka, czerwona „Kuźnica" – pierwsze komunistyczne pismo literackie. Groźne, pryncypialne, nazywane sierpem i młotem. Co więcej, atakował główny filar „Kuźnicy", Adam Ważyk, jeden z najgroźniejszych politruków, ciągle jeszcze z naganem i w mundurze armii Berlinga, z którą przyszedł ze Wschodu. Zarzucił twórcom filmu – reżyserowi Leonardowi Buczkowskiemu i scenarzyście Ludwikowi Starskiemu (ojcu Allana) – niedostateczne zaakcentowanie niemieckiego okrucieństwa, a przede wszystkim nie dość wyraźne podkreślanie, skąd przyszła wolność, czyli lekceważenie roli Armii Czerwonej w „wyzwalaniu" Polski, tani sentymentalizm, schlebianie niewybrednym gustom publiczności. Krytykowali również film inni „kuźniczanie" – sam szef, czyli „Hetman", Stefan Żółkiewski, jej żarliwy, młody współpracownik Tadeusz Borowski. Po „Kuźnicy" ruszyli inni: towarzyszka Janina Broniewska w „Polsce Zbrojnej", Jerzy Waldorff w „Przekroju". „Trybuna Robotnicza" publikowała niepodpisane z nazwiska listy byłych więźniów koncentracyjnych oburzonych niedostatecznym stopniem martyrologii Polaków. Chociaż w filmie nie padało zakazane już wtedy słowo o AK, „zaplutym karle reakcji", to działacze PPR zarzucali mu AK-owską atmosferę.

Głos „Kuźnicy", a zwłaszcza Adama Ważyka, tuby Jakuba Bermana, ówczesnego nadzorcy kultury, a zarazem bezpieki, był głosem władzy. Po niespełna dwóch miesiącach, ku rozpaczy widzów, „Zakazane piosenki" zdjęto z ekranu. Twórcy filmu, chcąc go ratować, zgodzili się na liczne poprawki i dopiero po nich film wszedł ponownie na ekrany pod koniec roku 1948, nazywany teraz „Przerobionymi piosenkami". Druga wersja różniła się znacznie od pierwszej – wycięto bowiem prawie jedną trzecią filmu, ok. 30 minut, i tyle samo dokręcono. Podkreślono zwłaszcza udział Armii Czerwonej w „wyzwalaniu" Warszawy, dodając m.in. archiwalne zdjęcia. „Apoteoza wzięcia Warszawy przez Sowiety i armię kościuszkowską" – pisała zdegustowana Maria Dąbrowska. Kilku bohaterom filmu nałożono opaski z napisem „AL", która z powstaniem nie miała nic wspólnego. Dodano liczne sceny niemieckiego okrucieństwa – w wersji pierwszej śpiewający w tramwaju warszawski andrus ucieka goniącemu go szwabowi, w wersji drugiej zostaje przez niego zastrzelony. Dokręcono też scenę ulicznej łapanki, obozu przejściowego w Pruszkowie, krytyczną ocenę wojsk polskich na Zachodzie, wprowadzając postać przybyłego z Anglii żołnierza-repatrianta, wykazującego totalną niewiedzę o realiach polskiej okupacji. Przerabiano również słowa „zakazanych piosenek" – w pierwszej wersji śpiewano „Siekiera, motyka, bimbru szklanka", w drugiej – „Siekiera, motyka, piłka, szklanka", bo bimber był już oficjalnie przez władzę ludową zakazany. Słowa: „Odbudujem Polskę od morza do morza" zamieniono na „Odbudujem Polskę od gór aż do morza". Zamiast: „Nie było, Polsko, szczęścia w Tobie" było: „Nie było, Polsko, dobra w Tobie". Usunięto w ogólne piosenkę „Lecą liście z drzew" Wincentego Pola jako zbyt pesymistyczną.

Mimo licznych zmian poprawiaczom filmu nie udało się zniszczyć jego autentyzmu ani najważniejszych, nieśmiertelnych polskich piosenek: „Serca w plecaku", „Dnia 1 września...", „Teraz jest wojna, kto handluje ten żyje", „Rozszumiały się wierzby płaczące", „Warszawo ma". Na drugą wersję też waliły tłumy, a „Przerobione piosenki" zwyciężały ciągle we wszystkich plebiscytach na najpopularniejszy i ciągle aktualny polski film – wiele piosenek śpiewano np. w stanie wojennym. Część taśm wyciętych z wersji pierwszej uległa zniszczeniu, większość jednak cudem ocalała i dziś w Internecie możemy obejrzeć obie. ©℗

eprasa.pl f7da1498f7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl f7da1498f7

TankuJEMY HOT DOGI za 1 grosz!

Kupujesz min. 25 l paliwa oraz kawę i dostaJESZ HOT DOGA za 1 grosz! Twoje dzieci też!

Promocja trwa od 1.07 do 31.08.2020 lub do odwołania.
Zakup kwalifikowany musi nastąpić przy jednej transakcji.
Do jednej transakcji są wydawane maksymalnie 4 hot dogi (1 dla kierowcy i maks. 3 dla dzieci) w promocyjnej cenie 1 gr/szt.
Z promocji są wyłączone transakcje z użyciem kart flotowych.
Regulamin i lista stacji biorących udział w promocji na lotos.pl.

LOTOS

prasa.pl/7da1493f7